



PAMIĘTNIKI

Sabiny z Gostkowskich

GRZEGORZEWSKIEJ.

Kosia Sieding

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Kroniki Rodzinnéj“.

1888.



CZYTELNIA KSIĄZEK

923-051 (438) "18"

Дозволено Цензурою
Варшава, 3 Сентября 1887 года.

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11.

SŁÓWKO WSTĘPNE.

Zmarła przed szesnastu laty w Warszawie ś. p. Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska, należała do grona owych nielicznych w każdym społeczeństwie wybrańców, którzy dużo widzieli i słyszeli, a patrzeć, słuchać i opowiadać umieją z prawdziwym talentem. O przymiotach Grzegorzewskiej świadczy jej *Pamiętnik o Maryi Wesslównie* królewiczowej Sobieskiej, świadczy rozprawa o *Wpływie kobiet na duchowy rozwój społeczeństwa* i liczne inne rozprawy treści społeczno-filozoficznej, lecz nadewszystko dowodem wiedzy, rozumu, zacnych dążeń i talentu jej pisarskiego są własne jej *Pamiętniki*, których częśćkę przed trzydziestu kilku laty drukowała „Biblioteka Warszawska.“

Długi żywot autorki tych pamiętników, urodzonej na początku naszego stulecia, liczne stosunki z ludźmi ukształconymi, wywierającymi wpływ przeważny na piśmiennictwo i sprawy publiczne, subtelność w rozróżnianiu odcieni charakterów ludzkich, trafność w odgadywaniu pobudek i ocenianiu czynów, szczerłość w wypowiadaniu sądu o sobie i o drugich, — uczyniły Grze-

gorzewską jakby uprzywilejowaną do opowiadania wydarzeń, na które przez lat wiele własnymi patrzyła oczyma. Równie utalentowana do opisywania przygód własnego życia, jak Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, lecz rozleglejszemi otoczona związkami, — równie żywo biorąca do serca sprawę publiczną, jak Gabriela Żmichowska, lecz wolna od jój przesadnych uniesień i stronności, — żywością wyobraźni i plastyką słowa górująca nad Pauliną Wilkońską, — jest Grzegorzewska, rzec można, jedyną w naszym stuleciu „pamiętnikarką“ w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu.

To skłoniło redakcyę „Kroniki Rodzinnej“ dać czytelnikom swoim wyjątki z pamiętników ś. p. Grzegorzewskiej, nie rozstając się z nadzieją, że i dalszą spuścizną po zmarłej, znajdującą się w ręku redaktorki tego pisma, zdołamy w przyszłości podzielić się z czytelnikami.

I.

Rodziłam się we wsi Marzęcinie, w byłém województwie Krakowskiem, w dniu 18 stycznia 1808 roku, z rodziców znaney, dość zamożnej i dawniej rodziny. Dziad mój, Konstanty Gostkowski, dziedzic miasteczka Kromolowa, generał-lejtnant najprzód w służbie pruskiej, a następnie polskiej, adjutant Fryderyka Wilhelma II-go króla pruskiego, później zaś Jana Branickiego hetmana wielkiego koronnego, umarł zostawiwszy pięciu synów, z których mój ojciec był średni, i cztery córki. O ile mi wiadomo z rodzinnego podania, był to człowiek światły, z nowszemi wyobrażeniami, noszący się, jak dawniej mówiono, *po francuzku*, i należący do frakcyi owęj szlachty postępowej, reprezentowanej na sejmie czteroletnim przez Małachowskiego, Ignacego i Stanisława Potockich, Mostowskiego, Kollataja, Wybickiego i innych, którzy chcieli ukrócenia swawoli i nadużyć szlachty, i rządu silniejszego i swobodniejszego. Są jednakże dowody niebardzo na korzyść liberalnych opinij mego dziadka przemawiające. Usunąwszy się od publicznych interesów, osiadł w miasteczku swojem dziedzicznym Kromolowie, z kąd starym obyczajem częste wojny i napady z sąsiadami swoimi odbywał. Jedną z najważniejszych była wojna z Bnińskim starostą mrzygłodzkim, którego dobra graniczyły z Kromolowem i przyległemi mu wioskami. Nie wiem, kto miał słu-

szność, kto pierwszy granice sąsiada najechał; to pewna, że obie strony silnie się okopały, że stary wojak trzymał ludzi zbrojnych na swym żołdzie, że przez lat wiele często przychodziło do krwawej bójki z ludźmi starosty Bnińskiego; i że po śmierci mojego dziada, już za pamięci mojego ojca zmarłego, przy spisie inwentarza pozostałych po nim ruchomości, znaleziono jeszcze znaczną liczbę broni palnej, moździerzy, rusznic i t. p. Babka moja, z domu Jordanówna, starościanka siedmichowska, owdowiawszy niemłodo i mając dziewięcioro dzieci, poszła za męża za pana Paszyca, z którym, jak to zwykle bywa, nie była szczęśliwą. Wkrótce też z nim się rozłączyła i tak go znienawidziła, że swoim ludziom, domownikom, sąsiadom, nie pozwalała inaczej się nazywać, tylko po tytule i nazwisku pierwszego męża. Ja ją już bardzo mało znałam; musiała mię jednak jęj postać uderzyć, gdyż jeszcze po dziś dzień mam ją w pamięci obecnej: małą, otyłą, z oczami czerwonymi i zapuchłymi, ubraną w czarnęj krepowej sukni, siedzącą przy kartach, w które była w stanie trzy dni i trzy noce grać, nie wstawszy od stolika.

Po jęj śmierci dobra Kromolow przeszły na własność najmłodszego z braci, który ożenił się z Kordulą Ankwiczówną, stryjecznią siostrą arcybiskupa lwowskiego, a później praskiego. O tym pralacie krążyła w rodzinie naszej anegdotka. Kiedy w roku, jeżeli się nie mylę, 1833, ks. A. przeniesiony został na bogate, bo dwa miliony rocznie przynoszące arcybiskupstwo praskie, wypadało mu drogę obrócić na Kraków, w którym się niejaki czas zatrzymał, uprzedziwszy wprzód listem swoim panią G., krewną swoją, w Kromolowie o mil dziesięć od Krakowa mieszkającą, o nastąpić mającym przez to miasto jego przejeździe. Moja ciotka przybyła niebawem na wezwanie i oboje prawie jednocześnie stanęli w hotelu Knotza, pod królem węgierskim. Po kilkunastu latach niewidzenia, powitanie było czule-

splakali się wzajem, o dawnych czasach rozmawiali. Ankwicz narzekał na los, który go trzymał z dala od ukochanego kraju i rodziny; w końcu po dniach kilku oświadczył, że w dalszą podróż udać się musi.

Już konie pocztowe były założone do ogromnej podróżnej karety, i stały rżąc w bramie wielkiego hotelu Knotza, kiedy arcybiskup objawił chęć pomówienia sam na sam z moją ciotką; jakoż podawszy jęj rękę, poprowadził do przyległego gabinetu. Po ponowionych jeszcze oświadczeniach współczucia i pamięci, wyznał jęj, że dręczony jest wyrzutami sumienia za czyn grzeszny, przeciw nięj niegdyś popełniony, o którym ona wiedzieć nie może, a który mu chwili spokoju nie da, póki nie uzyska od nięj samęj przebaczenia. Nie dając moję ciotce czasu zapytać się, jakiby to miał być grzech, za który sobie tak srogie czyny wyrzuty, powiedział, że niegdyś przy działach majątkowych, będąc obecnym tęj czynności jako członek rady familijnej, nie ujął się za nią sierotą, gdy się znaleźli tacy, którzy korzystając z niedbałości opieki, krzywdzili ją na majątku; tego sobie darować nie może, i to zatruwa całe jego życie gorzkimi wyrzutami sumienia.

Moja ciotka, uradowana z widzenia krewnego, wszystko przebaczyła; poczem arcybiskup wsiadł do powozu i odjechał do Pragi, gdzie sobie też szczęśliwie umarł, nie wspomniawszy o niej w testamencie.

W ciągu moję młodości raz tylko byłam w Kromolowie, tēm rodzinném naszym gnieździe. Jest to miasteczko niewielkie, mające mniej więcej 2,500 do 3,000 dusz, a jako pograniczne, wyłącznie przez chrześcian zamieszkane. Dawniej trudniło się fabrykami sukienkami i blawatnami, które się tu na wielką skalę rozwijały; nieprzyjazne krajowe zawichrzenia nawpół je zniszczyły. Kościół starożytny zachowuje w sobie groby rodzinne. Pałac stary, w nowym guście przyozdobiony, ogród angielski starannie utrzymywany z wy-

tworną oranżeryą i trephauzami, były jedyną tego miejsca ozdobą, gdyż leży w okolicy dzikięj, piaszczystej i bagnistej. Jednym z interesujących wspomnień Kromolowa był odźwierny pałacowy nazwiskiem Bilnicki, dawny kamerdyner mojego dziadka, mający przeszło lat 100, a zdrów, rzeźki, jakby ich 40 dopiero liczył. Miejsce odźwiernego było w tej rodzinie jakoby dziedziczne z ojca na syna, a pradziadek znanego mi staruszka zapamiętał jeszcze czasy Michała Wiśniowieckiego. Rozmowny Bilnicki prawił różne gawędy i powiastki; cztery niemal pokolenia przesunęły mu się przed oczyma; znał ich przygody, związki, koleje, miał przytém tak lokalną pamięć, że wypadki z największą dokładnością szczegółowo rozpowiadał; a ludzi, ich nazwiska, czyny, charaktery, obyczaje, zwyczaje, opisywał w tak żywych kolorach, jakby ich jeszcze chodzących i mówiących widział. Opowiadania jego nie odnosiły się jedynie tylko do jego czasów: zapamiętał on jeszcze swego dziada, i z ust jego słyszał wiele faktów, których tamten znów był świadkiem: to też Bilnicki był chodzącą kroniką wypadków przynajmniej półtora wieku w tył. Z opowiadań jego wiele było miejscowego tylko interesu, np. o ogierze pana starosty, o chartach pana generała, o najazdach ludzi pana starosty, o imieninach, zjazdach familijnych, ślubach, sutych weselach i przenosinach, bogatych rzedach, jak to dawniej bywało, jak to stoły gięły się od srebra, a kulbaki nawet były ze srebra złożonego; a broń taka, jakiej dziś już na lekarstwo nie zobaczy. Były w tych gawędach legendy o duchach, czarach, były też i prawdziwe historyczne opowiadania. Z liczby tych ostatnich najmocniej młodocianą moję wyobraźnię zajęła gawęda o królu Michałku Wiśniowieckim i pani Warszyckiej jego siostrze, dawniej właścicielce Kromolowa, a prababce mojego ojca. Jak to dawne panie polskie, acz księżniczka z rodu, pani Warszycka była rządną, gospodarną i do pracy

skora. Raz tedy, gdy siedziała w olejarni przy rzepaku z którego jej olej zbić miano, i sama pilnowała, by broń Boże jaka cząsteczka sposobem nieprawym na bok nie poszła,—nagle daje się słyszeć zdala po brukowanym dziedzińcu tętent konia, i wnet pokazuje się z za drzewiny dorodny jeździec, dojeżdżający na prześlicznym arabskim rumaku, ubrany w ferezyi suto złotem naszywanęj, z szablą przy boku i sobolim kołpakiem na głowie. Zsiadł opodal przed pałacem, i zażądał widzieć się z panią Warszycką; a gdy mu wskazano, gdzie się znajduje, śpiesznym krokiem ku olejarni mierzyl. Wszedłszy do tego budynku, zastaje w nim siostrę królewską przedzającą kądziel, siedzącą na długiej ławie kołbiercem wybitęj, z pokoju naprędce przyniesionej. Miała na sobie jupkę starą niby koloru brązowego, wyszywaną w ciemne jedwabne kwiaty, której powierzchowność zdradzała starość i częste użycie. Służyła ona do codziennęj wizyty w stajni, wołowni, krowiarni, i nazywała się *gospodarką*. Pani Warszycka, podniosłszy głowę i zmierzwszy przybyłego od stop do głowy, zapytała poważnie: czegoby żądał?... Zagadniony, skłoniwszy się prawie do ziemi, wręczył jej pismo własnoręczne jego królewskiej mości (albowiem był to dworzanin królewski), w którym donosił siostrze swojej, że jadąc z Krakowa do Warszawy, trakt obrócił na Częstochowę i Kromolów umyślnie, aby ją nawiedzić, z nią się nagadać i nacieszyć. Uradowana z obiecanego przybycia brata, powstała czém prędzej z swojego siedzenia i biegła już do pałacu, aby tak wysokiego gościa przyjąć stosownie i uczciwie, o ile nagły jego przyjazd i czas krótki pozwalają; kiedy rzuciwszy okiem na mielący się rzepak, nagle się zatrzymała, i obróciwszy się do dworzanina; „Uradowana jestem, rzecze, że wielce mój miłościwy brat i pan raczył pomyśleć o nawiedzeniu mojej chudoby; jednak wyznam waszmości szczerze, że mi te dzisiejsze jego odwiedziny niekoniecznie na rękę, gwoli

że mi wypadł właśnie obrządek koło oto tam tego rze-paku. Jaką oni sobie dadzą radę beze mnie: wszystko mi rozszarpią." Ledwie tych słów domawiała, zatętniła zdala na dziedzińcu sześciokonna kolasa, i wysiadł z niej król Michał, niestary jeszcze, ale blady, chwiejący się, widocznie chroniczną chorobą, która go też niebawem zabrać z tego świata miała, powalony, i powolnym krokiem szedł ku nadbiegającej siostrze, którą czule powitał. Za królem przybyło kilkadziesiąt różnego kalibru kolas, kolebek, bryk i bryczek z panami i dworzanami królewskimi, którzy wszyscy przez dni kilka w pałacu suto i wspaniale podejmowanymi byli. Gdy w roku 1827 ojciec mój, zamieszkały w Warszawie, odwiedził panią Tarczewską, siostrę panny Klementyny Tańskiej, wówczas jeszcze niezamężnej, na jednym z jej środowych wieczorów opowiadał przy herbacie to zdarzenie, z którego autorka *Rozrywek*, w jednym z wstępnych numerów tego pisma, utworzyła tak odmienną od prawdziwej powiastkę, że ją żadnym sposobem za też samą przyznać nie możemy. Jakże się dziwić, że odległej starożytności faktu historyczne w opowiadaniu tak różną od prawdy przybierają postać, kiedy zdarzenie drobne i niezbyt dawne tak przeobrażone zostało, że go poznać niemożna?...

Dziadek mój z matki Wielogłowski, starosta olszański, poseł w czasie czteroletniego sejmu, którego mam kilka listów w rękę, do żony pisanych w czasie agitującego się sejmu, był człowiekiem wielkiej poczciwości. Umarł w roku 1801, zostawiwszy dwie córki i czterech synów, z których dwóch młodo poumieralo, a najszerszy Kasper był ostatnio senatorem, kasztelanem Królestwa Polskiego i prezesem senatu byłej Rzeczypospolitej Krakowskiej, który to urząd w roku 1838 złożył. Moja babka, podzieliwszy dość znaczny majątek między dzieci, pozostawiła sobie w dożywocie alimentu i wieś Proszówki nad rzeką Rabą w cyrkule Bocheńskim

Galicyi austriackiej, o mil trzy od Krakowa położoną. Gdy mój ojciec urzędował w tém mieście, kilka razy na rok jeździłam z moją matką do Proszówek; to też wszystko, co tam widziałam i słyszałam, w żywej mi stoi pamięci. Zajeżdżało się dość długim, drzewami wysadzonym dziedzińcem, przed długi, niski, drewniany dworzec, nietynkowany, starością poczerwiony, z małą facyatką i gankiem wchodowym we środku. Opodał, może o dziesięć kroków, stała w ogrodzie kaplica tak urządzona, że moja babka, słabowita i delikatnego zdrowia, z okien salonu mszy świętej bardzo wygodnie słuchać mogła. W owych czasach, to jest koło roku 1815 i 1816, mogła mieć lat 70; była blada, szczupła, rysów ściągłych, nadzwyczaj miłych i szlachetnych, noszących ślady niepospolitej regularności. Jej dobroć dla ubogich, szczerą i wylaną gościnność dla przybyłych w jej progi, nie miały granic. Nie było dnia, żeby w proszowickim dworcu nie było naraz dwudziestu do czterdziestu osób na obiedzie. Ona sama nie siadała prawie nigdy do stołu, żyła jedynie kaszką drobną, którą sobie w czasie obiadu lub wieczery podać kazała, i jadła chodząc koło siedzących gości, a pilnując uważnie, aby każdy jadł i pił według gustu i zwyczaju swojego. Widzę jeszcze salę jadalną, wysokie, aż do sufitu białe lakierowane szafy, w których za szkłem połyskiwały talerze ze starej saskiej porcelany z niebieskimi w gzygzak obwódkami, wówczas w powszechném użyciu będącemi. Widzę jeszcze owe olbrzymie czarne hebanowe świeczniki, *) porcelanowe na ogromnych podstawach wazy, imbryki, płaskie filiżanki z ogromnemi różami na środku wprost uszka; owe słynne w Dunajcu poławiane jesiotry i lo-

*) Z powodu ogromnego na srebro podatku, obywatele galicyjscy musieli pochować, lub do krewnych w Królestwie Polskiem zamieszkających poodsyłać swoje stołowe srebra, które stosownie do użycia zastępowali porcelaną, hebanem, lub różanem drzewem.

nosie, które długością swoją cały środek stołu zajmowały, i wpośród kwiatów, owoców, cukrów, butelek i kieliszków, wspaniale spoczywały. Widzę, jak w dzień świętego Józefa, jako w dzień imienin pani domu, gdy jadalna sala nie mogła pomieścić przybyłych gości, musiano stół powiększyć i przeprowadzić go wzdłuż całego domu przez sieni ogrzewaną aż do salonu, który cały nim zajęty został. W liczbie osób, zwykle w te dni uroczyste przybyłych, bywał krejs-kapitan cyrkulowy, En... z żoną, generał stojący garnizonem w miasteczku, kilku officerów z jego sztabu, przyjeżdżających zwykle w wygodnych miejscowych powozach. Starosta był to sobie Niemiec, lat może sześćdziesiąt mający, z garbem z tyłu, suchy, chudy, zatabaczony, w okularach na ogromnym, chociaż wcale nie rzymskiego kroju nosie, powolny, mało mówiący i głuchy. Do tego słowa nie umiał ani po polsku, ani po francuzku, co niemało zalet przydawało jego konwersacyi. Nie wszyscy umieli dość biegle po niemiecku, aby się wdać z nim w gawędę; a chociaż się kto i znalazł wprawny w mowie Schiller'a i Goethe'go, to mu się znów nie chciało wsuwać nosa i ust w ogromną trąbę, którą starosta uprzejmie podawał każdemu, kto się tylko do niego zbliżał. Grzeczny i uniżony w obejściu, zawsze uśmiechający się i ucha nadstawiający; cała wizyta jego ograniczała się na kilkanaście razy wyrzeczonych wyrazach „Was sagen Sie Madame?“ na które naturalnie nie odpowiadano, o co dobroduszny Niemiec wcale się nie gniewał, i poprzestawał na siedzeniu u stołu zaraz obok starszej córki gospodyni, w którym to czasie rola jego nie była już bierną, gdyż doskonale podawane sobie łakocie z talerzy zmiatał i kieliszki wypróżniał. Żona jego, o lat może trzydzieści młodsza od niego, długą, sztywną, sztywniej jeszcze w falbany i niezmiernie wysznurowaną suknię ubrana, mniej od męża milcząca, umiejająca trochę z niemiecka po francuzku i mająca pre-

tensę do tańca, a nawet do kontredansa, którego najpocieszniej w świecie tańczyła, układając usta, twarz, figurę według swojego wyobrażenia, stosownie do ruchów tańca. I tak: w *chassé croisé* najmilej się uśmiechała do tańczącego naprzeciwko tancerza; w *la trompeuse*, która wówczas *furor* robiła, odwracając się nagle stroiła filuterną minę; w *balancé* zaś i w podaniu ręki swojemu tancerzowi przybierała czułość Heloizy, a gracyę Dydony. W dzisiejszych czasach, gdzie wszyscy są jakby na jeden kształt wykrojeni, już nie ma na nie-szczęście takich oryginałów; a jeżeli są, to raczej w charakterach, narowach, wyobrażeniach: w obejściu i powierzchnowości bardzo rzadko. Ta szanowna para łącznie z generałem i officerami austriackimi najwięcej mię bawiła. Któż nie zna, albo nie słyszał przynajmniej o wojskowym mundurze austriackim, tak pociesznego kroju: trójgraniastym kapeluszu oszytym szerokim złotym galonem, podobnym do papierowych kapeluszy, jakie dzieci sobie robią dla zabawki z arkusza papieru, ogromnym pałaszu hałaśliwie suwającym po pokoju, krótkich szaraczkowych surdutach z zielonym kołnierzem i dwoma rzędami świecących guzików! Wszystko to dokuczliwe, sarkastyczne, fiskalne, gburowate i nieznośne w stosunkach urzędowych i garnizonych, było niesłychanie uniżone i potulne w salonie. Systematyczność niemiecka poszła w przysłowie i nie jest zabawna dla krajowców: cóż dopiero, gdy miała do czynienia ze szlachtą polską najmniej systematyczną!... Obie strony wzajemnie się skarżyły, z Wiedniem korespondowały, komissye na siebie sprowadzały, nim się pogodzić zdołały; wszakże systematyczność niemiecka, jako silniejsza, przemódz musiała, zawsze przecięż z całą grzecznością i uniżonością. Lubiałam bardzo dość częste przejażdżki nasze do Proszówek, bo mnie tam zawsze nowe przyjemności czekały. Najprzód sama droga z Krakowa do Proszówek była dla nas pasmem

wesołości i niespodzianek; a jedną z nich była niezapreczenie przeprawa przez Wisłę we wsi Sierosławice, gdzie była komora austriacka. Tam zwykle bywaliśmy przyjęci przez *einnemera*, to jest pisarza czyli naczelnika komory, którego usługą względność opłacali rokrocznie moi rodzice kilkunastu furami siana i kilkudziesięciu korcami owsa. Pan *einnemer*, szczególnym bardzo zdarzeniem nie Niemiec, był serdecznym przyjacielem wszystkich obywateli na kilka mil w około: z każdym się kochał, poufalił, bo każdemu był wielce przydatny. Ten miał wyprawę córki lub siostrzenicy do przewiezienia, inny bryką ładowną winem, cukrem, kawą; inny świeży wiedeński powóz w zamian za stary, który po tamtej stronie szlabana pozostawił. Takim pisarzem przez czas długi był pan S... pół-Polak, pół-Francuz, człowiek niski, jowialny, wielki myślistwa amator, mający kieszenie napelnione prochem, hubką, rogami obfitości w srebro oprawnymi, ubrany zimą i latem w bekieszkę watowaną, u której na trzecim lewym guziku wisiała kanwową robotą wyrabiana włóczkowa torebka na tytuń.

Etykieta przyjęcia *przyjaciół* na komorze była taka:

Zajeżdżało się przed zamknięty szlaban, wychodziło dwóch strażników z laskami żelaznymi zakrzywionymi, którzy ukłoniwszy się ze znaczącym uśmiechem, zaczęli się krzątać niby koło rewizyi rzeczy, to jest końcem laseczki dotykali waliz, tłómków i kieszeni, a dostawszy poczesne od państwa przejeżdżających, dawali znak podniesienia szlabanu, a na stangreta zawołali: „*Jedź z Bogiem!*“ co znaczyło, że stangret zaciął konie, przejechał baryerę i zajeżdżał przed mały domek murowany, z ganeczkiem i rabatami z róż centyfolii. Była to rezydencya pana *einnemera*, który wybiegłszy na dziedziniec, z uprzedzającą grzecznością wysadzał panie i uroczyście wprowadzał do przedsionka,

gdzie leżało kilka psów legawych, chartów i jamników, a następnie do pokoju mającego pretensję być pokojem bawialnym, bo stała w nim kanapa jesionowa, amaranowym merynosem pobita, przed nią stół okrągły kołbiercem nakryty, komoda, na której mało już śladu polityry znać było, zastawiona filiżankami różnej formy, kalibru i mody, z których połowa pękła, nadtłuczona i bez uszka; kryształową zamykaną, w bronz oprawną, cukierniczkę, kilku porcelanowymi fajkami, ogromnym tłukiem do tłuczenia orzechów, kilku szklanymi kubkami z napisem *Carlsbad* lub *souvenir*, i wypchanym kanarkiem. W środku tego kwodlibetu stał rodzaj samowaru na spiritusie, mosiężny, w kształcie beczki. Na ścianach było pozawieszanych kilka sztuk strzelby, para pistoletów, kordelas; a w kącie fajczarnia z długimi cybuchami. Dalej stolik, na którym była talia kart zabrudzonych polskich w maszynie od przyciskania, kilka biletów wytłaczanych z powinszowaniem imienin i Nowego Roku, leżących w czerwono-lakierowanym koszyczku; parę pół-arkuszy ze złożonemi brzegami i girlandą powinszowań od dzieci i siostrzeńców. Naprzeciwko drzwi wchodowych, jako najparadniejszy mebel, stał fortepian orzechowy, fornirowany, mający półpiętej oktawy, z czarnemi hebanowemi klawiszami, z których większa część nie odpowiadała. Na nim było porozrzucanych kilka odwiecznych walców i mazurków, grammatyka Meidinger'a i *Matki Rywalki* pani Genlis w tłómaczeniu polskim; nad fortepianem zaś wisiała gitara angielska o pięciu strunach. Na ścianie, jako konieczny mebel, paradowały portrety pana i pani.

Gdyśmy weszli, gospodarz posadził nas na kanapie i poszedł po żonę, która niebawem weszła w czepku z czerwonemi wstążkami, naprędce włożonym na głowie, niekoniecznie starannie uczesaną, i brudnym szlafroku, z zarzuconą (także naprędce) bagdadzką paliową chustką. Za nią osmolona dziewczyna przyszła po filiżanki, które

zabrawszy z komody razem z cukierniczką, w kwadrans potém wniosła już nalane kawę napół z cykoryą, z kilku na talerzu kraciastym desserowym podanemi *prawdziwie suchemi sucharkami*.

O pani einnemerowej niewiele można powiedzieć, gdyż usiadła na ostatnim stolku zdala od kanapy, kilka słów prawie niezrozumiałych przemówiła, i znów wróciła do siebie, gdzie kawę gościom przyrządzała. Zresztą nie miałam czasu jęj się przypatrywać, gdyż pan einnemer wniósł ogromny półmisek ciast w jednej ręce, a duży kosz owoców w drugiej. Była to zwykła niespodzianka, przysłana przez moję babkę, i będącą zwiastunem innych daleko miłszych, które nas w Proszówkach czekały. Po chwili oboje państwo einnemerowie odprowadzali nas do promu, gdzie nas czekali zamówieni już przewoźnicy. Byli to chłopci zagrodnicy, poddani dziedzica Sierosławic, którzy za dni pańszczyzny przeznaczani byli do statku, i mając go w ciągłym użyciu, doskonale nim kierować umieli. Ubrani byli jak zwykle lud koło Krakowa: w białych sukmanach i czerwonych czapkach czworograniastych. Nasłuchaliśmy się różnych żartów, śmiechów, dowcipów, dykteryjek, bo krakowski chłopiec jest z natury wesoły, rzeźki i lubiący żartować z siebie i drugih, zwłaszcza jeżeli ten, z którym ma do czynienia, jest tak nazwany *ciarach*, to jest szlachcic z dalszych okolic: bo co z swoim panem, jego ekonomem lub sąsiadem, jest potulny i nawet nieśmiały.

Uraczywszy dobrze naszych przewoźników, wyjechaliśmy na trakt, zwykle zwany w Galicyi austriackiej cesarskim gościńcem, to jest na drogę murowaną, czyli żwirowaną, która tak jak dziś nasze *chaussé*, nie była szeroka i gładka, ale wązka, grudziasta, pełna zasp, dołów, najeżona głębokimi kolejami od bryk furmańskich, ustawicznie po nięj krążących. Nie wiem, czém się to dzieje, ale wjechawszy do Galicyi, co naprzód uderza, to ten ustawiczny ruch handlowy, z żadną

inną prowincją dawniej Polski równać się nie dający. Zdaje się, że przemysł nasz, zwykle niebardzo czynny i energiczny, na tym punkcie wyłącznie się skoncentrował.

Za przybyciem do Proszówek, ledwie mieliśmy czas wysiąść z powozu, już nas babka zaprowadziła do przeznaczonego dla nas pokoju, gdzie zastaliśmy na dużym stoliku porozkładane mnóstwo zabawek. Tu ogromna lalka z długim warkoczem, w koturnach, mechanicznie chodząca i niziutko kłaniająca się, w atlas i blondyny strojna, grzecznie do swego towarzystwa zapraszała, kiedy mój brat już dosiadł ogromnego drewnianego konia, na którym się huśtał, niby galopując. Przyjmował nas zwykle na przyjeźdném, w dziedzińcu, ogromny pies, brytan czarny, nazwiskiem Bukiet, który tak znał moją matkę, że gdy wysiadała, czepiał się jęj sukni i póty nie puścił, dopóki ją ze wszelką czcią i powagą do pokoju nie wprowadził. Był on postrachem wilków i złodzieiów na mil kilka naokoło; ale w starości swojej źle skończył, bo przez wilków, z wielkim żalem pani, domowników i gości, pożarty został. Lubił on niezmiernie dzieci, które go zaprzęgały do wózków, dosiadały, poganiały, nie mogąc go nigdy zniecierpliwić.

Były w Proszówkach dwie panie, tak zwane respektowe, dalekie krewne pani domu. Starsza z nich, pani kapitanowa Usielska, była to sobie kobiecina podryła, ale dobrze i czerstwo wyglądająca: wysoka, twarz ściągłę, rysów nieco ostrych, drobnych, z wąsikami, co ją czyniło podobną trochę do huzara. Nazywano ją „panią kapitanową,” i nikt się nie ważył, nawet moja babka, jęj dzieci i goście, inaczej ją nazywać. Była wdową po kapitanie Usielskim, który w bitwie pod Szczekocinami, obok generałów Wodzickiego i Grochowskiego, kulą ugodzony został. Niezmiernie lubiła dzieci; więc też ją nawzajem bardzo lubiliśmy. Niejeden



wieczór zszedł nam na słuchaniu jęj opowiadań różnych przygód życia, których my z upodobaniem i zawsze z wielką słuchali uwagą. Czasami dla urozmaicenia tańcowała z nami, i w jednym z tych skoków upadłam i nos sobie stłukłam. Trzeba było widzieć strach i rozpacz staruszki! Co tylko miała w swym pokoju i apteczce kosmetyków, olejków, spirytusów, wódek kolońskich, anodyn, wszystko to użytém było na pierwszy ratunek mojego nosa; nic to nie pomogło: dni ośm najmniej, z wielką boleścią ukochanej Usielsi, chodziłam z nosem czerwonym jak piwonია, a dużym jak pięść. Czas swój dzieliła staruszka między nas i maryasza z księdzem proboszczem z Krzyżanowic, lub konsyliarzem Kanką, w Bochni mieszkającym. Ksiądz proboszcz był to sobie człowiek wysoki, chudy, pobożny i dobroczynny, ale przepadający za maryaszem, które to zamięłowanie dzielił z doktorem Kanką;—w czém zresztą zgadzali się, bo co do wszystkich innych rzeczy byli w ciągłych sprzeczkach. Kanka był wesół staruszek, i równie jak ksiądz proboszcz, konieczny i codzienny gość proszowieckiego dworca. Nazywał się rzeczywiście Kanka, i był dziadem z matki pana Limana, który oddał się zawodowi dyplomatycznemu, i jako rezydent austriacki w Krakowie, roku 1846 ważne zajmował stanowisko. Szanowny Eskulap zwykle przyjeżdżał do Proszówek o godzinie dwunastej w południe, zawsze na koniu, mimo lat siedm-dziesięciu przeszło; nosił na białych jak śnieg włosach rudą perukę z harcapem, długi frak szaraczkowy, podobny do dzisiejszych rajtroków, na jeden rząd jedwabnych guzików zapinany; nosił w rękę znakomitę grubości bambusową laskę ze srebrną połączoną gałką, pod którą wymodelowany był konwulsyjnie śmiejący się satyr. Na siwych, pełnych jeszcze żywości i dowcipu oczach, nosił okulary w złoto oprawne; twarz i czoło zmarszczkami poorane, nosiły cechę wielkiej prawości; mimo tego, my dzieci niezmiernieśmy się go bały, bo

nam zawsze groził i często nas z pokoju wypraszał. Program jego przyjazdu i wyjazdu z Proszówek był zawsze tenże sam: zsiadłszy ze starego swojego stępaka, wchodził do pokoju z laską i kapeluszem, który zdejmował dopiero próg przeszedłszy, niezmiennie dodając: „Upadłam do nóg pani starościny dobrodziejki; jak mi się miewać raczy?” Czy był kto w salonie czy nie, czy była sama gospodyni lub jęj nie było — nic to formy przywitania nie zmieniało, i niebawem jął się do swojego wydziału, to jest do nakręcania zegarów.

Było ich ośm, między niemi jeden grający w biurku stojącym, inaczej zwaném sekretarzem, który nie mało zadawał pracy staremu, bo się często psuł i niezawsze stawał się powolnym przygrywaniu ulubionych kurantów, których codziennie z zajęciem od lat trzydziestu słuchał i przybyłym gościom zachwalał.

O godzinie pierwszej po południu, jako obiadowej porze w Proszówkach, ściśle przez zacnego konsyliarza przestrzeganej, stary lokaj Rzepecki ukazywał się w progu salonu z serwetą w ręku, co było niezawodnym znakiem, że dano do stołu. Jeżeli innych kobiet nie było, szła zwykle najprzód gospodyni domu z jakim obcym panem lub księdzem proboszczem, a doktor podawał rękę pani kapitanowej, z którą po skończonym obiedzie, przybrawszy księdza proboszcza do swojego towarzystwa, grywał maryasza w półę, w owe ogromne miedziaki austriackie, których objętość dochodziła wielkości zwyczajnej dłoni. Po dwugodzinnej partyi, w której się bez sprzeczek nie obeszło, pani kapitanowa brała ogromną włóczkową robotę, a doktor przechodził do sąsiedniego gabinetu, gdzie smaczno zasypiał; poczem wysuwał się cichaczem, poszedł do stajni, sam okulbać czył ulubionego kasztanka, i małym truchcikiem wracał do domu i chorych.

Inną jeszcze znaczącą figurą proszowieckiego dworca była druga panna respektowa, którą zwykle

tytułowano „panną podsędkówną.” Była ona o tyle kwaśna, niekontenta, gderająca i marudząca, ile pani kapitanowa była humoru wesołego, łagodnego i jednostajnego. W naszej epoce, w której wszystko dąży do pewnej doskonałości, typ starzej panny coraz bardziej niknie, tak, że jej prawie już rozeznać niemożna od doletnich mężatek. Jeżeli są jakie różnice, to w charakterze, uczuciach, bo co w ubiorze i obejściu, już ich od dawna nie ma.

Dziś stara panna, a nawet i młoda, mieszka, jeździ sama bez mężatki, chodzi w czepku i sukniach z ciężkich materij, rozsiada się na kanapie lub gdzie zechce, rozmawia głośno i śmiało o wszystkich przedmiotach, i nikt jej tego nie ma za złe. W ową epokę, to jest przed trzydziestu laty, rzecz się miała inaczej. Panny tworzyły, że tak powiem, inny świat, dla którego były inne zwyczaje, inne prawa przyzwoitości i nieledwie inny język; to też były najnieszczęśliwsze w świecie stworzenia: nie wolno im było ani mówić, ani śmiać się, ani tańczyć, tylko podług przyjętych form. Młode przynajmniej miały w niedalekiej perspektywie męża, który im mógł przynieść upragnioną wolność; lecz biała starym!... Ale wróćmy się do panny podsędkówny... Żyła ona na swoje nieszczęście w czasach daleko dla starych panien krytyczniejszych; nie dziwmyż się przeto jej złemu humorowi, zwłaszcza, że i powierzchowność jej niewiele ją do swobody i wesołości usposabiać mogła. Była nieładna, niska, widocznie ułomna; miała przynajmniej tę korzyść, że była wieku niedocieczonego, i przez lat przynajmniej dwadzieścia wcale nie starzała. Pretensyi wszakże nie brakło jej: często oczy spuszczała, czerwieniała, a w rozmowie potocznej udawała, że pewnych allegoryj i dwuznaczników nie rozumie. Nosila trzewiki na korkach, włosy do góry wyczesane i upudrowane, grzebieniem spięte, z jednym lokiem z tyłu wiszącym. Zawsze starannie wysznurowana, mimo ło-

patki widocznie wystającej; nosiła najczęściej ciemne, do figury robione jubki gradeturowe w kwiaty wyrabiane, na długiej, czarnej, jedwabnej sukni. Nie mając żadnego w domu zajęcia, gdyż apteczka i nalewanie kawy były wydziałem pani kapitanowej, panna podsędkówna, najczęściej milcząca z natury i małomówna, wieszcznie coś robiła na drótach, siedząc pod oknem i mrucząc gniewnie na wszystko i na wszystkich; nie ruszyła się ze swojego miejsca do niczego, chyba aby chwycić za klapkę od much, bo wygubienie tego niewygodnego owadu do niej należało; zatrudnienie, które zresztą podzielała z Domicyanem rzymskim cesarzem. Nie wiem, czy ją muchy lubiły, bo co my młodzi, nie kochaliśmy jej wcale; ustawicznie na nas gderała, lajała, skarżyła, i z jej przyczyny nieraz srodze strofowani, a nawet karani bywaliśmy. Moja babka jej nie lubiła, a w częstych jej z panią kapitanową nieporozumieniach, zawsze tej ostatniej stronę trzymała. My młodzi częste jej figle płataliśmy: to chowając jej drót od roboty, to wypróżniając tabakierkę, lub drażniąc się z jej ulubionym szpicem, który był również zły, kwaśny i mruczący, jak jego pani.

Mówiąc o proszowieckim domu, nie mogę pominąć czterech podrzędnych, ale ważnych w nim figur. Pierwszą z nich był pan Kaliciński, ekonom od lat trzydziestu w służbie swojej pani, prawdziwy typ starych sług, z jakich w każdym domu dawniej był przynajmniej jeden, a jakich dziś napróżnobyśmy szukali. Pan Kaliciński nosił się po polsku, miewał złociste pasy od święta, wąs zawiasty, a jako szlachcic miał prawo do szabli. Nie miał on nic wspólnego z innymi, a szczególnie dzisiejszymi ekonomami. Nie krzywdził on swojej pani, ani się panoszył, nie pijał kawy ani wina, chyba we dworze, a na śniadanie kontentował się kminkówką lub polewką z piwa. Łagodny i wyrozumiały dla chłopków, nie karał ich dla fantazyi lub w skutek złego

humoru, ani ich obdzierał, ani oszukiwał, ale był prawdziwym dla nich ojcem. Drugą z kolei ważną w domu osobą była pani Tuchowska, klucznica, zła, gderliwa, kłótniwa, ale wierna i bardzo tę wierność wysoko ceniąca. Ludzie, a szczególnie dziewczki dworskie, bali jej się jak ognia. Była kolosalnych jak na kobietę rozmiarów; twarzy czerwonej, połyskującej, nieco ospowatej; ubrana zimą i latem w watowany merynosowy koloru niewiadomego szlafrok, z ogromnym pękiem kluczów u pasa. Pani Tuchowska żyła w otwartej ze wszystkimi wojnie, wyjąwszy z panią swoją, gośćmi i dziećmi; szczególnie te ostatnie bardzo lubiła. Zachowywała ją w pamięci, gdyż mi często przynosiła gomulki z sera, świeże ciasteczka i sucharki. Widzę ją, wtaczającą się co rano do sypialnego pokoju „jaśnie pani;” jej postać zadziwiała mnie objętością, niemniej jak jej czepek, a jak go nazywała *kornet*, który od święta nosiła, z wielkimi żółtymi wstążkami i szeroką petifeniową falbaną, idącą od ucha do ucha przed środek głowy, bardzo wykrochmaloną i sztywną. Po niej następowały jeszcze dwie inne dworu mojej babki figury: panna Szuderska, panna służąca, i Wojciech Rzepecki, kamerdyner. Pierwsza wysoka, chuda i tak szczupła w pasie, że zdawało, iż się przełamie, z nosem ogromnym i ustami ściśniętymi, wysznurowana jak lalka, wypomadowana jak peruka, loki zawsze w papilotach, bo ich nie miała kiedy zrobić. Panna Szuderska mogła mieć lat około trzydziestu i wiele pretensyi do młodości; była zawsze w trakcie pójścia za mąż i nieodmiennie za młodszego od siebie, ale z niewiadomej przyczyny zawsze te zamierzone małżeństwa spełzały na niczém. Więcej mi jest pamiętnym Wojciech, z razu lokaj, później awansowany na kamerdynera, Rzepecki, a to z wielu różnych przyczyn. Najprzód w wieczór, w szarą godzinę rozповідаł nam bajki, które on „gadkami” nazywał: „O słomianym królewiczu,” „Żelaznym wilku,” „Worku sto-dukato-”

po wypróżnieniu zawsze cudownie napełnionym, „O obrusie,” rozwijającym się na każde zawołanie z nakryciem potrawami na osób dwadzieścia cztery, o wojsku napowietrzném i t. d. Siedząc w sali jadalnej na kanapie, obok wielkiego marmurowego kominka, płomieniejącego żarem suchej dębiny, pocziwy stary trzymał mnie na kolanach, a brat mój i rówieśnik jego, Walery Wielogłowski, brat nasz cioteczny (dziś znany autor kilku dzieł treści religijnej), stali przy nim; — więc wszyscyśmy słuchali jego opowiadań z nie zrównanem zajęciem. Przed laty trzydziestu powieści ludu nie miały tego poszanowania i wziętości co dziś; wszakże przez wzgląd na długą i wypróbowaną służbę Wojciecha, jego pobożność i nigdy nieposzlakowaną pocziwość, nikt, ani rodzice moi, ani *mademoiselle Josephine*, bona Francuzka, tej przyjemności nam nie bronili. Rzepecki posiadał całe zaufanie swojej pani. On sobie zawsze miał powierzone pieniądze na bieżące wydatki, był kassyerem ubogich; zwykle wszelkie datki i jałmużny przez jego przechodziły ręce. Dni wtorkowy i czwartkowy odróżniały się w Proszówkach od innych dni w tygodniu. We Wtorek, jako dzień targowy, Rzepecki jeździł do Bochni, gdzie skupił całą brykę cacek i zabawek, niby dzieciom na niespodziankę. Była to wszakże z upragnieniem spodziewana niespodzianka, gdyż się co dni ośm regularnie powtarzała, z niemniejszą przecież radością przyjmowaną była. Ktoż może wyrazić nasze zaciekawienie, gdy ładowna bryka we Wtorek wieczór zatętniła na dziedzińcu, i zaczęto z niej wydobywać po jednemu: lalki, marynetki, konie, wózki, bicze, bębny, pałasze, gospodarstwa, które Rzepecki, otulony jeszcze w płaszczu, rozdawał dzieciom z wielką przezornością i sprawiedliwością, aby broń Boże które w dziale ukrzywdzone nie było. Stary gniewał się i łajał, jeżeli jakim wypadkiem pani generałowa przywłaszczyła sobie konia pana półkownika, albo pan półkownik mieszał się do

gospodarstwa pani marszałkowej; albowiem służąc niegdys w wojsku Kościuszkowskiem w kompanii Usielskiego, stary wojak tchnął duchem wojowniczym, musztrował codziennie paniczów i każdemu z nich dawał tytuł wojskowy. Walery Wielogłowski, jako najstarszy, był panem generałem, mój brat zwał się panem półkownikiem, mnie zaś, jako *damę*, tytułował „panią marszałkową.” Te hierarchiczne stopnie wywoływały między nami różne nieporozumienia, bo nam bardzo chodziło o utrzymanie rangi; a bywało, że Rzepecki bez miłosierdzia jednych awansował, a drugich degradował; bo prawa do honorów były w stosunku dobrego prowadzenia się paniczów. Człowiek ten, bez wysokich wyobrażeń o wychowaniu, bez mądrych systemów i wielkich zasad, wynalazł najskuteczniejszy sposób do zmuszenia nas do grzeczności, albowiem niczego tyle nie baliliśmy się jak *degradacyi*, i dość było nam pogrozić staruszką, aby nas zmusić do porządku; a mówiąc nawiasem, potrzeba wojskowej karności czuć się w Proszówkach dawała, gdyż nas babka trochę psuła i każde strofowanie ze strony rodziców lub nauczycieli jęł zły humor wywoływało.

Dni czwartkowe były mniej wesołe dla nas, ale jakże upragnione dla wszystkich ubogich wokolicy: były to dni rozdawania jałmużny na pamiątkę śmierci mojego dziadka, który w dzień czwartkowy pocziwy swój zakończył żywot. Od samego rana w dniu tym, wszystkie zakątki obszernego dziedzińca zalegli ubodzy, chorzy, kaleki o mil kilka czasem przybywający. O samą dwunastą, Rzepecki na ogromną tacę wynosił przeznaczoną dla nich kwotę, i stosownie do wieku i rodzaju kalcetwa, pomiędzy nich rozdawał. Zwyczaj ten trwał bez przerwy lat dziewiętnaście, to jest od śmierci mojego dziada do zgonu jego żony. Że zaś moja babka, jako mająca dobra w Galicyi, razem ze wszystkimi współobywatelami różne losu koleje przechodziła, mianowicie

zaś słynną redukcję papierowych pieniędzy, przez którą bardzo wielu obywateli postradało całe mienie, zdarzało się nieraz, że pieniędzy w kassie zabrakło, i we Środę w wieczór, a nawet czasem i we Czwartek rano nie było ich jeszcze. Biedny Rzepecki, sługa i powiernik pani, bardzo się kłopotał, w głowę zachodził, jak to będzie; lecz zawsze jakaś niespodziewana ręka w pomoc mu przychodziła, czy to przez przybycie kupca na okowitę, na zboże, na wełnę; czy też przez odniesienie zaległego czynszu; słowem nie było wypadku, aby we Czwartek w południe pieniędzy w kassie nie było. Trzeba było widzieć, z jaką wiarą, z jakim rozrzewnieniem stary rozповідаł ten prawdziwy cud Opatrzności Bożej. Nieraz słyszałam go mówiącego w chwilach jakiegoś trwogi lub kłopotu: „To nie na naszą głowę; Pan Bóg tu radzić musi.”

Z uczonych zwiedzających Proszówkę, o ile zapamiętać mogę, był Jan Śniadecki i Józef Sołtykowicz, profesorowie uniwersytetu krakowskiego. Pierwszego bardzo słabe mam wyobrażenie, gdyż powołany do Wilna przez cesarza Aleksandra, opuścił na zawsze Kraków, i już w jego rozkosznych okolicach czasu feryj czyli wakacyj przepędzać nie mógł. Zostawił w rodzinie naszej drogą po sobie pamięć przez przyjaźń, jaką ją zaszczycał, i cnoty towarzyskie, o których często słyszeć mi się zdarzyło. Jak mówiono, Śniadecki zwiastował już wówczas, kiedy na wakacje do Proszówek przyjeżdżał, człowieka niepospolitego, i tu gotował materyały do pięknego dzieła p. t. *Geografia matematyczna*, którą w lat kilkanaście później w Wilnie wydał. Mówiono, że w piękne noce gwiazdziste, uzbrojony w podręczne narzędzia astronomiczne, obserwował niebo, i spostrzeżenia swoje, siedząc na skale o milę a czasem i dwie od domu, przy świetle stoczka notował. Józef Sołtykowicz bardziej mi był znany, gdyż go często i w Krakowie widywałam, z powodu, że wszyscy prawie młodzi moi

krewni B. B. i W. W. na pensji u niego byli. Pełny dobroci i słodczy wobeciu, z twarzą wesołą, uśmiechającą się, lubo poważną, nie odstręczał od siebie, owszem przyciągał, a przecież wzbudzał poszanowanie. Jego wychowańcy bali się go jak ognia, a czcili jak ojca. Pensya jego w Krakowie miała najwięcej wziętości i sławy, tak dla dobroci professorów, między którymi sam Sołtykowiec wiele jęj czasu poświęcał, jak i też dla nader ograniczonej liczby wychowańców. Sołtykowiec mało się wyróżniał od uczniów swoich, starszych sam czasami wprowadzał w świat dla obeznania ich z jego zwyczajami. Kupił o kilka mil od Krakowa wieś *Harszewice*, gdzie ich w miesiące letnie wozil w celu wczesnego obeznania z pięknościami przyrody, z gospodarstwem i dla świeżego powietrza.

Przejażdżki nasze do Proszówek, zawsze kilka tygodni trwające, odbywały się regularnie dwa razy do roku: w epoce św. Józefa i na święta Bożego Narodzenia. Wszakże moja babka, coraz bardziej upadając na siłach, uległszy natarczywym prośbom dzieci, we Wrześniu 1817 roku stałe zamieszkanie w Krakowie obrała. Najęto dla niej całe piętro domu dawniej Zochowskiego aptekarza, na ulicy Floryańskiej, wprost hotelu zwanego później „*de Russie*.” Po jęj sprowadzeniu się do Krakowa, już też prawie żadnego wieczoru, wyjąwszy dni na przyjęcie u moich rodziców przeznaczonych, w domu nie przepędzaliśmy. Upadające mojej babki zdrowie nie pozwalało jęj wychodzić, a że lubiła bardzo świat i bez ludzi obejść się nie mogła, dom jęj był miejscem zebrania nie tylko rodziny i przyjaciół, ale całego towarzystwa, i dla tego zwano ją krakowską kasztelanową polaniecką. Wielkich zebrań nie bywało u niej, nie pamiętam nawet, aby kiedy w jęj salonach tańczowano; co wieczor jednak zbierało się po kilkanaście a czasem kilkadziesiąt osób. Drzwi u niej bywały otwarte dla każdego; ubożsi i bogaci krewni, równie serdecznie

przyjmowani byli. Z osób też zwykle uczęszczających, o ile zapamiętać mogę, byli: ksiądz biskup Woronicz, starościna olbromska, ksiądz referendarz Sołtyk, Józef Sołtykowiec, o którym już wspominałem, margrabstwo Wielopolscy, Wincenta Gostkowska, Mikołajowie Gostkowscy, pani wojewodzina Małachowska, pani Potulicka. O każdej z tych osób muszę coś w tych wspomnieniach umieścić, zwłaszcza że ich nazwiska, z kąd inąd znane, nie mogą być dla czytelników obojętne.

Najprzód zacznę od księdza biskupa Woronicza, którego wizerunek tu podam, nie jak zwykle widzę go opisywanym w mnogich panegirykach, ale w całej prawdzie mojej młodzieńczej pamięci.

Pierwszym dawniejszym wypadkiem, jaki pamięcią objąć mogę, był wjazd Woronicza do Krakowa w roku 1816, gdy przybył obejmować stolicę biskupią, i jego processjonalny pochód na zamek.

Mieszkaliśmy wtenczas na ulicy Kononnej i z okien mego pokoju mogłam się przypatrzeć tęj uroczystości. Wszystkie władze, instytuta i cechy wystąpiły; baldachin nad głową biskupa, przybranego w insygnia swojej godności, niesiony był przez obywateli i wyższych urzędników; towarzyszyli kanonicy, professorowie uniwersytetu przybrani w togi, w asystencyi okiem niedościgłych tłumów ludu zebranego z miasta i dalekich okolic, bo obrzęd ten nabrał większego jeszcze blasku głośnem już w świecie Woronicza imieniem. Jego postać i powierchowność nosiły cechę talentu i cnot, które go prawdziwie odznaczały. Był wzrostu średniego, tuszy niezbyt szczupłej, rysów twarzy okrągłych, cery bladej, wyrazu oczu melancholijnego; był zwykle smutny, milczący, wszystko widział smutno i czarno. Był nieco dziwak, a nawet hypochondryk. Zwano więc go powszechnie *smętoszem*. Postać pasterza poety, szlachetność i powaga malująca się w każdym poruszeniu; ta ręka unosząca się nad ludem i błogosławiąca mu, głęboką

część każdego przejmowały. W prywatnym życiu widywałam go bardzo często. Jego fioletowy ubiór, duży krzyż złoty i gwiazda orderowa błyszcząca na piersiach, rozmowa i ruchy pełne godności i powagi, przejmowały mnie bojaźnią i uszanowaniem, zwłaszcza że żadna jego wizyta nie obeszła się bez dość ścisłego egzaminu z katechizmu i Piśma Świętego. Miłośnik nauk, a mianowicie dziejów polskich; pałac jego w Krakowie tak ze względu fresków, jak różnych pamiątek tam zgromadzonych, był prawdziwem muzeum. Budowa tego gmachu sięga jeszcze pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce; architektura jest oczywiście ciężka, niezgrabna, bez śladu jakiegokolwiek sztuki, jak to bywało w czasach poprzedzających wiek odrodzenia. Woronicz wyrestaurował go swoim kosztem, a mury górnych mieszkań ozdobił freskami pendzla słynnego wówczas Stachowicza, wyobrażającymi główne wypadki i sceny z dziejów polskich. Nie zapomnieć wrażenia, jakiego doznałam, patrząc na te wierne obrazy staréj Polski z konfederacyami, sejmikami, elekcjami i bitwami; te malownicze ubiory, wąsy zawiesiste, głowy ogolone, energiczne rysy fizioognomii dawnych Polaków, a razem ich postawa pełna powagi, dumy i szlachetności. Stoi mi jeszcze w żywej pamięci chwila, w której gospodarz, wiodąc mnie za rękę, oprowadzał po tych salach, kazawszy mi tłómaczyć sobie szczegółowo każdy ustęp dziejów ojczystych, który mieliśmy przed sobą.

Woronicz zawód swój zaczął od probostwa w Powsinie, i dla głębokiej nauki, znakomitego talentu poetycznego i rzadkiej kaznodziejskiej wymowy, wywyższony na wielkie w kraju tak cywilne, jak duchowne godności; umarł w Wiedniu r. 1829, arcybiskupem warszawskim i prymasem Królestwu: godność, którą ostatni aż dotąd piastował. Mówią, że w czasie jego pogrzebu Wiedeńczycy pierwszy raz widzieli smutne ceremonie obrzędu tego i pochodu processjonalnego z ciałem przez miasto.

U nas najuboższe klasy ludu sumiennie cześć publiczną zmarłym oddają; dla krewnych te powierzchne oznaki ulgę czynią żalowi, dla ogółu są pożyteczne nauką, przypominającą nieodzowny koniec człowieka i marność żądzi i uciech tego świata. W Wiedniu wszakże wywożono zmarłych najczęściej wieczorem, w karecie zamkniętej, nie noszącej żadnych powierzchownych oznak swojego przeznaczenia. W czasie śmierci Woronicza, Polacy w Wiedniu bawiący, pamiętni jego zasług, umyślili go pochować z całą okazałością i obrzędami u nas praktykowanymi. To też pogrzeb polskiego prymasa do dziś dnia jest Wiedeńczykom pamiętnym, I jakże widok trumny nie miał zrobić wrażenia na ludności, która nigdy na ulicy trumny nie widziała?... Leczył wówczas Woronicza słynny Malfatti, lekarz europejskiej sławy; miał on za żonę Polkę, pannę Ostrowską, siostrę Władysława i Antoniego Ostrowskich, która będąc na kuracyi u niego, tak go pokochała, że wbrew woli familii wyszła za niego, ale niedługo się tym związkiem ciesząc, w lat kilka umarła. Malfatti leczył naszego wieszca na chorobę wątrobianą, jakoż się nie pomylił: była to choroba, która ledwie nie od lat młodzieńczych trapiła go prawie bez przerwy, i temu też przypisać należy humor melancholiczny i cierpiący arcybiskupa. Kto wie, czy nie w cierpieniu czerpał owe pełne uroku poezye, które w pismach jego uwielbiamy? Mimo wielkiego daru wyśpiewania wszystkich boleści i mąk tęsknej do lepszego życia duszy, nie było podobno człowieka, któryby mniej niż Woronicz talent swój cenił. Rzadko w pismach swoich mówił, jeszcze rzadziej je publicznie czytał. Miał on jedną słabość, dość dziwną w człowieku tego usposobienia: od wstąpienia na stolicę biskupów krakowskich nie przestawał żalić się i utyskiwać, nad czém?... Oto nad upadkiem blasku, wielkości i bogactwa biskupów krakowskich. Nieraz w potocznych rozmowach przytaczał na pamięć owe przywileje prawdzi-

wie monarchiczne książąt siewierskich; wyliczał miliony złotych dochodu, będącego do ich rozrządzania, powagę i blask do téj godności przywiązane, i ubolewał nad téj upadkiem.

Raz w poufnéj rozmowie, gdy go przyjaciele nazywali po tytule, odrzekł:

— Nie zwiécie mnie—wołał smutnie—nie zwiécie biskupem, ale biskupiną; bo czémże to ja jestem w godności i dostatkach w porównaniu z moimi poprzednikami?! (1).

— Mości księżu biskupie — odezwał się na to jeden z obecnych — zawsze lepiej się masz od apostołów, których całém mieniem była torba i kij, a przecież jesteś dziś ich następcą i przedstawicielem.

Mimo téj słabości, pochodzącej podobno więcej z żalu po przeszłości, niż po osobistych korzyściach, o które niezbyt wiele dbał, Woronicz miał niezaprzeczone zasługi. Obok prawdziwie genialnych zdolności, był dobroczynnym, a w końcu życia rzetelnie pobożnym. Mówią, ale tego z pewnością zapewnić nie mogę, że przez jakiś czas podzielał błędy masonów, i był wielkim téj sekty zwolennikiem, z czego wszakże miał zrezygnować w późniejszych latach życia.

Ostatnio publicznie widziałam Woronicza, gdy na kilka miesięcy przed śmiercią koronował cesarza Mikołaja na króla polskiego, w Maju 1829 roku, a widziałam go z bliska, bo z galleryi sali koronacyjnej czyli senatorskiej w zamku. Zachował w tym obrzędzie wiele go-

(1) Po drugim podziale kraju, Księztwo Siewierskie przeszło pod panowanie pruskie, a dochody biskupów krakowskich zredukowano z dwóch milionów do złp. 60,000. Biskup Turski był ostatnim księciem siewierskim. Jak wiadomo, książęta siewierscy mieli przywileje wszystkie udzielnych książąt; mieli prawo łaski i miecza, udzielania szlachectwa, utrzymywali wojsko na swym żołdzie, bili monetę i t. p.

(Przyp. autora)

dnosci i powagi, jak zwykle, ale twarz bledsza niż za zwyczaj i chwiejące kroki świadczyły o chorobie chronicznej, która nam go wkrótce zabrać miała.

Mówiąc o Woroniczu, uprzedziłam o wiele lat epokę, w której się w tych pamiętnikach obecnie znajduję, a chciałabym się o ile możności porządku dat trzymać. Książd Woronicz, który mnie nieco dłużej zatrzymał, zastał mnie w salonie mojej babki. Drugą z rzędu figurą pod względem wieku i znaczenia była w nim pani starościna olbomska, Dembińska, Morstynówna z domu. Posiadająca jeden z najznaczniejszych majątków w Polsce, niepospolitego rozumu i jak naówczas nauki, starościna trzęsła polityką i interesami województwa Krakowskiego, gdzie miała obszerne dobra i w którego stolicy stale zamieszkiwała we własnym domu, przy ulicy Św. Jana. Przed rokiem 1794, wszystkie wybory urzędników, posłów na sejm, odbywały się pod jej wpływem, i powiedzmy z bolem serca, nie w sposób przynoszący chlubę naszej narodowej reprezentacji. Zaraz po rozesłaniu uniwersałów, zwołujących sejmiki na umówiony dzień, pani starościna posyłała swojego marszałka z kredensową i kuchenną służbą do miasteczka powiatowego Proszowic, gdzie najmowano najobszerniejsze, jakie można było znaleźć, pokoje, zastawiano stoły, beczki stały otworem z winem dla wszystkich bez wyjątku obywateli. To wspaniałe podejmowanie weszło w konieczny obyczaj; rachowano na nie z całą pewnością, to też nikt z jeżdżących do Proszowic na sejmiki nie uznawał potrzeby zaopatrywania się w żywność i napoje. Mówiono: „Chodźmy na obiad do pani starościny,” jak się zwykle mówi dziś w Warszawie: „Chodźmy do hotelu Angielskiego.” Dla tego pani starościna była pewna swoich kandydatów, i nikt nie pomyślał nawet walczyć z nimi o pierwszeństwo; ale też przyznać trzeba, że téj wziętości nie nadużywała, i najczęściej wybór jej padał na ludzi ze wszech miar god-

ných zaszczytu zasiadania w sejmie. W rządach parlamentarnych partya ministeryalna, zwykle potrzeb ludu nieświadoma, kieruje wyborem intrygani; tu kierowała niemi, lubo sposobem niekoniecznie prawym, jedna z miejscowych obywaterek, która z konieczności lepiej obeznana była z potrzebami i interesem swoich współobywateli. Bądź co bądź, pani starościna nie była pospolitą kobietą. Książd Chołoniewski w dziełku swoim, jęj pamięci poświęconém p. t. *Dwa wieczory u starościny obromskiej*, wybornie odszkicował jęj obywatelskie i towarzyskie cnoty, uprzejmość, gościnność, szczególnież też opiekę, pomoc i uprzejme przyjęcie, jakich doznawali u nięj uczeni, których była przyjaciółką i znawczynią. Nizka, rysów twarzy nieco surowych, wzbudzała uszanowanie, a niekiedy bojaźń. Pamiętne mi są jęj dziecinne wieczorki, które czasami dawać lubiła; mniej jednak swobodnie młode pokolenie u nięj się bawiało, gdyż się jęj powszechnie bano. Widzę ją jeszcze, poważnie siedzącą przy kominku i robiącą siatkę, rozmawiającą ze starszymi gośćmi, gdy jęj ludzie ubrani w niebieską liberyę z kołnierzem amarantowym, kawę i ciastka roznosili. Otoczona zwykle bywała swojemi córkami i wnuczkami, i kilku osobami z dalszej familii lub przyjaciół, czasowo u nięj przebywających. Miała dwie córki, z których jedna była za generałem Wielhorskim, ministrem wojny z czasów Księztwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego; a druga wydana została za słynnego Tadeusza Czackiego, o którego życiu prywatném, a mianowicie sławném roztargnieniu wiele się nasłuchiwałam. Jego żywość i ruchliwość naturalna, wiele się do tego roztargnienia przyczyniały. Był obok tego powszechnie kochanym, a w rodzinie uwielbianym⁽¹⁾.

(1) Pełny dobroci i słodczy w domowém pożyciu, miał trochę ułożenie oryginalne. Ubiór zaniedbany, włosy zawsze rozrzucone i nadzwyczajna żywość odznaczały go od wszystkich.

Anegdota o jego roztargnieniu są powszechnie znane; ledwie nie więcej niż zasługi obywatelskie i uczona sława założyciela szkoły krzemienieckiej. Wspomnę tu wszakże jeden przykład, którego nie zdarzyło się mi nigdzie słyszeć ani czytać; opowiadała mi go pani wojewodzina Wielhorska, siostra jego żony. Bawiąc raz w Warszawie za czasów Stanisława Augusta, przyjmował króla u siebie. Wśród przygotowań tego przyjęcia, Czacki, który zawsze za mało miał czasu do zaspokojenia swojej namiętnęj żądzy szperania w starych księgach i rękopismach, czytał w najlepsze według swojego zwyczaju, wyciągnięty na podłodze twarzą na dół; gdy szwajcar zadyszany przybiega oznajmić mu, że król się zbliża, i że czerwone mundury eskortującej go gwardyi mirowskiej ukazały się na rogu Miodowej ulicy. Czacki zrywa się czém prędzej z ulubionego swojego legowiska, zrzuca wygodne, acz niebardzo przyzwoite jak na przyjęcie króla ubranie, przyczesa na prędce rozczochrane włosy i w wielkim pośpiechu porywa za leżącą na stole wstęgę orderu Orła Białego, którą zawiesza sobie przez prawe ramię, i pewnym będąc że jest w całym komplecie swojej tualety, gdy przywdział order, znika z oczu zdziwionego szwajcara i wybiega na schody, na przyjęcie króla, którego sześciokonna karetka wjeżdża właśnie w bramę pałacu. Wystawmy sobie zdumienie obecnych, gdy ujrzeli gospodarza całego w bieli, to jest w koszuli, w sukienkach białych *indispensablach*, ze wstęgą orderową na wierzchu. Król, który znał roztargnienie Czackiego i nieraz się z niego uśmieł, widząc go w tym stroju, wstrzymał duszący go śmiech, i ściskając go za rękę:

— Jak się miewasz mój starosto — rzekł monarcha — ale cóż u kata dziwnie mi jakoś wyglądasz w tym niezwykajnym stroju!

Ten żart króla przebudził biednego uczonego, który zobaczywszy się w obecności króla w takim negliżu,

pomieszany i zrozpaczony pobiegł do swojego pokoju dla wzięcia przyzwoitszego ubrania. Dziwnyż to ten rozum ludzki; jak blizki on jest upadku w chwili nawet, gdy zdaje się na najwyższym swęj doskonałości szczyblu! Jakże tu uderzające podobieństwo uczonego do wariata!...

Ten błąd organiczny Czackiego nie odejmował mu w niczém szacunku i powszechnęj czci, jakiej używał w pośród wdzięcznych rodaków. Oprócz powszechnego uwielbienia dla jego cnot i zasług, ceniono w nim może więcéj i powszechnięj tę wadę, bo ludzie mają słabość dla roztargnionych, nie przypuszczając w nich fałszu, udawania, kłamstwa; bo jakże ma kłamać i udawać ten, co połowę swojego życia nie wie sam, co robi?... Mówiąc o Czackim, nie mogę nie przytoczyć tu powszechnie znanej o nim powieści, którą słyszałam i czytałam w różnych wersjach najmnij zbliżonych do prawdy. Stosunek familijny, łączący rodzinę moją z domem starościny olbromskiej, dał mi sposobność kilkakrotnie słyszeć ją opowiadaną przez samych niemal aktorów tęg sceny. Czacki przebywał czasami z żoną w Szczekocinach u pani starościny, matki samęj pani Czackięj. Jednego ranka, gdy wszyscy zeszli się na kawę do pokoju pani domu, przyszedł i nasz pan Tadeusz, ale tak błądy, drżący i pomieszany, że uwagę a nawet przestrach obecnych na siebie zwrócił.

— Co tobie jest panie Tadeuszu? — zapytała pani starościna. — Zdajesz mi się być mizerny; czyś czasem nie słaby?...

— Żle spałem — odrzekł Czacki — a przytém miałem zdarzenie tak osobliwe, tak niesłychane, że go nawet opowiedzieć nie umiem, nie śmiem i... nie mogę.

To powiedziawszy, wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju. Proszę sobie wystawić ciekawość wszyst-

kich obecnych. Pani starościna niebawem wstała także od kawy; poszła do siebie i pełna trwogi i niespokojności, zadzwoniła i kazała zięcia poprosić do siebie. Przyszedł Czacki, drzwi zamknął za sobą na klucz, rzucił się na krzesło, a zasłaniając sobie oczy rękoma, chwil kilka w głębokiém zostawał zadumaniu. Pani starościna siedziała w krześle przy kominku; długo nie przerywała, ale w końcu, nie mogąc zataić swojej niespokojności, rzekła:

— Trwożysz mnie!... Jesteś w niezwykłym sobie stanie; coś się dzieje z tobą nadzwyczajnego, co tobie jest?...

— Co mi jest? — rzecze Czacki. — Co mi jest?... Oto ojca mojego dziś w nocy widziałem... tak, ojca mojego zmarłego; widziałem go, mówiłem z nim, dotykałem się go. Nie był to sen, gdyż doskonale pamiętam, że to się działo na na jawie. O jakież okropne jego przepowiednie!... Czegoż je mam powtarzać; czyż nie dosyć nieszczęścia, gdy przyjdzie!... O jakżebym chciał oddalić trapiącą mię myśl!... Jakoś wczoraj z wieczora — ciągnął dalej Czacki — długo nie mogłem zasnąć, napróżno przewracałem się, oczy zamykałem, gdy nagle zaszeleściła firanka mojego łóżka. Pełny trwogi porывam się i widzę przed sobą wyraźną postać ojca mojego. Ubrany był, jak go zwykle za życia widywałem; mówił do mnie i mówił dość długo...

Czacki, domawiając tych słów, umilkł; starościna patrzała na niego ze współczuciem zmieszanim z trwogą i zadumaniem, ale mu nie przerywała. W końcu Czacki wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Twarz biała, oczy czerwone łzami zaszle, nosiły ślady wzruszenia i boleści. W końcu, jakby nie mógł przewyciężyć miotających nim uczuć:

— Wątpić nie mogę — rzekł, przystanąwszy trochę przed starościna — wątpić nie mogę, że to on, że duch

jego zszedł z krain wieczności, aby mi straszne wypowiedzieć prorocstwo.

Tu starościna, przestraszona, poczęła go zaklinać, aby jej objawił przepowiednie ojca.

— Chcesz-że wiedzieć matko, dowiesz się, ale uzbój się w odwagę: *oto wnuk twój ukochany Feliks w przeciagu roku żyć przestanie!*

To wyjąknawszy, nieszczęśliwy ojciec padł prawie bez przytomności na krzesło. Po krótkiej chwili otrzeźwiony się trochę i przebudziwszy jakby ze snu, ciągnął dalej swoje opowiadanie.

Tu Czacki opowiedział starościnie, że ojciec jego, wzięwszy za życia od Żyda w Porycku zamieszkałego 500 dukatów, umarł wkrótce, nie dawszy na tę sumę rewersu i nie zostawwszy żadnego śladu tego długu ani w papierach, ani w notatkach swoich. Naprózno Żyd poszukiwał swojej należytości u massy, żądającej dowodu, którego tamten nie mógł okazać. Otoż owę pamiętną noc, starosta Czacki upominał syna o oddanie tego długu. Jak wielu uczonych, wyłącznie oddających się jednemu przedmiotowi, Czacki nie był pietystą, ale bynajmniej nie dzielił niewiary i bezbożności, tak w modzie między uczonymi owych czasów będącej; wierzył w Boga, w nieśmiertelność duszy, miał religię w poszanowaniu. Głęboko przekonany o prawdzie swojego widzenia, Żyda zaspokoił, ale nie lubił mówić o tej nadzwyczajności, bo jej sobie racjonalnie wytłómaczyć nie mógł. Okoliczność ta wpłynęła mocno na humor i swobodę szanownej tej rodziny; czarny ją dręczył smutek, który zamienił się w rozpacz, gdy rzeczywiście według słów prorocstwa, Feliks Czacki, syn pierworodny Tadeusza, ukochany od rodziny, pełny nadziei młodzieniec, w rok później żyć przestał!

Pani Czacka była jedną z najpiękniejszych kobiet swojego czasu. Wielkiej dobroci i słodczy charakteru,

pełna uprzejmości, przyjemności i talentu, była prawdziwą ozdobą salonów. Po utracie męża, zamieszkała przy matce w Krakowie, z kąd już prawie nie wyjeżdżała. W roku 1813 zawarła tajne śluby z panem Z..., swym nadwornym lekarzem, z którym później miała syna. Nikt oprócz państwa W..., obecnych temu aktowi, nie był przypuszczony do tajemnicy, i nikt też jej się nie domyślał aż do śmierci pani Czackiej, która w testamentie dopiero oświadczyła, że od lat kilkunastu rękę swoją oddała panu Z... i syna jego przyznała. Co może przesąd nazwiska i związków?! Pani Czacka, która miała dość cnoty, aby się nie usidlić w niedozwolone związki, i miłość swą małżeńską poświęcić węzłem; nie miała odwagi poświęcić dawne a świeżo zasługami pierwszego męża uświetnione imię, kobieciej sławie i koniecznym pozorom moralności i przyzwoitości. Jej związki z panem Z. nie były nikomu tajne, a świat nie przypuszczony do tajemnicy ich świętości, miał je słusznie prawo potępiać. Tak to przesąd, czasowe wyobrażenia, pycha i słabe pojęcie o tém, co stanowi rzeczywisty honor, kładą nas często w najfałszywszem położeniu i w sprzeczności z samym sobą. Powiedzmy na obronę pani Czackiej, że żyła w epoce zbliżka pamiętającej czasy Stanisławowskie; a zatem mającej wyobrażenia o moralności nieco przekrzywione; że zapomniała o tej ważnej maksymie: że niedosyć jest czynić dobrze we własnym przekonaniu, ale potrzeba jeszcze nie dać z siebie żadnego pozoru zgorszenia. Inną jeszcze okolicznością zastanawiająca w tym epizodzie jest ta moc duszy i umiejętność panowania nad sobą w kobiecie słabej i hołdującej uczuciu, którego nie mogła przezwyciężyć, a która przecięż znalazła dość odwagi, aby się przez lat przeszło 20 tać nietylko z miłością, ale z obowiązkiem; boć pani Czacka, albo raczej pani Z., była żoną i matką. Pojmując, że można zachować cudzą tajemnicę, témbardziej poj-

muje zachowanie jęj tam, gdzie honor i życie ukochanego przedmiotu mogą być narażone; ale nie pojmuje, jak czasowe wyobrażenia mogą mieć tyle mocy, aby nietylko nakazały sercu tyloletnie milczenie, ale nawet zastąpiły pozorną obojętnością uczucie dość silne, aby też same pozory przemogły.

Synowa pani starościny olbromskiej, pani Katarzyna, najstarsza z siostr mojego ojca, poszedłszy za mąż, pojechała do Wiednia, gdzie lat kilka mieszkała. Córka jęj Zofia umarła na suchoty. Przecudnej urody, była co to nazywają *une beauté magnifique*; rzadko bowiem znaleźć regularniejsze rysy twarzy, połączone z figurą pełną gracy i majestatyczności. Przed kilku jeszcze laty znajdował się w album mojej matki jęj portret, olówkiem przez nią samą w zwierciadle rysowany, gdzie się wystawiła trzymającą na ręku przesłicznego baranka. Nie wiem, jakim sposobem psotna ręka niewiadomj osoby drogą tę pamiątkę z księgi, z niewypowiedzianym żalem moim, wydarła. Amelia, trzecia siostra, żyje jeszcze. Jest to jedna z tych anielskich istot, które natura od czasu do czasu skąpo i oględnie stwarza dla szczęścia i pociechy rodzin. Pełna poświęcenia i uległości dla sędziwój babki, nie odstępowała jęj do zawarcia powiek, znosząc z nieporównaną cierpliwością marudztwa i zmienny humor schorzałej już w końcu życia staruszki. Bóg przedłużył życie Amelii, aby dał jęj do dna wyczerpać wszystkie gorycze tego życia, przez najdolegliwsze straty. Najprzód skonał prawie w jęj oczach, bo w domu pani starościny olbromskiej, ten, z którym dozgonnym miała się połączyć węzłem, Konarski, stryj tego, który ożenił się w Krakowie z córką najstarszą autora słynnego dzieła o „Ogrodach,” Katarzyną Wodziką; umarł na rękę rodziny swj narzeczonej w Szczekocinach. W rok później sama pani starościna wśród łez i starań wnuczki, ostatnie oddała

technienie. W skutek wyraźnej jęj woli, na łożu śmierci objawionej, Amelia, będąc jeszcze w żałobie, oddała rękę swoją znanemu ze zdolności i dowcipu Ludwikowi Dembińskiemu, a synowi pani chorążyny Dembińskiej, którą często w dzieciństwie mojm widywałam. Pamiętny mi jest ten ślub i piękna mowa, którą Woronicz powiedział z tej okazji, łącząc państwa młodych 1825 roku, w kaplicy pałacu biskupiego w Krakowie. Niedługo Amelia cieszyła się mężem swojego serca i wyboru. W lat kilka utraciła go najokropniejszym wypadkiem. Było to w lecie, w którym Ludwik Dembiński miał zwyczaj pić wodę selcerską. Przyjechawszy ze wsi do Krakowa na czas krótki, mieli oboje zrobić tegoż wieczora kilka wizyt. Amelia poszła ubierać się do swojego pokoju, a jęj mąż pobiegł na górę wypić szklankę ulubionego napoju. Niebawem daje się słyszeć niezwykajny ruch na schodach, i okrzyk: „Pan umiera!” rozlega się po domu. Nieszczęśliwa żona bezprzytomna wypada ze swego pokoju, leci na górę, i widzi męża leżącego na kanapie, miotającego się wśród śmiertelnych konwulsyj, oddającego ostatnie technienie. Ta chwila jest nie do opisanja, i ona jedna zastąpiłby mogła wieki katuszy. Szczególną jakąś igraszką natury, mąż Amelii był prawie zupełnie pozbawiony zmysłu węchu. Gdy kamerdyner jego Francuz Detrais odkorkował butelkę dopiero co przyniesioną ze sklepu, i nalał owęj niby selcerskiej wody w szklankę, poczuł niezwykły zapach i przestrzegł pana, lecz ten nieszczęśliwy ze zwykłą sobie żywością porwał za szklankę i wychylił do dna... Niestety! była to najzjadliwsza trucizna, ekstrakt z gorzkich migdałów, który subjekt sklepowy przysłał mu przez pomyłkę, myśląc, że to woda selcerska!...

Ale nie na tém koniec cierpień biednej kobiety. Bóg przedłużył jeszcze jęj żywota, aby widziała w krót-

kich po sobie odstępach śmierć matki, szesnastoletniej córki i dwudziestoletniego syna, który zginął śmiercią tém okropniejszą, że zginął w pojedynku.

Tak to: są istoty błakające się po tej ziemi jedynie, aby życie swoje przeplakały, lub je drugim w ofierze nosły. Całą ich pociechą: jest pamięć śmierci i nadzieja lepszego życia.

II.

Jedną z pamiętnych mi postaci salonu mojej babki był ksiądz referendarz Sołtyk. Połączoną z nim związkami powinowactwa, często w domu nawiedzał. Wysoki, chudy, ubrany nieodmiennie w długi prawie do kolan czarny frak i złoty łańcuch z emaliowanym białym krzyżem, jako znakiem kościelnej jego godności, miał pełne kieszenie zegarków grających, tabakierek grających, dewizek różnego kalibru, a palce jego przykryte były pierścieniami, antykami i nie antykami. Mieszkanie jego było przepelnione różnemi osobliwościami, drogiemi kamieniami, klejnotami, więcej bogactwem i sztuką, niż dawnością zalecającemi się. Wszedłszy do niego razu jednego z moją matką, zdumiałam na widok tylu i tak obficie porozrzucanych cacek i świecideł, a ksiądz referendarz, który lubił dzieci, a bardziej jeszcze rad widział wrażenie, choćby na młodych umysłach spowodowane widokiem bogatego zbioru, powiedział do mnie z uśmiechem zadowolenia: „Coś bardzo oczki na wszystkie strony strzelają?” Ale jakże strzelać nie miały, kiedy tyle świecących przedmiotów walczyło z sobą o pierwszeństwo do mojej dziecinnnej admiracyi. Tu misternie wyrobiony kanarek, który śpiewał, tam złote, z prawdziwego złota wyrabiane, pływające rybki; to znów ogromnej wielkości naczynia złote i srebrne; brzozy, mozaiki i tym podobne przedmioty.

Mówią, że najtrafniejsza krytyka jest w ustach ludu i dzieci. Otoż ksiądz referendarz znalazł krytykę swojego zbioru w ustach siedmioletniego W. W..., który zapytany przez niego: jak mu się te wszystkie bogactwa wydają?—odpowiedział, nie wiele myśląc: „O! bardzo mi się wszystko podoba: tak napchane i różne, jak w sklepie zabawek.”

Pamiętni mi także byli, jako prawie codzienni u mojej babki goście, margrabstwo Wielopolscy; sama Bielińska z domu, siostra słynnej z rozumu ministrowej Łubieńskiej, była wzorem kobiet, żon i matek. Miała córkę Krystynę, pełną także cnot i talentów, która poszła za pana Bontani'ego. Sam margrabia, potomek starodawniej w Polsce rodziny i posiadacz znacznego majątku (majoratu), skutkiem okoliczności nieprzyjaznych zaciągnawszy długi, prosił króla saskiego, wówczas księcia warszawskiego, aby wbrew istniejącemu prawu o fideikomisie dóbr margrabstwa, wolno mu było spłacić wierzycieli przez sprzedaż dwóch trzecich części dóbr margrabstwa, a majorat nowy erygować na trzeciej. Margrabia nie miał potomka płci męskiej, ani nawet blizkich bardzo krewnych. Król Niemiec, nieznający rzeczy, z łatwością pozwolił. Ale w lat kilka wraca z zagranicy potomek, na którego głowę spaść miał nowo erygowany z trzeciej części dóbr margrabstwach majorat. Wychowany nadzwyczaj starannie, wyćwiczony w naukach, objawiający wielką do interesów zdolność, słuchał kursów filozoficznych i prawnych na uniwersytecie w Getyndze. Ledwie powrócił do kraju, jał się do rozpoznania interesów majoratu i praw swoich do niego, i wytoczył stryjowi, staremu margrabiemu proces, o niewłaściwą sprzedaż dóbr margrabstwach; dowodził, że król saski nie miał prawa rozwiązywać erekcyi, od wieków na swój nietykalności istniejącej. Trybunały wszystkich instancyj głównie zajęte były obustronnemi skargami: z jednej strony staje stary mar-

grabia, otoczony właścicielami nowo nabytych dóbr margrabstwach, którzy je w dobrą wierzę, opierając się na dekrete królewskim kupili, których znaczna liczba całe swe mienie w te majątki włożyła i zagrożoną jest utratą wszystkiego; z drugiej staje młody margrabia, mający prawo i tradycyę za sobą, i obstający za niemi z energią lat młodzieńczych i pewnością, że wygra. Proces ten, o ile wiem, gdyż opuściwszy w roku 1826 na zawsze Krakowskie, przerwałam stosunki z osobami dobrane mogącemi mię poinformować, został rozstrzygnięty o ile tylko słuszność z prawem zgodzić się mogła. Wierzący i posiadacze dóbr margrabstwach wynagrodzeni, a margrabia wrócił do posiadania głównej stolicy majoratu, miasta Pińczowa. W bardzo młodym wieku często przejeżdżałam z moją matką przez Pińczów; pamiętne mi jest jeszcze miasteczko dość duże, ale źle zabudowane, rodzinami Żydów zapchane, rozłożone na ogromnych i piaszczystych bagnach, mające stromą górę, na której widać jeszcze zwaliska starego zamku; tu i owdzie porozrzucane ciosy, marmury, mozaiki, które niegdyś służyły za ozdobę temu przybytkowi, a dziś leżą bez użytku, na świadectwo znikomości rzeczy ludzkich. Tradycya niesie, że zamek ten był rozwalony przez matkę przedostatniego margrabiego, która w napadzie umysłowej choroby kazała go zburzyć aż do podwalin, niby dla szukania ukrytych w nich skarbów; a w jego miejsce u stop góry, nowy, niezbyt duży, o jednem piętrze pałac, który do dziś dnia istnieje, postawić kazała. Odwiedzałam w nich starych margrabstwach, którzy tu czasowo zamieszkali. Później odwiedzałam ich już nie w pałacu, ale w niskim pod strzechą domku, dokąd razem z nimi zawitała ich szczerza i staropolska gościnność, ich dobroć i uprzejmość; zawitały także dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, zabytki starożytności, które z pałacu pińczowskiego niestałość losów i rzeczy ludzkich aż pod ten skromny dach razem z nimi

zagnała. Przykry to zaiste był widok dwojga tych szanownych starców, chylących głowy swoje, przywykłe do wspaniałych pałacowych sklepień, pod niskie drzwi felwarcznego budynku; przykrzejszy stokroć jeszcze widok tych zabytków dawniej wytworności i zbytku, spojonych z niedostatkiem chwil obecnych!... Gdy margrabstwa już nie było w Pińczowie, zatrzymywaliśmy się zwykle u Chroberskiego, Żyda, utrzymującego zajazd. Był to typ owych pocziwych Żydów, których czasami napotkać można; potulny, przychylny, rzetelny i bez krzywdy ludzkiej proceder swój prowadzący. Ubrany w watowany kaftan perkalikowy, w kwiaty czerwone duże, na tle czarném, w ogromnej futrzanej na kształt bermycy czapce, pan Chroberski (tak go zwykle wszyscy obywatele i okoliczni sąsiedzi zwali), wychodził aż za bramę owego zajazdu na nasze przyjęcie, i tak nas witał, jakby swoich najlepszych przyjaciół. Późem zaprowadzał nas do izby niby gościnnej, z której na łeb na szyję żydowskie bety jego synowej i jej dzieci kolebki wyrzucali. Przed trzydziestu laty nie było jeszcze po wsiach i małych miasteczkach owych wspaniałych zajazdów, pałaców z kolumnami i pięknymi w guście włoskim wystawami, w których, mówiąc nawiasem, i dziś często bardzo ani jednej szyby w oknach nie ma; mury pootłukiwane, brak tu i owdzie dachówek i gontów, a pokoje tak zwane gościnne, o jednym kulawym stołku, sofie odartej i drgającym stole, z którego za przybyciem podróżnych wymiatają co tchu pajęczyny, pałą w dymnym piecu, i skostniałego od zimna gościa pod wiejącem sadzają oknem. Wprawdzie łatwiej to jest na wzór zagranicy stawiać pałacowe zajazdy, niż ludowi naszemu od razu wmówić niemiecką systematyczność, czystość i porządek. Ale wróćmy się na chwilę do zajazdu pana Chroberskiego. Że zwykle przejazdy nasze zdarzały się w lecie, trudno nam było wiedzieć, czy jego piece i kominy dymiły; ale choćby i tak było,

jego serdeczna i szczerza gościnność, na wszelkie niedogodności lub brak pobłażającymi być kazała. Kiedyśmy się już rozgościli, i pan Chroberski starannie dopilnował, aby dano wygodę ludziom i koniom, przychodził zwykle do mojej matki na pogadankę, którą niezmiernie lubił, niby pod pozorem dowiedzenia się, czy jej czego nie braknie. W czasie tej wizyty, wszystkie nowinki okoliczne na stół wychodziły. Najprzód cena zboża, wełny, okowity; narzekanie na brak handlu, taniość ziarna, ciężkie czasy; bo za czasów pana Chroberskiego, Polska nie przestała być jeszcze tą ziemią, która niegdyś całej Europie chleba dostarczała, i jeżeli na co narzekano, to na taniość: nigdy, jak teraz, na głód, brak i drogość ziarna. Prawda, że dawniej nie było słyhać jak dziś o chorobie kartofli, która równie jak wiele chorób ludzi, znaną nie była. Jak tedy pan Chroberski narzekał na ciężkie czasy, tak też jak ja dziś, chwalił dawne i już niepowrotne; wszystkich nieboszczyków wspominał, aby wychwalać ich zamożność i hojność. Znał wszystkie stosunki, wiedział o stanie majątkowym obywateli nie tylko okolicznych, ale całego województwa; o długach, procesach, kompromisach, układach, imieniach, zjazdach. O każdym mówił jak o swoim najlepszym znajomym. Dla mojej matki był z wielkim szacunkiem, a mnie głaskał po brodzie, nazywając zdrobniale po imieniu; tak samo i mojego brata, którego *Floruniem* nazywał, gdy już mężczyzną pod wąsem z żoną i dwoma najstarszymi synami przez Pińczów przejeżdżał i u niego na nocleg się zatrzymał. Z rana wyprowadzając gości, nigdy nie omieszkiał starszek, gdy już moja matka siedziała w karecie, napominać powożących, aby wyjeżdżając pod ogromną stromą górą, omijali bagno i kamienie; nastęczał im nowe, nieznane jeszcze boczne drogi, i tym podobne dobroczyenne dawał przestrogi; bo moja matka, jak wiele kobiet dawniej, a czasem i dziś jeszcze, niezmiernie się drogi bała. Ale znów

zrobiłam wycieczkę z salonu mojej babki aż do Pińczowa i Żyda Chroberskiego; niech mi ją czytelnik przebaczy, albo niech porzuci te wspomnienia, bo więcej tu jeszcze takich będzie. Mimo całej chęci trzymania się porządku dat w mojem opowiadaniu, niepodobna jest uniknąć tych wycieczek, już dla tego samego, aby nie urywać interesu i ciągu wypadków.

W liczbie bliższych przyjaciół mojej babki były dwie panie G..., które tu zwać będę po tytule, jaki im dawano. Obie rodzone siostry, poszły za dwóch rodzonych braci, panów: szambelana i prezesa Gostkowskich. Byli oni stryjecznie rodzonymi braćmi mojego ojca ⁽¹⁾; nadto pan szambelan był jego od serca przyjacielem, opiekunem jego młodości i ojcem chrzestnym mojego brata. Nosił się po polsku, u szyi błyszczała prześliczna, cudnej wody brylantowa spinka; nosił perukę krojem starych Polaków, to jest żydowskich mycek, tylko nie tyle na czoło zachodzącą. Kiedy pisał do mojego ojca, nigdy inaczej, tylko: „Jaśnie Wielmożny Bratuniu Dobrodzieju!” na wierzchu listu tytułował go, a kończąc list, nie zaniedbał dodać téj formy: „J. W. W. Pana Dobrodzieja życzliwy brat i sługa.” Gdy przyjeżdżał w czasie feryj sądowych do Opatkowic (majątku mojego ojca), miał zwyczaj mojemu bratu, jako swemu chrzestnemu synowi, dawać dukata hollenderskiego, których, jak kronika opiewała, miał podostatkiem, i nie zapominał nigdy dodać te słowa: „Na bułkę i papier.” Mój brat, który nigdy nie miał tyle pieniędzy razem, był niezmiernie ucieszony, a ja trochę zazdrościłam, mówiąc do siebie: „O! jaka to szkoda, że to nie mój

chrzestny ojciec!” Oboje państwo szambelaństwo mieli dom otwarty, utrzymywali się bardzo przyzwoicie, a przytém byli niezmiernie gościnni. Jak drudzy ludzie obierają sobie w życiu jakiś cel lub zamiłowanie: jeden skupuje obrazy i posągi, inny kładzie niezmierne kapitały w ogrody, oranżerye, budynki; inny w zabytki starożytności, tak szambelaństwo tracili znaczne dochody na przyjmowanie gości. Ona szczególnie, która o lat kilkanaście męża przeżyła, posunęła umiętność życia do sztuki, a czasem aż do pedanteryi. Równie uprzejma dla wszystkich, każdemu umiała wypaleć w swoim domu odpowiednie dla niego przyjęcie, towarzystwo, rozmowę i zajęcie. Miała tę rzadką bardzo dogodność, że posiadała majątek, a dochody i wydatki tak uregulowane, że jej zawsze na wszystko wystarczało, i przez lat czterdzieści niezmiennie lato przepędzała na wsi, zimę w Krakowie, gdzie miała sobie po mężu dom w dożywocie pozostawiony. Zajmowała go cały, a resztę mieszkań przeznaczała dla przyjaciół i przyjezdnych. Na wsi, co niedziela były u niej zjazdy z całego sąsiedztwa; w mieście przyjmowała codzień wieczorem, a dwa razy na tydzień bywały u niej obiady proszone. Na obiady uczęszczało całe krakowskie towarzystwo, zaczawszy od najwyższych do średnich warstw; ale tak gości swoich spraszała, i tak ich sztucznie dobierała, że nie było między nimi żadnej mieszaniny, i wszyscy z sobą urodzeniem, majątkiem, usposobieniem, a nawet wyobrażeniami i wiekiem harmonizowali.

Jest sztuka, którą nasi przodkowie daleko w wyższym stopniu posiadali niż my: to jest ten takt połączenia względów światowej przyzwoitości i harmonii z koniecznymi stosunkami pokrewieństwa i dawniej przyjaźni, których zrywać nigdy nie ważyli się. Dziś, jeżeli kto się zbogaci, lub na wyższy awansuje urząd, już się pnie do salonów wyższego społeczeństwa; zapomina o dawnych znajomościach, któreby rad już nigdy nie

(1) Szambelan i prezes Gostkowscy mieli jeszcze trzeciego brata, starostę cichowskiego, który mieszkał w Galicji. Ich ojciec miał sobie nadany tytuł barona Państwa Rzymskiego, którego jednak brat jego a mój dziadek, generał Gostkowski, nosić nie chciał.

(Przyp. autorki.)

widział, bo mu przypominają chwilę jego maluczkości i niedostatku. Przodkowie nasi nie zrywali z uboższymi: znaleźli oni czas i sposobność i do nowych znajomości, i do szanowania starych. Listy osób zaproszonych na obiady do pani szambelanowej były przez nią samą starannie układane i przeglądane. Potomek historycznego nazwiska i prosty szlachcic na zagrodzie, uczony i artysta, podupadły magnat i spanoszony bankier, obywatel i skromny urzędnik, podstarżała matrona i wymuskana lwica, elegant i długo frakowy doktor, wszystko to znalazło miejsce u stołu, zawsze i równie obficie i wykwintnie zastawionego. Każdy doznał równie gościnnego i serdecznego przyjęcia; wyszedł z tego domu nawpół uszczęśliwiony i we własnym przekonaniu wywyższony. Cała sztuka tych obiadów zależała na harmonii zaproszonych, i na tém, aby jedni z drugich byli kontenci. Proseni więc byli albo koteryami, albo tak, aby wszyscy goście, o ile można, zbliżeni byli pozycją w świecie, majątkiem, rozumem i talentami; aby nikt we własnym ani cudzém wyobrażeniu nie czuł się upokorzonym. Żaden malarz z dokonanego arcydzieła, żaden autor, gdy mu się uda wydać książkę, która narobiła w świecie hałasu, żadna matka patrząca na urodziwą córkę, nie mogą być więcej uradowani, niż pani szambelanowa patrząc na swoich gości i błogie skutki swój salonowej dyplomacyi. Dla czego zaprosiła tego dnia tę, a nie inną osobę; dla czego syn jęj starszy, który robił honory domu, podał z jęj rozkazu rękę pani P... a nie pani W...; dla czego umieściła obok siebie przy stole starego półkownika z czasów Księstwa Warszawskiego, i podupadłego księcia, dawnego z owych czasów prefekta; dla czego panu Z., młodemu człowiekowi, pełnemu życia i elegancyi, kazała usiąść obok staręj pani P..., matki dwóch młodych i bogatych panien? To wszystko rozповідаła mi z takim uśmiechem zadowolenia z siebie, takiem przekonaniem o swojej umiejętności

życia i przyjmowania; że wiała we mnie toż samo przekonanie i winszowałam jęj tej umiejętności.

Oprócz zamięłowania gości, wieczorów i proszonych obiadów, pani szambelanowa miała jeszcze inne zamięłowanie: lubiła koiarzyć małżeństwa. Przez lat niemal czterdzieści nie było łączącej się pary, któręjby była pośrednio lub bezpośrednio, wpływem swoim, stosunkami i znajomościami nie połączyła. Jeżeli się znalazł w mieście lub okolicy kawaler z pewną sytuacją, w wieku stosownym na męża, już miał wybraną sobie żonę w myśli pani szambelanowej. Przywoływała go do siebie, do zielonego gabinetu obok salonu, gdzie z całą względnością, umiarkowaniem i taktem dawała mu do zrozumienia, że dla niego czas już się żenić, że dobra jego są zadłużone, i że właśnie ma dla niego żonę, która mu wniesie posag wystarczający na zaspokojenie wierzyteli, spłacenie młodszego rodzeństwa lub dożywocie matki, i niebawem zapraszała młodzieńca na obiad, na którym miała się znajdować panna z rodzicami. Pani szambelanowa nie miała wad zwyczajnych swatom płci obojęj; nie była ani ruchliwą, ani gadatliwą, ani zbyt ciekawą i mieszącą się w cudze sprawy. Ta przyjemność w koiarzeniu małżeństw pochodziła z serca chcącego wszystkim usłużyć i dogodzić; a może też i trochę z próżności z przyczyny doprowadzenia do skutku czynności, do której trzeba zwykle taktu, sprytu, trafności, oraz znajomości świata i ludzi. Życie pani szambelanowej tyle było zespolonem z życiem towarzystwa krakowskiego i sąsiadów z Kuchar⁽¹⁾, że się zdawało, iż jęj strata widoczną im rzędził szkodę. Nie wiem z jakiego powodu, ale ta, która osobę swoją, czas, znaczne dochody drugim poświęcała, w niewielu bardzo sercach pozosta-

(1) Jęj majątek, gdzie lato przepędzała. (Przyp. aut.)

wiła długą i rzewną pamięć. Nie łatwiej nie zapomina się, niż uciechy i przyjemności życia, kiedy silne uczucie ważnej w nich nie odgrywa roli; ale czego nie należało nigdy zapomnieć, to hojności pani szambelanowej dla ubogich, którym niezawodnie jedną szóstą część dochodów swoich w ofierze nosła; to jej dobroci i poświęcenia dla krewnych, przyjaciół i przyjezdnych do Krakowa. Żadna z jej młodych krewnych nie szła za mąż, żeby ją drogim upominkiem, a co miłszem jest, współczuciem i pamięcią nie obdarzyła. Ktoś z obcych przyjeżdżał do miasta, brakło mu stosunków, a chciał się bawić: pani szambelanowa dawała obiad lub wieczór, w celu prezentowania przybyłego towarzystwu; na drugi zaś lub trzeci dzień obwoziła go po poważniejszych domach. W końcu życia nie bywała w teatrze, ale szło jej głównie o to, aby aktorowie mieli dochód, a przyjaciele i krewni miejsce w teatrze; abonowała więc łożę. Mało wyjeżdżała, ale jej kareta była na zawołanie wszystkich bez wyjątku znajomych, którzy własnej nie mieli. Jeżeli ktoś z młodszych przyjaciół lub krewnych dawał wieczór, a mało był doświadczony w formach przyjęcia, szambelanowa przyjeżdżała na kilka godzin naprzód, i tyle się utrudzała uorganizowaniem balu, jak gdyby to o nią samą chodziło. Jak my wszyscy, miała swoje słabości; lubiła na przykład stroje i wykwint w przyjmowaniu; ubierała się zbyt kowo; u siebie i na wsi bywała co dzień ubrana w róż, pióra i atłasy; miała po kilkanaście kaszmirowych szalów, a coraz inne skupowała. Sprowadzała z Czech pakami bażanty, miała w Kucharach sztuczną kuropatwiarnię i zawsze podostatkiem zwierzyń. Zresztą łatwo się zdobyć na jeden kosztowny obiad w czasie zimy; ale u pani szambelanowej, bądź na mieście, bądź na wsi, bywało ich kilkadziesiąt na rok, oprócz codziennego, bardzo przyzwoitego życia. Wszakże na wszystko jej wystarczało: była rządna, oszczędna, niezmiernie w domu czynna; miała

wszystkich ludzi dawnych, wiernych i bardzo sobie przychylnych. Szambelanowa wydała starszą swoją wnuczkę i wychowankę, Stefanię Walewską, za Józefa Gurowskiego, brata owego Ignacego, który wychowując się w Paryżu, miał sposobność poznać i ożenić się z infantką hiszpańską, siostrą króla hiszpańskiego. Zdarzyło mi się widzieć listy infantki pisane do familii męża, a mianowicie do Stefani Gurowskiej; są proste, uczuciowe, serdeczne, jak gdyby je pisała każda inna krewna za granicą przebywająca. Ta sama prostota dawała się spostrzedz w układzie infantki i w całym jej domu w Brukselli; gdy kto z krewnych lub rodaków jej męża odwiedzał młodą parę, rada ich bardzo przyjmowała.

Szambelanowa Gostkowska (1) miała, jak to wyżej powiedziałam, starszą siostrę, panią prezesową, którą powszechnie w rodzinie, a nawet w towarzystwie, „panią Wincentą“ zwano. Obie te panie były charakterem, gustami i nawyknięciami, dwa polarne przeciwieństwa. O ile młodsza lubiła ludzi i była im duszą i sercem oddaną, o tyle starsza stroniła od nich, i nie wychodziła z małego kółka, złożonego z doktora, domowych i kilku odwiecznych znajomych. Zwykle bywała ponura i milcząca, uchodziła za „sawantkę“, jak mówiono w owych czasach, co w tej epoce zaniedbania umysłowego wychowania kobiet, było osobliwością. Opinią swoję była „wolterzystką“, czemu przypisać należy jej charakter nieco zimny i samolubny; bo kobieta, która o Bogu wątpi, niezawodnie nikogo prawdziwie nie kocha. Jej wyłącznym zamiłowaniem były książki, które w kilku językach starannie i z wielkim kosztem zbierała. Zbiór

(1) Biedaczka tragicznie żywot swój skończyła. Siedzący, nuciła kluczyk na ziemię, a szukając go ze świecą, zapaliła sobie czepek, mocno się w głowę poparzyła i w dni kilka potem umarła.

(Przyp. ant.)

swój z kilkunastu tysięcy tomów, Akademii Krakowskiej testamentem zapisała. Ci, którzy ją bliżej znali, utrzymywali, że była rzeczywiście wysoko wykształconą, że miała wiele nauki i światła; nie przeczę temu, ale jej obejście, mowa i cała powierzchowność nie odpowiadały bynajmniej temu zamięłowaniu. Kiedy się ją widziało w wielkim, jasnym pokoju przepelnionym szafami z księgami, mappami, globusami, rękopismami, które zwykła pokazywać wybranym swoim, wyjść niemożna było z podziwienia, jakim cudem to wszystko tam znaleźć się mogło? Z natury podejrzliwa, zwykle ani pożyczać, ani pokazywać swych literackich skarbów nie lubiła. Panna Cecylia D., znana z dowcipu, jak jej bracia i siostry, zwróciła raz uwagę naszej literatki na szkodę wyrządzaną ogółowi przez jej trudność w udzielaniu książek, i nakłaniała, aby reformę swoją zaczęła od pożyczania jej samą pewną upragnioną książkę.

— Kiedy chorążanka chcesz czytać książki, to je sobie kupuj! — było jedyną odpowiedzią nieużytej kobiety.

Cała prawie sparaliżowana, umarła w krześle, z którego nie wstawała przez lat sześć, i w którym ją wożono, karmiono, bo żadnej władzy w rękach i nogach nie miała. W ostatnich dwóch latach nawróciła się zupełnie; mszy słuchała w swoim pokoju i życia po chrześcijaństwu dokonała.

Do liczby osób więcej mi pamiętnych w ówczesnym (1818 r.) poważnym krakowskim towarzystwie, należeli najprzód: ksiądz Sierakowski, kustosz katedralny (brat wojewody, którego później w Warszawie poznałam). Ksiądz Sierakowski miał wielkie zamięłowanie w budownictwie, a kieszenie nosił przepełnione planami na rozmaite budowy. Przez lat wiele nikt nie postawił kościoła, domu, stodoły, obory nawet, żeby się nie radził księdza kustosa i nie brał od niego planu. Ksiądz Łańcucki, prałat infułat kościoła Panny Maryi, czytany

i światły, ale poeta dość mierny, napisał wiersz: „Do kluska,” który go trochę przypominał, bo był jak kluski gruby, krępy, biały, jak nalany. Jego postać jest mi pamiętną, a to z wielu względów. Bywał na wszystkich mniejszych i większych zgromadzeniach; on zwykle śluby dawał, umarłych, w infule, z pastorałem eksportował, w oktawę Bożego Ciała na maryackich processjach (processjach z kościoła Panny Maryi) celebrował, a w Wielki Czwartek dwunastu klerikom nogi umywał. Pan Stanisław Wodzicki, ówczesny prezes senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej, znany botanik, zbieracz roślin, autor znamienitego dzieła „O ogrodnictwie” i założyciel słynnego w okolicy ogrodu botanicznego we własnych dobrach Niedźwiedziu, był chudy, miernego wzrostu; postać jego odznaczała się umbrellką na oczy, którą zawsze nosił. Żona jego, z domu Jabłonowska, była jedną z tych rzadkich kobiet, co to zamięłowanie świata i ludzi umieją godzić z obowiązkami domowemi skrupulatnie wykonywanemi. Była najlepszą żoną, matką; sama doskonale administrowała znacznym bardzo majątkiem. Miała pięć córek i dwóch synów. Najmłodsza z córek Emilia, moja rówieśnica, poszła za szwagra swojego, wdowca po jej siostrze Anieli, Zygmunta Działyńskiego. Pamiętny jest wiersz Woronicza z okazji ślubu Anieli Działyńskiej. Franciszek, starszy syn, zimował w Warszawie w roku 1828/9. Co to są pierwsze wrażenia dziecięcego wieku! Chowaliśmy się prawie razem w Krakowie, widując się ledwie nie codzień to na spacerach, to na balikach dziecińczych, to wzajem odwiedzając się z bonami i nauczycielami. W owym roku 1828/9 mieszkalam z moim ojcem w Warszawie. Jednego wieczoru byłam na malém zebraniu u księżny Tekli Czetwertyńskiej, gdzie w gronie młodzieży zobaczyłam Franciszka Wodzickiego; poznałam go od razu, choć lat jedenaście upłynęło od ostatniego naszego widzenia, a lat jedenaście w młodości stanowią wiek cały. Od

lat ośmiu do dwudziestu, ulega się zupełnemu przeobrażeniu. On mnie także poznał, i przywitaliśmy się jak starzy znajomi. Nie mogę tego powiedzieć o siostrze jego Emilii Działyńskiej, którą, będąc chwilowo w Krakowie w roku 1833, spotkałam na balu u Laurens'a, rezydenta austriackiego. Siadła obok mnie, długo mi się przypatrywała, nie mówiąc ani słowa. Wprawdzie miała do tego powód: była już mężatką, a ja tylko panną. Nie mogę przypuścić nic innego, gdyż musiała przecież wiedzieć, kto jestem, skoro przyjechałam na ten wieczór z Mikołajową Gostkowską, w towarzystwie jej rodziców, prezesa Wodzickich, i w ich ogromnej jak arka Noego karecie. Ten wieczór jest mi z wielu względów pamiętnym; znajdzie on może miejsce w tych pamiętnikach, ale później, gdyż nie chcę uprzedzać daty, o co mnie już i tak nieraz czytelnik zapewne oskarża.

W roku 18^{17/18} na zimę, rodzice moi najęli całe pierwsze piętro i dół domu dawniej Komorowskich, przy ulicy Różanej. Na górze było kilkanaście pokoi i salon o sześciu oknach, jeden z najobszerniejszych w Krakowie, w którym osób dwieście wygodnie mieścić się i tańczyć mogło. W tym roku bywało bardzo wiele balów i wieczorów dzieciennych prywatnych, i trzy kinderbale, które rok rocznie dawali nauczyciele tańców, państwo Kuder'owie, Francuzi z Alzacy, dość złym akcentem mówiący po francuzku; sami w nieskończonych entreszatakach i lansadach wyginający nasze nogi bez miłosierdzia i narzucający gwałtem bilety. Bale te bywały w sali Knotza na ich korzyść, i składały się z ich uczniów i tychże rodzin. Broń Boże, żeby kto się nie stawiał; byłby to grzech nie do darowania w oczach państwa Kuder'ów. Były zwykle dwa koła tańca, w których państwo Kuder'owie przewodniczyli, bijąc w takt i krzycząc do ochrzypnięcia *chassé croisé*, *balancé* i t. p., termina używane w tańcu. Wśród przerw tańca, faworytalni uczniowie lub uczennice państwa Kuder'ów, zwykli się byli

popisywać jakim tańcem *solo*, co wówczas było bardzo w modzie, z wielką dumą nauczycieli, a radością matek. Były to zwykle: szal, gawot i inne tańce, których uczono dla układania nóg i figury. Na pierwszym z tych balów, na którym byłam, pocieszny mi się wydarzył wypadek. W bocznym pokoju był przyrządzony buffet, zdobny w kwiaty i napełniony łakociami, które tak mile dzieciinne podniebienie lechcą. Ujrawszy z daleka, przechodząc, te stopy pomarańcz, cukrów, ciasteczek różnego kalibru, tak powabnie do siebie wabiących; nie mogąc przezwyżyć pokusy, zdołałam się wyrwać mojej matce i guwernantce, prowadzącej mnie za rękę, i przesunąć się niepostrzeżenie przez tłum osób zapelniających salę. Przybiegłszy do buffetu, zaczęłam w najlepsze wybierać, co mnie najwięcej pociągało; kiedy pani buffetowa, w pióra i kwiaty strojna, widząc mnie zabierającą się do odejścia ze zdobyczą, bardzo grzecznie upomniła się o zapłatę. Przyzwyczajona do prywatnych wieczorów, a nie znając jeszcze zgoła balów i zgromadzeń publicznych, nie mogłam sobie w głowie pomieścić, żeby się płaciło za to. Łatwo sobie można wystawić moje zdumienie i pomieszanie, gdy się raptem ujrzała przyaresztowaną za dług. Oniemiałam, zaczerwieniłam się, łzy już były za pasem, kiedy weszła moja guwernantka do buffetu i z tego kłopotu mnie wybawiła. Ten wypadek przypomina mi inny, niemniej nauczający dzieci, aby nie robiły bez namysłu i zastanowienia. Na jednym dzieciennym wieczorku u krewniej mojej matki, pani Popielowej, rozbawionej i roztańcowanej, przyszło mi do głowy zabawę, która mnie bardzo zajęła, powtórzyć nazajutrz, i nie wiele myśląc, wszystkich młodych moich znajomych i znajome, nie uprzedziwszy mojej matki, pospraszalam na wieczór dnia następnego. Wstawszy rano szczęśliwie o owych zaprosinach zapomniałam, i proszę sobie wystawić moje zmartwienie i zdumienie mojej matki, która się właśnie gdzieś na

wieczór wybierała, kiedy o godzinie siódmej zajeżdża kareta po karecie i sypią się do niecoświeczonego salonu dzieci postrojone z guwernantkami, guwernerami, bonami i matkami. Biedna moja matka, nie wiedząc o niczym, gubiła się w domysłach, co spowodować mogło nadzwyczajny zjazd gości? Goście byli pomieszani, nie widząc żadnego na ich przyjęcie przygotowania, i nie wiem, jakby wszyscy wyszli z tego przykrego położenia, gdyby moja matka, domyśliwszy się w końcu wszystkiego, nie była po prostu opowiedziała przybyłym swoją niewiadomość, a moją niedorzeczność. Rzecz się przecięż szczęśliwiej skończyła, niż na to zasłużyłam. Moja matka na wieczór nie pojechała, porozsyłano wszystkich, kto żył w domu, do cukierników i sklepów korzennych; kucharz nasz, jak mógł, gniewając się i klnąc na czem świat stoi, z pomocą kucharza mojej babki sporządził kollację; bawiono się do drugiej po północy, co jest nadzwyczajnością na dziecinnych balach. Ta wina mi jednak na sucho nie przeszła: moja matka, dawszy mi na pomnienie, skazała mię na siedzenie w domu przez resztę karnawału, co była dla mnie umartwieniem nie do opisanania; żadne prośby, łzy i płacze tego postanowienia matki zmienić nie mogły.

Moi rodzice, mający wielu krewnych w krakowskiem towarzystwie, musieli przyjmować u siebie liczne zgromadzenia, a w ciągu zimy dawali wieczor taneczny, jak mówiono, na cały Kraków, co było koniecznym obowiązkiem każdego, kto miał dom otwarty, albowiem nie można było posłać zapraszającego biletu do jednych z wyłączeniem drugich. W owym czasie, to jest w latach 1817 i 1818, krakowskie towarzystwo nie było rozdzielone na familijne kółka i koterye, jak to później, będąc tam w latach 1845 i 1846, uważałam. Stanowiło ono w tej oddalonej epoce, którą dziś opisuję, łańcuch rodzin połączonych z sobą związkami krwi lub powinowactwa, i to w tym stopniu, że nie wiele było domów,

któreby jakimkolwiek stosunkiem nie były ze wszystkimi innemi spokrewnione. Starodawne uszanowanie ojców naszych dla związków rodzinnych, choćby najdalszych, a obok niego serdeczna gościnność, najdłużej utrzymywały się w poważnym Jagiełłów grodzie. Jego towarzystwo składało się z kilkudziesięciu rodzin przyjeżdżających do miasta na zimę, aby się rozerwać po trudach zmułnego i kłopotliwego gospodarstwa, przy wistowym stoliku, lub patrząc na wirujące pary walców albo rzeźkiego mazura. O ile mi wiadomo, towarzystwo to do roku 1822 złożone było z jednolitych żywiołów. Była to dawna zamożna szlachta, w której zawadziło się gdzieś nazwisko, mające prawo do dziewięciu galek, tak szczerze przez rząd austriacki rozdawanych, co mu wszakże nie przeszkadzało żyć z drugimi w stosunkach towarzyskiej równości. Ta szlachta, w braku historycznej i zamożniejszej, stanowiła miejscową arystokrację i oddzielała się w zupełności od koteryi tak zwanęj miejskiej, czyli kupców. Te dwa towarzystwa były sobie obce, nie spotykając się nigdzie, a jeżeli rzadkiem zdarzeniem jakieś *kasyno*, które się nigdy w Krakowie nie udawało, lub jaki bal publiczny na ubogich połączył je, to dla tego, aby tém wyraźniej wystąpiła wzajemna obu stron przeciw sobie niechęć i zazdrość. Zdarzały się wypadki, że tańcząca młodzież tak daleko te manifestacje posuwała, że przychodziło do żywych sporów i kłótni. I tak: jednego wieczora młodzież szlachecka, tańcząc po jednej stronie obszernej sali Knotza, wyciągnęła, niby z niechcenia i przypadkowo, linię demarkacyjną stolkami, zmusiwszy niewiadome jej celu damy usiąść na nich, a tém samem każdemu nienależącemu do jej grona profanowi, zagroziła przystęp do swego koła.

Takie wypadki, zawsze gorszące, wiele krzywdy ubogim robiły, gdyż miasto, nie chcąc się narażać na

podobne sceny, na następnym balu nie ukazało się, i sala była prawie pusta.

Do roku zatem 1822 nie zmieniło szlacheckiej sztywności, istniejącej między członkami krakowskiego towarzystwa, kiedy jakoś około tego czasu przybyły do Krakowa dwa domy Potockich, które z czasem przywabiły i inne z sobą spokrewnione Lubomirskich, Sanguszków i t. d. Artur Potocki, syn Jana i Julii z Lubomirskich, dawny adjutant i nieodstępny towarzysz księcia Józefa Poniatowskiego, jeden z najpiękniejszych, najwaleczniejszych i najdowciwniejszych ludzi swojego czasu, posiadający olbrzymi majątek już to z siebie, już też przez ożenienie z Zofią Branicką, znudziwszy się i światem i podróżami, upodobał sobie wolne od wszelkiej etykiety i spokojne życie staropolskiego grodu, zapragnął w nim zamieszkać. Wszystko tu mu się podobało; odwieczne pomniki przypominały mu przeszłość, tyle drogą pięknej jego duszy; przepyszne okolice wabiły oko, góryste położenie powietrze zdrowem czyniły; a on już czuł w sobie zaród choroby, której w lat kilka uległ. Przedewszystkiem przynęciły znudzonego hałasem i zgiełkiem wielkich miast puste ulice Krakowa, jego samotne mury, brak dworu, książąt panujących, ministrów i ambassadorów. Osiadłszy więc w Krakowie, kupił pałac zwany „Pod Baranami,” znacznie powiększył go, przyozdobił, i na swoją stałą rezydencję przeznaczył. Zona jego, Zofia Branicka niezmiernie bogactwa w dom jego wniosła. Córka owęj słynnej z olbrzymiego majątku pani Branickiej, była jedną z pierwszych w kraju naszym partyj. Cesarz Aleksander, który wielce poważał panią Branicką, protegował małżeństwo Artura Potockiego, ówczesnego swojego adjutanta, z panną Zofią. O pani Branickiej różne krążyły anegdoty. Jej kasą był obszerny pokój, którego wysokie a wąskie w stylu gotyckim okna, były kratą obwiedzione;

dokoła stały beczki różnej wielkości, przepełnione workami złota i srebra; po kątach leżały duże tychże metalów sztaby, po kilkadziesiąt grzywien ważące. U drzwi wchodowych stała warta nadwornych kozaków, których pani Branicka trzymała kilka tysięcy na swoim koscie. Posiadała dobra w ziemi, których rozległość niezawodnie przechodziła niejedno niemieckie księstwo pierwszego i drugiego rzędu, a była skąpa aż do śmieszności. Rozpowiadało się, że były na jej dworze dwie panny respektowe, których całém zajęciem było skrzętnie zbierać kawałki pozostałych świec woskowych i odsyłać je do fabryki, aby się broń Boże najmniejsza ich cząsteczka nie zmarnowała. Pan Artur Potocki był tym z jej zięciów, którego pani hetmanowa najbardziej lubiła. Gdy ją raz jednego odwiedzał w jej dobrach na Białej Rusi, kazała potajemnie przed nim powyjmować z jego podróżnych kufrów suknie i bieliznę, a na ich miejsce włożyć worki z pieniędzmi. Niespodzianka prawie krezusowska! Nie wiem, czy przypadła do smaku panu Arturowi Potockiemu, ceniącemu podobno więcej wygody niż pieniądze, których i tak miał pod dostatkiem. Powiedzieliśmy wyżej, że został on adjutantem cesarza Aleksandra, który po ogłoszeniu Królestwa Polskiego rad był otaczać się dawnym sztabem księcia Józefa Poniatowskiego, i że ten monarcha się przyczynił do jego ożenienia z panną Zofią Branicką. Można powiedzieć o tém małżeństwie, że się połączyły dobroć z dobroczynnością. Lud krakowski nie przestaje opowiadać mnogich przykładów dobroczynności tej szlachetnej pary. Gdzie tylko głód, nędza, niedostatek straszne swe rozpostarły rządy, już można ją było widzieć niosącą pomoc i pociechę; słowem, ogromny majątek nie mógł się w lepsze i uczynniejsze dostać ręce. W uczynkach chrześcijańskiej miłości Potockiego przebijały wesołość, oryginalność i dowcip trochę ekscentryczny byłego adjutanta księcia Józefa. Doniesiono

mu jednego wieczora o biednym stanie przekupki, która utraciwszy dość młodo męża, pozostała sama z sześciorgiem dzieci i sparaliżowanym ojcem; licznój rodziny pracą rąk swoich wyżywić nie mogła, i potrzebą przynaglona wyprzedala do ostatniej poduszki. Rozczulony Potocki tém opowiadaniem, wśród peregrynacji, które co wieczór niepoznany odbywał po Krakowie, zwrócił się ku jednej z bram ulicy Św. Jana, gdzie nasza przekupka z bułkami siadywała. Przybywszy na miejsce, widzi rzeczywiście kobietę młodą jeszcze, której twarz, blada i znędźniała, smutniej jeszcze przy słabém świetle wiszącej nad straganem latarki wyglądała. Jój ubior ubogi, ale czysty, zwiastował uczciwe i skrzętne ubóstwo; nie miała wyzywających ruchów i swarliwego oblicza przekupek krakowskich: owszem, dobroć, szlachetność i pokora malowały się na jój twarzy. Nieznajomy zbliża się do niej, i nie mówiąc powodu przybycia, zapytuje, czyby nie mogła mu małej zrobić przysługi.

— Oto,—rzecze—mam interes do tych państwa, co tu mieszkają na pierwszym piętrze, a że boję się po nocy zbłądzić, bądź pani tak dobrą zapytać się, czy są w domu?

— Dobrzeby to było — odrzecze przekupka—ale któż mi będzie straganu pilnował?

— Oczywiście ja; ale zawierysz mi pani?

Kobieta, pociągnawszy oczami po nieznajomym, którego powierzchowność jakoś zdawała się jój zadowalać, odpowiedziała:

— A dlaczegoż nie? — zostań pan przy straganie; tylko pilnuj, żeby te ladaco chłopcy bułek mi nie porzucali; to takie nieponie!

— Nie bój się pani, już ja tu będę pilnował.

Kobieta zaspokojna szybko pobiegła na górę, gdy tymczasem jój dobroczyńca cichaczem rzucił rulonik do koszyka, w którym były dróty, kłębek grubych nici i napół zrobiona pończocha. Niebawem też niespokojna

o swój towar przekupka, zatrzasnąwszy drzwi od przedpokoju pierwszego piętra, wróciła z oznajmieniem, że państwa nie ma w domu. Nieznajomy, wiedząc o tém dobrze, zwłaszcza że właśnie ci państwo w najlepsze w jego własnych salonach wywijali mazura, podziękowawszy grzecznie, szybkim oddalił się krokiem. Wszakże przekupka, której ten ubożuchny stragan całém był mieniem, jęła się do rachowania bułek, azali która w czasie jój nieobecności nie znikła; kiedy przypadkiem ujęła za koszyk, i poczuła w nim jakiś niezwyčajny ciężar. Otwiera go machinalnie, i jakież było jój zdumienie, gdy widzi dość znacznej objętości rulonik... Nie zastanowiwszy się, z kąd ten skarb pochodzi, pierwszą jój myślą było, że jest pewna jutrzejszego obiadu dla starego ojca i młodziutkich dzieci. Pada na kolana i serdeczną modlitwą Bogu dziękuje. Ochłonawszy wszakże z pierwszego wrażenia, przypomina sobie nieznajomego; domyśla się, że on jest niezawodnie jój dobroczyńcą, i w uniesieniu swoim zawołała akcentem ludu krakowskiego: „To on! *haniel! haniel!*” i od téj chwili niemożna jój było wyperswadować, że nieznajomy, który się jój nigdy nie dał poznać, nie był jedną z tych nadziemskich istot, o których biedni nieszczęśliwi tak nieustannie marzą. Artur Potocki łączył do wzorowej i nader rzadkiej u bogatych dobroczynności, francuską żywość w odpowiedzi i angielską oryginalność. Był czasami nader wesoły i dowcipny. Cytują mnóstwo jego żartów, przycinków, dwuznaczników, którym, jeżeli niezawsze odznaczają się dobrym smakiem, nigdy nie brak oryginalności, soli i dowcipu. Miał swoje dni *spleenu*, unikał wtedy świata, był smutny, ponury, milczący. Jeżeli go to napadało w towarzystwie, zwykle wcześniej wracał do siebie, albo siadał w oknie za firanką, gdzie ukryty i samotny, całe przepędzał godziny. Najczęściej się zdarzało, że w chwili, gdy się wesoło u jego żony bawiono, on wyniósł się cichaczem z poko-

ju, zarzucał płaszcz na ramiona i przebiegał ulice miasta, szukając ubogich wstydzających się żebraków.

Nie można się dziwić żadnej jego ekscentryczności: był to człowiek szczęściem i dostatkiem zepsuty, zbytkiem i życiem przesycony, światem znudzony. Wszystko, co w sferach średnich sprawia rozkosz i pociechę życia: nadzieja, powodzenie, dobre uważanie między ludźmi, miał sobie już zapewnione; na nic zarabiać, o nic starać się nie potrzebował. Był znudzony ludźmi i światem, bo hurmem się do niego eisnęli, nikiemnie, podle mu schlebiali; widział głupotę, próżność, interesowność, lub częściej tylko chęć przyjaźnienia się dla oka z wielkim panem; widział te różne ludzkie słabości, ukryte pod niezręcznie noszoną maską, lub nawet bez niej, w całej swjej nagości i szpetności. Jakże się dziwić, że ludzka głupota, na którą był nieustannie wystawiony, nudziła go, i że ile mógł unikał jej w większych zgromadzeniach. Jedną z jego przyjemności było bawić Krakowian, którym w czasie zimy dawał kilka balów, zalecających się więcej gościnnością, przepychem, wystawnością, niż dobozem towarzystwa. Zwykle na te bale nietylko szlachta, ale i kupcy zapraszani bywali. Był to podobno pierwszy dom prywatny w Krakowie, który oko w oko dwie te od tyłu lat przeciwne kasty pod jednym dachem zgromadzało. Imię historyczne gośpodarza, jego ogromne dostatki, a nadewszystko rozum i znajomość świata i ludzi, czyniły go wyższym nad te drobiazgowość próżności, komeraże i miasteczkowe pretensye, które przebijają po za blanszem i różem balowych toalet; bawiły go one niezmiernie, urozmaicały nudną monotoność dużych zgromadzeń; serce zaś znajdowało przyjemność w ugoszczeniu i ubawieniu Krakowian, których serdecznie kochał. Jednej zimy zrobił towarzystwu krakowskiemu niespodziankę, która długo była celem ogólnego zajęcia i rozmów. W sali Knotza dał bal maskowy, na który proszony był kto żył i kto chciał. Zalecał się ten bal bardzo bogatymi ubiorami i pięknymi

kadrylami; między innemi zwrócił uwagę kadryl Polek w dawnych malowniczych ubiorach narodowych, do którego wchodziły cztery uroczych wdzięków i świeżości dziewice, mające na sobie sobole kołpaki, bogato klejnotami naszywane, jubki atlasowe amarantowe, misternie haftowane, i całe bogactwo prababek naszych. Po szczegóły tego balu odsyłam czytelnika do ówczesnych dzienników, opisujących go obszernie i nader drobiazgowo. Przypomina mi się tu anegdota, która w owym czasie bardzo po salonach kursowała, i jak to zwykle, była tekstem niejednych rozmów *nazajutrz balu*, które bądź co bądź, odgrywają bardzo znaczącą rolę w rzędzie karnawałowych przyjemności i rozrywek. Gośpodarz balu, ubrany w skromne domino, chodził niepostrzeżony po ogromnej sali balowej, zaczepiając tu i owdzie snujące się maski, które jak mogły broniły się od dowcipnych jego przycinków. Było wówczas w krakowskiem towarzystwie dwóch braci Molów, o których kronika mówi, że słynęli wielkiem w salonach krakowskich powodzeniem, które po dzisiejszemu *furor* nazwałoby można. Niektóre panie, jak to panie robią, gdy przedmiot jaki żywy lub martwy wejdzie w modę, wabiły tych panów do swojego grona, a nawet jedną z nich obwiniano, zapewne bardzo niesłusznie, o uczucia dość przyjazne dla któregoś z tych szczęśliwych braci. Owego zatem wieczoru Artur Potocki zbliżył się do nieświadomego miejskich ploteczek męża pani... i te słowa rzucił mu na ucho:

— Maseczko! ty się bawisz, a nie wiesz może, że *mól* wkrada się do twojej szopy — czyniąc tu aluzję do nazwiska młodego człowieka.

Ze zwyczajną sobie oryginalnością, połączoną ze staropolską hojnością, Artur Potocki, który póki mieszkiał w Krakowie, nieustannie bawił Krakowian, umyślił im dać bal w ciągu pewnej zimy, w której go tam nie było. Listem datowanym z Wiednia, gdzie

zimować był zmuszony dla kuracyi, uprosił brata Alfreda będącego w Krakowie z żoną, aby w jego imieniu dał bal w apartamentach na pierwszym piętrze w pałacu dawniej zwanym „Pod Baranami.” Na biletach zapraszających wylitografowano: „Alfredowie Potoccy, w imieniu Arturów Potockich, mają zaszczyt i t. d.” Poczciwi Krakowianie, równie przepadający za życiem towarzyskiem i zabawami, jak ceniący drogie swojego miasta pamiątki, chętnie zgromadzili się na te zaprosiny, gdzie ich z całą przyjmowano serdecznością.

Były adjutant księcia Józefa napisał powieść w języku francuzkim p. t. *Maryna Mniszchówna*, epizod znany w dziejach, niejednokrotnie obrabiany; ale jeżeli wolno powiedzieć, niezawsze szczęśliwie pomyślany. W powieści pana Artura Potockiego nie ma tej świeżości imaginacyi, żywości spostrzeżeń, iskrzącego dowcipu i oryginalności, któremi się autor w salonie odznaczał; co jest nowym dowodem, że talent pisarski a dowcip towarzyski nie zawsze idą z sobą w parze.

O żonie jego pani Zofii Potockiej, jako żyjącej, nie mam prawa pisać; wszakże jej stanowisko w Krakowie, wpływ, jaki tam wywiera na towarzystwo, literaturę i sztuki, należą do rzędu faktów, które duch pamiętników sam z siebie uważający, przenikliwy i nieco gadatliwy, pominąć nie może. Przepraszam najmocniej szanowną i ze wszech miar czcigodną matkę Adama Potockiego, jeżeli czasami w tém tu miejscu, jak i w inném moich pamiętników, uchylę zasłony jej prywatnego życia, aby zbudować się razem z czytelnikiem widokiem jej cnot domowych, wzorami jej dobroci, gościnności, dobroczynności i towarzyskości. Któż jakiś czas przebywający w Krakowie nie zasłyszał o niej przynajmniej; komu nie obły się o uszy pochwały idące wprost z serca bogatych, ubogich, ubogich szczególnie, których równie jak jej mąż jest widoczną na ziemi Opatrznością?

W szeregu osób, które widywałam w pierwszej mojej młodości, nie wspominałam jeszcze o dwóch braciach mojej babki: Stanisławie, regencie koronnym, i Marcinie, wojewodzie, Badenich ⁽¹⁾. Stanisław Badeni najstarszy z rodzeństwa, poznany i polubiony od króla Stanisława Augusta, zyskał poufne miejsce przybocznego sekretarza, który to urząd piastował do ostatniego wyjazdu tego króla z Warszawy do Grodna. Następujące wiersze, które tu z oryginału dosłownie przepisuję, bo ich nigdzie drukowanych nie widziałam, dadzą wyobrażenie o stosunkach łatwych i przyjaznych, niezawistnych dworzan Stanisława Augusta między sobą; malują one także trafnie i treściwie charakter dobry, łagodny, nikomu nieszkodzący, młodego sekretarza królewskiego. W tej fraszce, drobnej zresztą wartości, przebija się już owo rozczarowanie i przedrzeźnianie przesady dawniej szkoły francuzkiej, tak w poezyi i sztuce w ogólności, jak we wszystkich odcieniach obyczajów i etykiety dworskiej, przesady przypominającej wymuszaną manierę czasów Ludwika XIV i hotel Rambouillet, a tak wyśmiewanej przez dworzan jego następcy, a później przez małpujący wszystkie wersalskie przemiany, francuzko-polski dwór Poniatowskiego. Wysoce satyryczny, dowcipny i ironiczny humor Naruszewicza, równie jak jego niezmyślona przychylność i szacunek dla młodego w faworach królewskich kolegi, okazuje się w tym wierszyku, improwizowanym na pokojach królewskich w dzień imienin Stanisława Badeniego, a potem na usilną jego prośbę, ręką biskupa na prostym listowym papierze spisany:

„Jeszcze mi sztycharz nie wyrył na miedzi.
Miły mój Stasiu, modnego biletu,

(1) Stanisław Badeni, ojciec Ignacego, tłumacza dzieła Nicolas'a, „O chrystyanizmie,” oraz innych pódów literackich tegoż autora. (Przyp. aut.)

Gdzie uwinione imię w kwiatku siedzi,
Togi, płaszczyka, fraczka i kornetu.
Bez powierzchownych ozdób, prosto, szczerze,
Jak myślę, tak ci piszę na papierze.
Pędzisz wiek pięknie na usługach dworu,
Słodki, nikomu nie przykry na świecie;
Bliskość ci tronu nie zmienia humoru,
Choć po sto razy bywasz w gabinecie;
Każdy cię kocha, ufa, wielbi, ceni;
Złość nawet szepcze: Wart tego Badeni!"

Zasługiwał najzupełniej Stanisław na tę pochwałę, bo jakkolwiek jego stosunki z królem były codzienne, każdochwilowe; jakkolwiek wszystkie łaski i nominacje przez jego ręce przechodziły; wiele drugim usłużył, nikomu wszakże nie zaszkodził. U dworu, gdzie gra namiętności jest pod każdym względem jak najbardziej podniecona, taki przykład rzadko się trafia. To też poznali się na tej cnocie otaczający króla, i nie tylko nie zazdrościli mu względów pańskich, ale sami bardzo kochali i cenili Badeniego, i w każdym trudnym zdarzeniu, gdzie trzeba było pobłażania, wyrozumiałości lub łaski królewskiej, u niego szukali ratunku i pomocy, i nigdy się nie zawiedli. Król wielce lubił i kochał Badeniego; podobała mu się jego wesołość i prostota; cenił w nim bezinteresowność posuniętą aż do przesady, bo nie było przykładu, aby go o coś dla siebie prosił, co panującym, nieustannie wprost lub bezpośrednio nękanym obcemi wymaganiem i pretensyami, bardzo się podoba.

Badeni mieszkał w zamku na drugim piętrze w pawilonie bocznym; główne wschody były te same, któremi się wchodzi dziś; ale były jeszcze inne, ukryte, służące za przejście komunikacyjne między pokojem sypialnym sekretarza przybocznego, a gabinetem króla, tak, że Badeni mógł się co chwila znajdować przy osobie jego królewskiej mości, i jak się wyraził Narusze-

wicz, „po sto razy dziennie znajdował się w gabinecie;” ale też często od króla w swoim własnym mieszkaniu odwiedzany bywał. Nieraz się zdarzało, że ten monarcha, którego korona więcej niż inne kolcami najeżoną była, biegł na górę powierzyć mu chwilową troskę, a może i wypłakać się przed wiernym i nieodstępnym przyjacielem. Czasami, gdy Badeni czytał jakieś wnioski lub mniej zajmujący rapport, król zasypiał na jego rękę, i tym sposobem przez parę godzin skazywał go na zupełną nieruchomość, gdyż biedny sekretarz nie śmiał zrobić najmniejszego poruszenia, bojąc się go przebudzić. W czasie tych częstych królewskich odwiedzin, drzwi pokoju ściśle były zamknięte; nie wolno było nikomu, choćby w najgwałtowniejszej potrzebie, wchodzić nawet do przyległego pokoju.

Jednego wszakże poranku, gdy król dłużej niż zwykle u Badeniego się zatrzymał, synek jego ośmioletni, czy nie wiedział, że król był w pokoju, czy też bliżej mu chciał się przypatrzeć, przystawił sobie stołkę, drzwi z hukiem otworzył, i nie bacząc na nieukontentowaną twarz ojca, leci wprost do króla, bierze go za rękę, i nuż przypatrywać się małemu, wielkości dwuzłotówki zegarkowi, który monarcha miał na lewym rękawie swojego munduru⁽¹⁾. Ojciec, zmieszany poufalością syna, chciał go z pokoju wyprowadzić, ale Stanisław August, który z natury nie lubił etykiety i unikał ję, ile mógł, znudzony jednostajnością wystudjowanych dworskich fizyognomij, rad był przypatrywać się niewinnemu i naiwnemu zaciekawieniu dziecka; przytrzymał je przy sobie, mówiąc z właściwym sobie łagodnym uśmiechem: — „Dajże

(1) Mundur ten był zwykłym uniformem korpusu kadetów, granatowy z amarantowym, ze złotymi szlifami. Nie wiem, dla czego prawie na wszystkich portretach wyobrażają króla w stroju dworskim francuskim (habit de cour), kiedy on go prawie codziennie używał.

(Przyp. aut.)

pokój panie Stanisławie, czyż i z niego chcesz już zrobić za wczasu dworaka?" Od téj chwili malec miał *ses entrés* do pokoju w obecności króla, który go za każdym razem zabawkami i cukierkami obdarzał.

Wśród tych wynurzeń króla z wiernym sobie przyjaciелеm, zaszyły przykre, nader przykre okoliczności dla tego światłego, ale zbyt słabego i nie energicznego monarchy. Zostawał on osamotniony w swym pustym zamku, którego Badeni nie opuścił, tylko razem z królem udając się za nim do Grodna. Nareszcie Badeni, nie chcąc mu być ciężarem przy uszczuplonych dochodach, ze łzami prosił o uwolnienie od obowiązków, i niebawem się też udał do majątku swojego Rożnowa w Galicyi austriackiej, gdzie w zaciszu i oddaleniu od publicznych spraw, prawego i pocziwego żywota w późnej starości dokonał.

Jednym z charakterystycznych zarysów kariery dworskiej Badeniego była okoliczność, że człowiek ten kochany od króla, który tyle u niego łask wypraszał, opuszczając dwór i znakomity urząd, nie uniósł z sobą ani krzesła w senacie, ani orderu Orła Białego, ani żadnego z tych za jego czasów tak szczerze rozdawanych starostw. Przystawał na godności regenta koronnego, bo go ta do ukochanego przez siebie króla zbliżała, i skromnym Świętego Stanisława orderze, którego prawie nigdy nie nosił.

Rożnów był tylko o mil kilka od Proszówek odległy; łatwo się domyslić, że odwiedziny obojga rodzeństwa były częste, mniej wszakże częste ze strony starościны olszańskiej dla słabego zdrowia, które jęj rzadko kiedy z domu wyjeżdżać pozwalało. Staroscina kochała Stanisława i szanowała go jako starszego brata; przeto gdy się tylko pokazał bądź w Krakowie, bądź w Proszówkach, jęj radość była wielka, a dzień przyjazdu prawdziwą uroczystością. Skoro się tylko zjawiła w bramie żółta kolaska czterema gniadem i końmi zaprzężona,

twarz jęj babki, zwykle poważna, rozjaśniała się, uśmiech igrał na nięj; cała rodzina wychodziła na spotkanie gościa, a on ją witał zwykle temi słowy:
— Jak się macie, wy nie dobiegło?

Wesołość nie opuszczała go do śmierci; mimo wieku podeszłego, był żywy, ruchliwy; wszędzie w pokojach, w ogrodzie pełno go było. Miał szczególniejsze upodobanie bawić się z dziećmi, gonić je, sprzeciwiać im się; nieraz mnie naleźycie po sukni wytrzepał, palcem nakiwał, a jam się śmiała do rozpuku, tak, że mnie czasami za zbyt głośną wesołość z pokoju wypraszano, i klęczeń kazano (oczywiście w sekrecie przed panem regentem). Dzisiejsza generacya arcy mądra i poważna, nie rozumie może téj żywości i humoru w ośmdziesięcioletnim starcu; bo też ludzie ówczesni nie tyle może byli poważni i myślący co my, ale niezawodnie lepsi i szczęśliwsi. Prawda, że każdemu było lżej na tym Bożym świecie, łatwiej mu jakoś było po nim pielgrzymować, bo czuł gdzieś tam wysoko nad sobą ojca dobrego i troskliwego, kochał go i ufał mu; a sam ani poczuwał się bóztwem, ani się jego częstką mienił. Jeżeli mu się coś niekoniecznie dobrego przytrafiło, pomodlił się i wypłakał; a pokrzepiwszy się u prawdziwego źródła życia, dalej pchać znów taczkę, która mu się potem lżejszą być zdała. Pan regent (tak go zwykle nazywano) był wzrostu miernego, nosił się jak mówiono dawniej, po francuzku, to jest ubierał się w długi surdut lub frak granatowy z kołnierzem stojącym wywijanym, z szerokim stanem i długimi połami; wbrew zwyczajowi dworzan Stanisławowskich, nie nosił ani peruki ani harcapan: włos długi srebrzysty spadał mu na twarz pełną wyrazu, dobroci, żywości i wesołości. Przyjeżdżał zwykle do Proszówek z córką swoją najmłodszą Józefą (dzisiejszą Michałową Walewską), którą nazywał swoją Beniaminką. Wówczas ośmastoletnia dziewczyna, szczupła,

wysmukła, rysów nieregularnych, ale nadzwyczaj wdzięcznych, cery bladéj i zajmującej, w kapeluszu ryżowym, lekką przezroczystą gazą okrytym, siedząc w powozie obok poważnego starca, wielki dla mnie miała urok i niezatarty w dziecięcej mojej wyobraźni ślad zostawiła. Za nimi w drugim powozie zwykła przyjeżdżała pani regentowa z panną służącą od lat wielu zaufaną. Katarzyna ze Stadnickich, córka Antoniego burgrabiego krakowskiego, najlepsza żona i matka, będąc na zepsutym dworze Stanisława Augusta, żyła zewnątrz dworskich intryg, oddana obowiązkom i mężowi, z którym we wzorowej, cnoty i zgodzie lat czterdzieści przeszło przeżyła. Żyła równie długo jak mąż, od którego o lat kilkanaście była młodszą, i wszystkich ze swojej generacji przeżyła. Zimując w Krakowie roku 1845, zastałam ją jeszcze w jej mieszkaniu na Floryańskiej ulicy, po to, aby ją wkrótce pochować, bo w ciągu zimy świat ten opuściła. Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie, starzy ludzie, starzy krewni mieli zawsze niepojęty urok. Jest jakiś wieniec świętości, który ich otacza; zdaje się, będąc już jedną nogą w grobie, mniej są ludźmi niż obywatelami innego, długo przez nich oczekiwanego świata, a zatem lepsi, czulsi, więcej uczuciowi. Zeby byli wszakże kochanymi i szanowanymi, potrzeba, aby ich dawne życie usprawiedliwiała wrażenie, które w późnej starości sprawiają: aby nie odpychali egoizmem, przywidzeniami, przesadami i złeckością, co się także czasem im zdarza. Pani regentowa z pewnością nie liczyła się do rzędu tych ostatnich. Obok form poważnych i uszanowanie wzbudzających, była uprzejma dla wszystkich, kochająca dla swoich, towarzyska, jak to umieją być ludzie jej czasu i położenia w świecie. Przez szczególny zbieg okoliczności, nie widziałam pani regentowej przez lat dwadzieścia kilka, to jest od dwunastego roku życia mojego. Po różnych przejażdżkach, podróżach, burzach życia, zmianie stanu,

ujrzałam się przed nią nagle, z owéj trzpiotowatéj, gadatliwéj dziewczynki, którój nadaremnie spokojność i milczenie nakazywano, dojrzałą kobietą, matką sześciorga dzieci. Przyjęła mnie staruszka jak gdyby mnie była wczoraj dopiero widziała, mimo że wiekiem i niemocą przyciśniona nie wychodziła już wcale, i zaraz nazajutrz odwiedziła dom mój i dzieci mi pobłogosławiła. W téj mojej ostatniej bytności w Krakowie (rok 1845) wszystko się tam odmieniło, zacząwszy od powierzchownej postaci miasta, do osób i rzeczy, które w niem przebywały. Ona jedna zdawała mi się tą samą, którą widywałam w Proszówkach, a później w domu Rzuchowskiego na Floryańskiej ulicy; bo ludzie, gdy przyjdą do pewnego wieku, a w nim zdrowie i czerstwość zachowują, przez długi lat szereg nie odmieniają się wcale. Ten tu właśnie był wypadek. Pani regentowa była dla mnie zawsze miłym i upragnionym anachronizmem owych szczęśliwych dzieciństwa mojego czasów, i gdy ją widziałam, zdało mi się widzieć tuż obok niej szanowne grono osób, których już niestety! w Krakowie nie zastałam... Ostatnie jej wyjście z domu było jak corocznie w dzień Św. Katarzyny, kiedy otoczona gromadką dzieci i wnuków w liczbie 56 osób z prostéj linii, wsparta na rękę dwóch synów, już szronem wieku i trudów życia pokrytych, szła przytępy nieco krokiem z mieszkania swojego do najbliższego kościoła Panny Maryi. We dwa miesiące po téj uroczystości, na którą corocznie zbiegało się liczne jej potomstwo ze wszystkich stron kraju, w tymże samym kierunku, po téjże samej ulicy włókł się smutno i ponuro karawan unoszący jej zwłoki. Gdy raz z drugimi postępowała za trumną, zdało mi się, że o kilkanaście lat starsza! Była ona ostatnią z owéj ukochanej generacji babek naszych; zapamiętała czasy Stanisława Augusta, wielkiego sejmu... O Boże, czegoż ona nie pamiętała!?

Mówiąc o regentowstwie Badenich, muszę tu dodać, że oni byli jedni z pierwszych, którzy zaprowadzili w wioskach swoich znaczne ulepszenia w smutnym stanie chłopków naszych. Los téj klasy najliczniejszej i najpożyteczniejszej, a tak srodze w kraju uciśnionej, zajmował Stanisława Badeniego jeszcze wówczas, gdy się znajdował na czele kancelaryi królewskiej, i wówczas też jeszcze powstał projekt owéj komisyi włościańskiej, później starannie przez brata jego Marcina dokonanej, która jeżeli nie przyniosła w zupełności pożądanego skutku, to pewnie nie z winy jéj fundatorów. Osiadłszy stale na mieszkanie w Rożnowie, całą obojga zacnych regentowstwa usilnością było ile można osłodzić dolę chłopków. Kto nie mieszkał na wsi, nie ma wyobrażenia, co to jest tak zwany *przednówek* u chłopca. Przednówek, jest to obchodzić się przynajmniej przez miesiąc trzy bez chleba, bez kartofli, bez żadnego zbożowego pokarmu; jest to żyć jakąś szczególną mieszaniną otrąb, zielenin polnych drobno posiekanych, z których się wyrabiają kluski, na które najędźniejszy mieszkaniec miasta aniby spojrział. O! bolesny to widok patrzeć, jak właśnie ci, co porządną wewnętrzną ziemi, aby z niéj wydobyć pokarm dla drugich i siebie, najczęściej są go pozbawieni; a przecież tak jest dziś jeszcze przy tylu rozmaitego rodzaju zakładach i stowarzyszeniach filantropijnych, a cóż dopiero dźiać się mogło przed laty trzydziestą, gdzie daleko mniej o doli klas ubogich i roboczych, a szczególniej włościan myślano? Otoż Badeniowie założyli w Rożnowie i Branicach pod Krakowem, swoich majątnościach, wiejskie śpichlerze, wypawszy w nie pierwsze zasoby dla włościan dotkniętych niedostatkiem, a prędkiej i pewnój potrzebujących pomocy. Ofiarowali złotych polskich cztery tysiące na wieczny dar na kasę zapomogi, z którejby kmiotkowie potrzebnych sobie funduszków na podatki z łatwością dostać

mogli za opłatą małego procentu, ku pomnożeniu tegoż samego banku obracanego. Otoż podobne instytucye wcale jeszcze dzisiaj nieupowszechnione, a z których przecię my się tak chlubiemy, mieniąc je być dziełem postępowej cywilizacyi wieku, wówczas już istniały, i kto wie, czy nie w warunkach praktyczniejszych i lepszy owoc wydających. Wypadnie mi tu jeszcze coś powiedzieć o młodszym bracie Stanisława Badeniego i starościny olszańskiej. Marcin Badeni, znacznie młodszy od brata, przetrwał na usługach kraju wszystkie burze, które nim od epoki wyjazdu króla do Grodna, tak nie szczęśliwie miotaly, przeszedł okres Księstwa Warszawskiego, a rok 1824 śmierci jego, widział go jeszcze zajmującego jeden z naczelných urzędów w administracyi Królestwa. Była to jedna z tych postaci wyraziście odznaczających się na tle swojego czasu, a której żaden kronikarz pominąć nie może. Posłuchajmy, co mówi o Marcinie Badenim Kajetan Koźmian, w mowie na jego pogrzebie u księży Kapucynów mianej. Przebiega mówca bieg karyery zmarłego, określa znaczniejsze w jego życiu publiczném momenta, stosunki jego z królami i rodziną Poniatowskich, a mianowicie z księciem Józefem, z którym najściślejsza go przyjaźń łączyła. I tak dalej prawi: „Ztąd związki przychylné, ztąd poważanie, szacunek, ztąd ufność wzajemna, ztąd spuszczenie się na niego w sprawach prywatnych i publicznych, ztąd niepodjęrzana między młodym księciem a doświadczonym przyjacielem zażyłość; ztąd nad oswobodzeniem ludu wiejskiego namowy i narady; ztąd wzajemna nauka, ztąd początek znaczenia, ztąd początek fortuny szlachetnej, pracą nabytej, trudami zasłużonej, rządnością własną powiększonej, gospodarnie uporządkowanej, rozporządzonej ojcowskiém sercem; fortuny tém dla jego rodu droższej, że mu zasługi ojca przypomina; fortuny, której ani krzywda kraju, ani grosz cudzy, jakim bądź sposobem przywłaszczony, nie szpeci.”

Kto znał gruntownie Marcina Badeniego, łatwo przyzna, że w całym tym ustępie nie ma ani słowa jednego przesady. Wierny przyjaciel domu Poniatowskich, których publiczne i prywatne interesa miał sobie powierzzone, wywiązał się z długoletniej z nimi zażyłości i obowiązków przyjaźni, nieraz z trudnego bardzo położenia, tak, że ani złość, ani zawiść, ani potwarz sama swém jadowitem żądłem doścignąć go nie zdołały. Kochał ich sercem, długoletniem nawykniem; niezawsze podzielał zdanie, a swego z otwartością, prawością i nieposzlakowaną cnotą wypowiedzieć nie wahał się.

Król saski wysoce Marcina Badeniego poważał, cesarz Aleksander orderem Orła Białego ozdobił i senatorem wojewodą, a później ministrem sprawiedliwości mianował, który to urząd zachował aż do śmierci. Był powierzchowności odznaczającej: wysoki, barczysty, rysów twarzy wydatnych, spojrzenie dowcipne i bystre, nosił się po polsku, i do śmierci tego stroju nie zrzucił.

Jak ubior, tak rozum miał *szczeropolski*, czysty, prosty, obcemi teoryjami nie obalamucony; słowem Badeni był to typ człowieka pełnego dowcipu, taktu, wysoko praktycznego, z wielką znajomością ludzi, rzeczy, potrzeb swojego czasu i kraju, sądu, nieporównanej logiki i trafności. Miał on dar jednym wyrazem odmalować człowieka lub jakiś fakt. Jego odpowiedzi, porównania, definicje, pamiętne są do dziś dnia, a niektóre z nich przeszły w przysłowie. Badeni miał w sobie jedną osobliwość, którą oceni każdy, kto zna sferę towarzysztwa kraju naszego, do której on z położenia swojego należał: — nie mówił on po francuzku, a ta nieumiejętność czy też wstręt do obcego języka, nie szkodziły mu w biegu jego urzędowej i światowej kariery. Tak to rozum bez cudzej pomocy, bez dodatków i błyskotek, sam sobie starczy. W częstych posłuchaniach które miewał u cesarza Aleksandra, wyrażał się po łacinie, bo tym językiem biegle mówił. Wiele anegdot po dziś

dzień krąży o dowcipie Marcina Badeniego; ja tu kilka przytoczę, jako malujące już to człowieka, już też czasy, w których żył.

Miał Badeni znajomość z niejakim O..., człowiekiem wielkich zdolności, rzadkiego rozsądku, a przytém rzetelnej sumiennosci; ale form w obejściu rubasznych, a czasami i przykrych. Dnia jednego namiestnik Zajączek, w początkach jakoś swojego kierownictwa krajową administracją, znudzony i strudzony natarczywością mnóstwa osób, codziennie oblegających jego biuro z żądaniem czasem niemożliwemi do wykonania, prosił Badeniego, aby mu wybrał urzędnika zdolnego, któryby w jego imieniu żądania odbierał, oceniał je i z właściwemi uwagami do zatwierdzenia podawał. Wojewoda wymienił mu pana O., który też niebawem rozpoczął swoje zatrudnienie przy boku namiestnika. Charaktery ich długo zgodzić się nie mogły. Książę Zajączek, przywykły widzieć w otaczających go obejście pełne względności, uszanowania i dobrego tonu, nie mógł znieść w nowym urzędniku powierzchowności pospolitej i przysuwowej. W dni kilka zjawia się Marcin Badeni w namiestnikowskim pałacu.

— Ach, jakżeś mnie też ubrał, panie wojewodo — rzecze Zajączek — w człowieka, z którego nie mogę nic zrobić, ni w prawo, ni w lewo.

— Mój kochany książę — odrzekł wtedy Badeni, który od razu pojął, czego im obu trzeba było — jam ci dał brytana, aby cię oganiał na dziedzińcu od natrętów, a podobało ci się z niego zrobić pokojowego muzyka. Brytan został brytanem i powalał ci meble; jam temu nie winien

Książę Zajączek, z natury wesół i lubiący wszelkie dowcipne odpowiedzi, uśmieł się, zatrzymał urzędnika, którego zresztą zdolności ocenił, a nawet w pó-

źniejszych latach na znakomity urząd posunął (1); a Badeniego już nie napastował.

Badeni często mawiał, że istnieją trzy rodzaje ludzi, których się najbardziej obawiał; a nawet w testamentie synowi nakazał, aby o ile możności najmniej się z nimi wdawał, a temi są: adwokaci, budowniczowie i doktorzy.

Żałuję, że nie mogę tu powtórzyć mnóstwa jego odpowiedzi i porównań nader trafnych. Wiele z nich są tylko interesu ściśle rodzinnego, inne zaś, ściągając się do ludzi publicznych, mężów stanu w swoim czasie niepoślednią grających rolę, są powszechnie znane. Umarł w Listopadzie 1824 roku, ciało jego pochowane w ziemi rodzinnej krakowskiej, którą on tak kochał, choć mało w niej przebywał, i gdzie miał dobrą, Bejsce i Kołaczkowice. W Janinie, wiosce do tych ostatnich należące, wystawił kościół i tam też pragnął być pochowany, wpośród swoich włościan, których jak własne kochał dzieci. Po śmierci starosty olszańskiego, która w roku 1801 nastąpiła, Marcin Badeni był wyznaczony opiekunem mojej matki, jako najmłodszy z rodzeństwa, i z prawdziwie staropolską sumiennością wywiązał się z tego obowiązku; to też matka moja kochała go i szanowała jak ojca. Ja go tylko raz w życiu widziałam i to na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Rzadko bywał w Krakowskim, a my wcale nie bywaliśmy w Warszawie, której nie znaliśmy. Jak to zazwyczaj u nas bywa, odwiedzaliśmy ze skwapliwością obce sto-

(1) Tenże sam O..., nie wiem już z jakiego powodu, wyzwany był na pojedynek. Był olbrzymiej postawy, wysoki nad miarę, a przytém niezwykłej tuszy; przeciwnik zaś jego cienki i wysmukły jak świeca. Gdy sekundanci przyszli—, „Powiedzcie mu, rzecze O., że mu się chce niezłej szansy. Ja strzelałbym do kija, i oczywiście nie trafił; on do beczki, i ubiłby mię jak psa.“ (Przyp. autora.)

lice, o poznanie swojej niewiele się troszcząc. Widzenie go nastąpiło w Kielcach, w lecie r. 1824, w czasie kilkudniowego jego tam pobytu. Zamieszkał częścią w zamku u mojego wuja Wielogłowskiego, częścią w gmachu *Leonarda*, u mojego ojca, i z tego powodu przypominam sobie dość charakterystyczną anegdotę. Był dany dla niego obiad, na który sprowadzono z Warszawy wszystko co było potrzeba, nawet bulki siedleckie. Właśnie było to w czasie rządów namiestnika Zajączka, kiedy kraj, korzystając z dość długiego pokoju, począł się urządzać, miasteczka podnosić, fabryki, drogi publiczne zakładać lub naprawiać: w ogóle był to czas popędu przez rząd danego do administracyjnych i statystycznych ulepszeń, posuwających się stopniowo i stawiających kraj w stanie porządku, w którym dziś go widzimy. Otoż namiestnik Zajączek, który we własnych dobrach Opatówku pozakładał wielkie fabryki i miasteczko znacznie podniósł, dobrodziejstwo to zapragnął rozciągnąć do całego Królestwa. Posprowadzał z zagranicy ludzi fachowych, mianowicie górników, którym powierzył główny nad naszemi kopalniami nadzór; ustanowił w Kielcach dyrekcję i szkołę górniczą, gdzie się młodzież nasza w tym tak użytecznym kształciła zawo-dzie. Wznosiły się miasta, miasteczka, nowe zakłady; stare powiększały i porządkowały. Komissye wojewódzkie, będąc wówczas tém, czém dziś są rządy gubernialne, idąc w myśl naczelnika rządu, skwapliwie się krzątały koło tych zbawiennych planów, których jak najspieszniejsze rozwinięcie im powierzone było. Nie dziw przeto, że każdy przejazd wyższego urzędnika przez prowincjonalne miasteczko, był niejako czasem popisu dla miejscowej władzy. W czasie pobytu Marcina Badeniego w Kielcach, obwożono go po okolicznych górniczych fabrykach, okazywano z chlubą nowo wznoszące się budowy, szczycono się nawet kilku sklepami

miejscowemi świeżo założonemi. Minister to wszystko pochwalał, wszakże gdy usiedli do stołu:

— Moi panowie—ręczę—jak widzę macie tu wszystko co my mamy w Warszawie: doskonałe wino, piwo nie ustępuje warszawskiemu, jednej wam rzeczy brak: nie macie siedleckich bułek, boć te co tu mamy przy stole, niepierwszej już są młodości, co wyraźnie dalekie ich pochodzenie zdradza.

Słowa te niebardzo poszły w smak Stokowskiemu, komissarzowi policyi; a chcąc utrzymać honor swojego miasta, kazał cichaczem włożyć w piec piekarski bułki warszawskie, aby je odświeżyć, co mu się tak szczęśliwie udało, że nazajutrz rano podane do kawy Badeniemu jako miejscowy wyrób, zupełne jego zyskały zadowolenie i wiarę, że się we wczorajszym swym sądzie omylił. Komissarz odebrał pochwałę i zapewne pochlebną u namiestnika Zajączka rekomendację; a bułki siedleckie, dopiero w rok potem, naprawdę w Kielcach wypiekać się zaczęły.

Zona Marcina Badeniego była z domu Wawrzeczka, siostra generała tegoż nazwiska. Pani wojewodzina słynęła w swoim czasie z wielkiego rozumu, ale nie-mniejszej oryginalności; wyrobiła sobie w świecie przywilój bycia jak nikt, mówienia i robienia jak nikt, ubierania się jak nikt; a że miała, jak powiadano, rozum niepospolity, bardzo wiele żywości i dowcipu, nieposzlakowaną reputację, niezależne w świecie stanowisko, a obok tego posiadała talenta i wiele nauki, co w jej czasie było w kobiecie rzadkością: nie śmiano jej się dziwić ani krytykować. Jej oryginalność zależała na tém, że mało warzyła przyjęte w świecie zwyczaje, które nazywała przesądami; że tu i owdzie dawała małe nauzki, których rzeczywiście potrzebowano, ale które niekażdemu i niezawsze przypadły do smaku. Sama była chodzącą nauką życia przez kontrasty. I tak:

jeżeli ktoś w Krakowie, gdzie zwykle mieszkała, miał protensę do dystynkcji i hołdów; przyjechała do niego na wieczór w ranném ubraniu; jeżeli zauważała, że czyjeś dziecko było zanadto psute i do zbytów przyzwyczajane, przywoziła mu na imieniny do jego kolekcji najwytworniejszych cacek, gliniane naczynie, wartości jeden grosz polski; pedantowi najgrzeczniej dowiodła, że mu jednej klepki brak; a łakotnisia i gastronomą prosiła do siebie, jak się wyrażała, *na krupnik*, co nie przeszkadzało, że miała dobrego kucharza, i nieraz doskonały obiad zjeść u niej można było. Młodzieńcowi pełnemu elegancji i dobrego tonu, ale w którym bystre i wprawne jej oko dojrzało pewną przesadzoną dozę miłości własnej i drobiazgowej próżności, kazała nieść za sobą parę sztuk drobiu, który chodząc z nim po rynku, przypadkiem kupiła. Zostawiła pod Krakowem piękną willę nazwaną przez nią *Pocieszka*, a której pałacyk pełny gustu i wygody w wewnętrzném urządzeniu, jej planem był stawiany. Willę tę testamentem zapisała wnuczce swjej Maryi Borowskiej, która świat ten zawczasem opuściła.

Czas już zaznajomić czytelnika z moimi najbliższymi krewnymi. Mój ojciec, Michał Gostkowski, prezes trybunału i kilkakrotnie poseł na sejm Królestwa Polskiego, rodził się roku 1773. W roku 1791 skończył szkoły, tak jak później na sześć klass dzielące się, a następnie uczęszczał na kwitnący wówczas uniwersytet krakowski. Słuchał pod słynnymi professorami, Śniadeckim, Sołtykowiczem, Przybylskim i innymi, matematykami, teorii prawa, dziejów i literatury; a jednocześnie aplikował w sądownictwie. Od wyjścia z uniwersytetu począł mieć czynny udział w sejmikach, schadzках, obywatelskich zjazdach, i do spraw krajowych mieszać się. W roku 1794 w Marcu, w czasie powstania Kościuszki, wszedł w służbę jako prosty żołnierz, a następnie jako officer ordynansowy przy boku naczelnika

siły zbrojnej. W 1795 roku, wybierał się już do legionów włoskich, kiedy przypadkowo poznał swoją matkę, i pozostał w kraju. Mając tuż pod ręką notatki swojego ojca, pozwoli czytelnik, że z nich wypiszę kilka ustępów, które mu dadzą wyobrażenie o moralnym stanie i obyczajach kraju naszego w czasach, które on pamięcią mógł objąć.

— Naród nasz—opowiada mój ojciec—już przez wykształcenie, jakie mu dały nauki za ostatniego króla Stanisława Augusta zaprowadzone; już przez napływ cudzoziemców, którzy po rozbiorze kraju nim rządili, tak nagle charakter i obyczaje zmienił, tyle w nich od przodków swoich oddalił, że gdyby Polak kraj swój w czasach konfederacji barskiej opuścił, a wrócił do niego po dwudziestu pięciu latach, ledwieby go poznał: dziś zaś (r. 1832) nie wierzyłby, że jest wpośród dzieci i wnuków swoich.

— Jeszcze między r. 1780 i 1790 nietrudno było znaleźć obywatela ze wszystkimi starodawnymi przodków naszych obyczajami. Ubrany w żupan srebrną klamrą zapięty, na który za przybyciem gościa brał czamarrę lub kontusz; głowę miał ogoloną z małym tylko promykem włosów we środku. Dom jego z gankiem ozdobiony czterema narożnikami, musiał mieć wewnątrz wielką salę, w której jadano, bawiono się i tańcowano. W jednym z jej bocznych kątów stał stół kobiercem nakryty, a przy ścianach gdańskie krzesła złożoną skórą wybite, lub ławy suknem pokryte, które do obiadu i wieczerzy przysuwano, wszystko zaś tak na moc robione, aby do użytku dalszych pokoleń służyć jeszcze mogło. Ściany pospolicie były gołe, lub okryte tylko obiciem domowej tyfeniowej starożytnej roboty, a na nich u niektórych tylko, rozmaita broń, pomiędzy którą była tarcza, pancerzy, hełmy, drogiemi nasadzone kamieniami, koszule dróciane, rzędy i strzelba turecka pod Wiedniem przez przodków zdobyta.

„W domach obywatelskich z wyjątkiem zamożniejszych, którzy jeżdżąc za granicę, zamiłowanie do sztuk i gust wykształceńszych narodów z tamąd przywozili, niewiele jeszcze znano pod ten czas mebli mahoniowych, angielskich powozów na resorach; ale za to lamusy, piwnice i apteczka napelnione były zapasami żywności, wina, miodu i wybornych likierów rozmaitego gatunku; dzielne konie z własnego stada, kosztowne, srebrem kute, choć najczęściej w domu robione szory, w gumnach sterty zboża czekające lepszej sprzedaży, zapasy materiałów do budowl, dobra bez grosza długu, srebra stolowe starożytnej roboty, w szkatułce znaczny zapas pieńędzy, u każdego znaleźć można było obywatela.

„Jeszcze w tym czasie (1780—1790 r.) nikt nie považał się wyjść na ulicę, a témbardziej, bądź na wsi, bądź w mieście, odwiedzić znajomego bez szabli. Obywatele odwiedzali się najczęściej konno, i dla tego ledwie nie każdy miał srebrne pozłacane kulbaki, strzemiona, rzędy i popręgi, często drogiemi nasadzone kamieniami. Moźniejsi otaczali się młodzieżą szlachecką, ułanami, kozakami i hajdukami, których niektórzy znaczną trzymali liczbę.

„Na lato rozbijano na podwórzu namioty, często rozmaitym haftem nabijane, w których pospolicie młodzież i goście sypiali; a we dnie pod niemi bawiono się i rozmawiano.

„Dom obywatela, dla każdego znajomego lub nie, był zawsze otwarty, i dla tego tak po wsiach, jak po miastach, nie znano gospód i publicznych zajazdów. Gdy gość przejeżdżał, po uprzejmych przywitaniach i odpasaniu karabeli, rozmowa zaczynała się pospolicie od rzeczy publicznych. Odpowiadano sobie zdarzenia wojenne niedawno ukończonej konfederacji barskiej, oceniano zasługi i błędy wodzów, głośno narzekano na niektóre działania króla, oskarżano go o słabość, trwo-

żliwość, opieszałość i niedołęztwo. Ale jeżeli przy tych rozprawach, często głośnych i energicznych, młodzi życzliwi poprawy rządu, powiększenia regularnego wojska i uchwalenia na niego podatków, starzy ofuknęli ich, lekali się każdej nowości i zmiany, radzili jedynie powściągnąć marnowanie publicznego skarbu, dokładniejsze zlustrowanie starostw, podwyższenie z nich podatku tak zwanego kwarcianego, uporczywanie stempłowego papieru i upomnienie się o summy neapolitańskie. Narzekali także na zepsucie obyczajów, miękkość młodzieży, osłabienie ducha religijnego. Kochali bowiem starzy kraj namiętnie, ale niemniej się bali domowej rządu przewagi, i dla tego to do powiększenia wojska, podatków, ani do żadnych nowych zasad publicznego porządku nakłonić się nie dali.

„Każdy obywatel, samowładny w swoich posiadłościach pan, władzę swoją miarkował jedynie powagą wrodzonej sprawiedliwości i prawidłami religii. Od żony i dzieci, aż do sług i poddanych, wszystko samowładnej jego było uległe władzy. Syn nie śmiał usiąść przy ojcu, a w kościele stać musiał przy jego ławie; lecz ojciec i pan zarządzał wszystkimi jak patriarchy i dobry ojciec rodziny; słudzy starzeli się u niego, pewni spokojnego przytułku i wygody w starości, włościanie doznawali pomocy i wsparcia w potrzebach.

„Atoli obok takich obywateli, zdarzali się i tacy, co tej władzy nieograniczonej nadużywali przez okrutne i tyrańskie obchodzenie się, przez zajazdy, bitwy, gwałty i nieskończone procesa z sąsiadami, którzy rozpędziwszy przez tyranię swoich włościan, pozostałych zamykali na noc, a w dzień pilnowanych do roboty używali. Wszakże takich wytykano i ze zgozą unikano. Nie było żadnej w kraju władzy, przed którą włościanin mógłby skarżyć dziedzica o krzywdy sobie wyrządzone; wyjąwszy szlachtę, żydów i cudzoziemców, wszystko co było w dobrach, ulegało samowładnej i ar-

bitralnej jurysdykcji dziedzica. Nie było w kraju żadnej administracyjnej władzy, któraby porządku i publicznego bezpieczeństwa pilnowała. Władza starostw grodowych i wojewodów ustała od dawna i zamieniła się w tytuł jedynie honorowy. Sądy grodzkie były wprawdzie pod jej dozorem, sędziowie od ich zależeli wyboru, pozwy i wyroki w ich imieniu wydawali; ale te sądy, zawsze złożone z obywateli osiadłych i bezpłatne, zjeżdżały się tylko trzy razy do roku na kadencyę, a po osądzeniu spraw do rejestru zapisanych, zaraz się do domów swoich rozjeżdżały. Skazanych na kary, instygator lub magistrat ekspedyował, a obywatel na wieść skazany, przez samo uszanowanie dla prawa, zjechał sam na miejsce kary, wszedł na wieżę, i czas wyrokiem naznaczony odsiedział.

„Dla Żydów były sądy *wojewódzkie*, dla mieszkańców dóbr rządowych *wielkorządowe* i *referendarskie*, wszystkie z obywateli szlachty złożone. W stolicy kraju, lub gdzie się król znajdował, były sądy marszałkowskie, ustanowione dla bezpieczeństwa osoby królewskiej; te sądy mogły skazać i na gardło, ale ich jurysdykcja jedynie rozciągała się o jedną milę na około stolicy. Na prowincyi magistraty w miastach królewskich, starostwie w dobrach im przez króla nadanych, a na wsi dziedzic, jego dzierżawca, komissarz lub nawet ekonom, byli jedyną władzą sądową i policyjną, której wolno było karać grzywnami, chłostą, za słownym nawet wyrokiem, bez appellacyi, byle tylko nie na śmierć. Ależ niestety! te kary, więzy i udęczenia, ileż ofiar pozbyć mogły życia!

„Jeszcze około roku 1780 pełno w Polsce było szlachty jeżdżącej po kraju, której nikt spytać się nie śmiał o cel podróży, a tembardziej o pasport; wszędzie ich z gościnnością przyjmowano, w potrzebie pieniędzy lub zbożem zasilano. Były to niedobitki konfederatów barskich, którzy szukali przygód, służyli cza-

sem do zajazdów, jakie obywatele sobie nawzajem wyządzali. W lat kilka po ukończonej konfederacji barskiej, książę Marcin Lubomirski, straciwszy swój majątek na zbytki, z zebraną bandą w różnych okolicach kraju, na wielkich traktach zatrzymywał przejeżdżających, zabierał pieniądze, srebra, klejnoty, jakie przy sobie mieli. Pełno było chłopów i mieszczan trudniących się rozbojem; przychodzili oni czasem do wsi i miasteczek; ale że pili, częstowali i za wszystko płacili, a w miejscu nikomu krzywdy nie czynili, nikomu też nie chciało się ich do sądu odsyłać.

„Obywatel miał sobie za największy zaszczyt, kiedy publiczne zaufanie powołało go na urząd; pełnił go bezpłatnie, i jeszcze dla utrzymania powagi urzędu, hojnie częstował. Wierni potomkowie starożytnych Scytów i Sarmatów, Polacy lubili nieustanne podróże: jeździli już w interesach urzędów swoich, lub też częstych i licznych procesów i spraw, które miewali po trybunałach, już nakoniec na sejmiki, sejmy, konfederacje; a jeżeli od tych zbyło im czasu, to na imieniny, wesela i święta, odbywane zwykle przy licznych zjazdach. Tańce, polowania, gry w kości, maryasza, družbarta, były ich ulubioną zabawą, a lasy obszerne dawały im do łowów pole. O ochędostwo w domu i około siebie wiele nie dbali, i śmieli się, kiedy kto lepiej wychowany, mył sobie nogi i szczoteczką do zębów używał.

„Zajazdy, gwałtowne wycinania lasów i wypasanie łąk przy granicy będących i tym podobne napady z bronią i kupą, często się jeszcze między rokiem 1780 a 1792 zdarzały; przy czém bez bitwy i krwi rozlewu nie obeszło się, a wszelako gościnność tak była w ówczesowych zwyczajach zakorzeniona, że kiedy sąsiad po uczynionym gwałcie przyjechał do domu pokrzywdzonego, przyjęło go grzecznie i nawzajem odwiedzono. W każdej niemal sukcesyi, nim przyszło do formalnego działu, każdy sukcesor ubiegał się przed innymi

do zajechania dóbr, a jeżeli je zastał zajęte, siłą wypierał.

„Chociaż poczty były ustanowione przynajmniej między miastami znaczniejszemi i niedrogo kosztowały, rzadko jednak pisywano przez pocztę. Była od wieków włożona na niektórych włościan powinność chodzenia z listami; wyprawiano ich o mil kilkanaście a czasami kilkadziesiąt, i tylko z łaski kilka groszy dawano. Posłaniec konny, nie dostając lub nie mając własnego obroku, musiał konia popaść na cudzej łące. Kozak wysłany z Ukrainy do Wielkopolski, na koniu z listem, dostawał dwa złote na drogę. W rzeczy samej pieniądze pod ten czas były rzadkie, w stosunku żywności drogie. Bułka za szeląg ($\frac{1}{3}$ część grosza) dosyć była wielką; w Krakowie sprzedawano duże świece i bochenki żytniego chleba po szelągu sztuka.

„Chociaż przesady już pod ten czas ustawać zaczęły, byli jeszcze koło roku 1780 ludzie, którzy po wsiach prawili gminowi o duchach, egzorcyzmach, opętanych i t. p., a w każdej wsi musiała być jedna lub więcej czarownica. Gromili z ambon księża podobne gminne wyobrażenia, a nawet niektórzy grozili odmówieniem rozgrzeszenia przy spowiedzi. W owym czasie duchowni używali wielkiej powagi jeszcze; jednak im ją nietylko ich stan, ale urodzenie, ogromne dochody, jak równie nauki i podróże do Rzymu, które prawie każdy z lepszego domu duchowny odbyć był obowiązany, niemniej także ich moralne prowadzenie, pobożność i cnoty chrześcijańskie, które wówczas z małemi wyjątkami w łonie naszego duchowieństwa kwitnęły. Biskupi i prałaci podnosili wprawdzie swoje rodziny, ale razem odbywali bezpłatnie publiczne posługi, wspierali ubogich i uposażali szpitale. Co tylko było i jest jeszcze w Krakowie instytucjów dobroczynnych, szpitalnych, stypendyalnych i naukowych, to po większej części byt swój otrzymało z ręki duchownych. Względem poddanych

byli oni również sprawiedliwymi jak dobroczynnymi; ich dobra odznaczały się w całej Polsce zamożnością i dobrym bytem włościan, którzy zagród swych używali jak właściciele i nigdy z nich ruszanymi nie byli.

„Z reformą wychowania publicznego, szlachta średniej klasy zaczęła przybierać charakter poważniejszy i więcej z europejską cywilizacją zgodny. Przed laty kilkudziesięciu pamiętną mi epokę, zwyczajem jeszcze było w Polsce, że młodzi obywatele, nawet tacy, których rodzice mieli po kilka wiosek dziedzicznych, zaciągali się do dworu wyższej szlachty za dworzan pokojowców, jak mówiono w on czas: *dla nabywania poloru i znajomości świata*. Służbę tę odbywali z całą uległością i upodleniem; jadali u stołu marszałka, który całym zarządzał dworem, i mógł ich dowolnie plagami na kobiercu ukarać. Assystowali panu, stojąc w kościele przy jego ławce, podając pani rękę przy wsiadaniu do karety, w podróży, choćby jak najdalej, tuż przy drzwiczkach powozu konno jechali; posyłani bywali z ważniejszymi listami i ekspedycjami, towarzyszyli panu na elekcję, sejmiki i publiczne zjazdy, zawsze gotowi wypełnić każdy jego rozkaz i rąbać się za jego honor, interes, a nawet fantazję.

„Już około roku 1780 ten zwyczaj ustawał; zaciągali się w taką służbę tylko ludzie ubodzy, z potrzeby; a obywatel posiadający choć mierny dziedziczny majątek, wstydziłby się być dać do niej swojego syna, i ten nie byłby się już poddał karność i obowiązkom tyle stan jego poniżającym. Szlachta zaczęła już wtenczas spostrzegać, że owa szlachecka równość, o której tyle prawiono, była dotąd tylko pozorną i w słowach. W istocie rzeczy, szlachta była tylko podłym narzędziem przewagi panów, którzy ją przez nią samą uciskali. Potrzebni królom, wymuszali na nim wielkie godności i bogate starostwa dla siebie, dla swoich zaś niemy klientów wyrabiali nic nieznaczące tytuły stolni-

ków, mieczników, cześników i t. p., a niekiedy też jakie małe folwarki, „wójtowstwami” zwane, lub na sejmikach urzędy regentów, komorników, pisarzy, sędziów, deputowanych i posłów. Ale między rokiem 1780 a 1792, „drobna” nawet, jak ją nazywano szlachta, chciała już używać równości i powagi, już nie w samych tylko czczych słowach będącej. Kiedy raz dumny regimentarz i wojewoda kijowski, jednemu towarzyszowi (1) kazał sobie podać ognia do fajki; ten otworzył okno i wystrzelił z pistoletu, mówiąc: że posłuszny rozkazom swojego wodza, dał ognia w sposób, jaki jego randze przystoi.

„Wychowanie młodzieży w Polsce było przez dwa wieki bardzo zaniedbane; rząd wcale się niemi nie opiekował, Akademia Krakowska i Wileńska, nie mając dostatecznych funduszy i żadnego nad sobą dozoru, upadały coraz bardziej i utrzymać się nie mogły obok przebiegłego zakonu Jezuitów, który kierując umysłami, szczególnież też Zygmunta III-go i wielu wielkich panów, gromadził coraz większe skarby, jednak sobie u powszechności zaufanie i znaczenie, i całą edukacją młodzieży do siebie zagarnął.

„Zaprzeczyć niemożna, aby zakon ten nie posiadał nauk i światła w wysokim bardzo stopniu; ale ucząc się młodzieży tak ich skąpo udzielał, że młodzienc po latach dziesięciu z ich szkół wychodzący, prócz łacińskiego języka, rachunków, nieco dziejów starożytnych, mnóstwa tak zwanych *karminów* czyli łacińskich poezyj, których się uczył na pamięć, nic wię-

(1) Kawalerya polska, zwana narodową, składała się z towarzysów i szeregowych. Towarzysze formowali pierwszy szereg, szeregowi drugi. Towarzyszem mógł być tylko szlachcic, który musiał się wyekwipować swoim kosztem, przystawić najmniej jednego szeregowego; niektórzy przystawiali po kilku i kilkunastu, a to jednemu im za usługę i prawo do przedszego awansu na oficera.

cój nie umiał. Z upadkiem dopiero tego zakonu, zaczęły się u nas podnosić nauki; z dóbr po nich zabranych uposażono krajowe uniwersytety i założono szkoły prowincjonalne, a ustanowienie komisji edukacyjnej, wzięcie pod dozór rządu publicznego wychowania; zawiązujemy dopiero, jak wiadomo, panowaniu Stanisława Augusta.

„Polacy, wychowani pod okiem Stanisława Leszczyńskiego w Lunevillu, a później nieco młodzież wychodząca ze szkół krajowych i świeżo założonego korpusu kadetów, lepiej oświeceni, poczęli już inaczej i z innego stanowiska uważać dobro ojczyzny: poznawali oni wady organiczne wiekami zakorzenione, instytucje i nawyki najszkodliwsze; widzieli całą zgubę nierządu i anarchii. Często już wówczas wychodzące pisma i broszury, ostrzegały naród o tych wadach konstytucji i prędko przepowiadały upadek, jeżeli skuteczna nie nastąpi reforma; lecz taka była moc zadawnionych przesądów, taka obawa w szlachcie utracenia swobód, przywilejów i samowładności, że reformatorowie wiele mieli trudności do zwalczenia, nim ją do zmiany nakłonić zdołali.

„Do wszystkich klęsk, któremi spodobało się Opatrzności w owym czasie dotknąć kraj nasz, przybyła jeszcze upadłość bankierów. Był pomiędzy nimi znany Prot Potocki, Tepper i inni; przez rzetelne wypłacanie się na każde zawołanie, w przeciągu lat kilkunastu taki sobie byli zjednali kredyt, że kto tylko sobie wielką lub małą sumkę zebrał i od bieżących wydatków oszczędził, jechał na kontrakty do Dubna i Krakowa, aby im na procenta oddawał; z kąd poszło, że gotowizna prawie całego kraju w ich zostawała rękach. Różne naznaczone przyczyny temu upadkowi... Płacił nieco za wysokie procenta, niektórzy żyli bardzo zbytkownie, trzymali wielką liczbę buchhalterów, którym wielkie ponaszali

pensye, rzucali się na wielkie i niepewne projekta handlowe. Wielki był płacz i narzekanie w kraju z tego powodu: wielu obywateli straciło większą część mienia, inni zaś, którzy całe majątki powierzyli, stracili wszystko.

„Po ukończonej kampanii 1794 roku, wielu z ziomeków naszych rozsypało się po różnych stronach świata, a wielka liczba udała się do Włoch, gdzie, jak wiadomo, formowały się legiony, które Francya utrzymywała na swym żołdzie, a które zbiegowiskiem żołnierzy austriackich rodem z Galicji nieustannie się powiększały. Inni zaś wracali do domów, gdzie oddawali się staraniom koło gospodarstwa i własnych interesów. Jak to zawsze bywa, Opatrzność obok wielkiej klęski, którą na kraj zesłała, pozwoliła, aby się z niej jaka taka dla niego korzyść wywiązała. Czas tyloletnich cierpień nie był ze wszystkiemi stracony. Zaprowadzone przez Niemców prawa, urządzenia, lepiej i praktyczniej Polaków obeznaly z prawami dobrego rządu i ekonomii politycznej, natchnęły ich delikatniejszymi względem włościń uczuciami; nauczyli się lepiej pojmovać wady przodków, gotujących od dawna ich zgubę, a wolni od zjazdów publicznych, dla których nieustannie odbywać musieli podróże, więcej przywiązywać się zaczęli do rolnictwa, które ich bogaciło; bo dla ciągłych nad Renem wojen, zboże poszło do niesłychanej ceny; płacono od dwóch do trzech dukatów korzec pszenicy, a w tej proporcji zboże i inne produkta ⁽¹⁾. Z dostatkiem przy-

(1) Coby piszący te notatki powiedział, że bez wojny blizkiej i tak znacznego nieurodzaju, dziś płacimy w owym dawnym europejskim śpichlerzu, pszenicę po złotych polskich 60, a żyto po złp. 40 korzec?

chodził przemysł, gust i zbytek, zaczęto stawiać porządniejsze folwarki, owczarnie, stajnie, gorzelnie, zaprowadzono szlachetniejsze gatunki owiec i bydła, budowano lasy, osuszano rowami łąki i pastwiska, w miejscu szpalerów ze strzyżonej grabiny i regularnych kwater w ogrodach, zapełniano je klombami, kanałami i łączkami. Domy gotyckiej architektury przekształcono na styl gładki z opartą na kolumnach facyatą i wewnątrz zrobiono podział pokoi wygodniejszy. Apartamenta napełniono mahoniowymi sprzętami sprowadzonymi z Berlina i Wiednia, albo robionymi w kraju przez rzemieślników, których tysiące z zagranicy przywędrowały. Strój polski coraz stawał się rzadszym, i tylko go na obywatelach podeszłych i mieszkańcach miast widzieć go można było. W miejscu karet i kolas na pasach w domu robionych, nastąpiły powozy z Wiednia lub z Anglii sprowadzane, które po wawozach, bagnach i trzęsawiskach kraju naszego psuły się i łamały. W każdym domu obywatelskim musiała być guwernantka Francuzka lub Angielka, guwerner Niemiec lub Francuz. Słowem, naród nasz w przeciągu lat dziesięciu inną wcale przybrał postać. Tytuły nawet starodawne polskie znikły, a nastąpiły zagraniczne książąt, hrabiów i baronów, albowiem rząd austriacki, schlebując szlachcie, osypywał niemi dawnych senatorów i dygnitarzy; urzędnicy pruscy i austriacy mieli rozkaz głaskania jej ambicji i najgrzeczniejszego się z nią obchodzenia. Ze wszystkich dawnych staropolskich obyczajów, pozostała tylko gościnność, która w niczem nie naruszona, długo w zwyczajnych naszych zostawała.

„Mruczeli na te wszystkie reformy starzy, narzekali na ustającą prostotę obyczajów, otwartość i wesołość; ubolewali nad tem, co nazywali w młodzieży wykintnością i zniewieściałością. Być może, że pod niektórymi względami, mieli słuszność; to pewna wszakże, że Polacy nowego pokolenia przybrali chara-

akter łagodniejszy, obejście więcéj zbliżone do zwyczajów środka Europy. Pijaństwo ustawało, a kobiety, lepiej same wychowane i w obowiązkach płci swojej oświecone, więcéj się zajmować poczęły dziećmi, które dawniej w oddzielnéj officynie lub na folwarku chowane, mało widywały.

„Obok korzyści, jakie obywatele w pomyślnych dla rolnictwa czasach ciągnęli, przykre im były podatki, których dawniej nie znali. Austria, ciśniona nieustannemi z Francją wojnami, podwoiła podatek dziesiątego grosza, a oprócz tego tytułem pożyczki wojennej, drugie tyle na właścicieli nałożyła. Rząd pruski oprócz powiększenia podatków, zaprowadził akcyzy po miastach i browarach, przez które niesłychane dotąd opłaty wyciskał. Poodbierał posiadaczom starostwa czyli dobra narodowe za przywilejem królewskim posiadane, lub na lat pięćdziesiąt dane, a wyznaczył im kompetencye wyrównywające połowie dochodów, jaką do skarbu wedle lustracyi opłacać byli obowiązani. Toż samo nieco później uczynił rząd austriacki. Oywatele, nie znając ich praw, manipulacyi, języka, drogo im się opłacać musieli, aby zyskali radę i pomoc w interesie. Mnóstwo wychodziło rozporządzeń, mandatów, a wszystko w niemieckim języku; każde niedopełnienie pociągało za sobą egzekucyą lub karę pieniężną, albo tłómaczenia, do których trzeba było znów porozumiewać się z samymi władzami, które sowitego wymagały wynagrodzenia; a nadto miały satysfakcyą wyśmiewać i pogardzać narodowe polskie zwyczaje.”

III.

Tu przerywam notatki mojego ojca, z których zrobiłam wypis w przekonaniu, że czytelnik z przyjemnością przejrzy te szczegóły, nigdzie mi się czytać nie dające o stanie moralnym i politycznym kraju naszego w okresie od roku 1780 do roku 1809.

Powiedziałam już, że ojciec mój po kampanii 1794 roku, zapragnął jechać do Włoch, od czego odwiódł go dział majatkowy i wczesne dość ożenienie z Teofilą Wielogłowską starościanką olszańską. Biskup krakowski Gawroński, krewny mojego ojca, dawał im ślub w Krakowie w biskupiej kaplicy, roku 1805. Po zwykłych uroczystościach weselnych, które się w owym czasie odbywały z całą staropolską gościnnością i dokładnością, rodzice moi pojechali na mieszkanie do dziedzicznego majątku, Marzęcina, w okolicach Pińczowa i Buska położonego. Marzęciński dworec niewielki i niewydatny, stał na wzniesieniu dość znacznego wzgórza, u którego stop na lewo ciągnął się ogród owocowy dość znacznej objętości. Opodal z okien domu dojrzeć można było jak za mgłą, ogołocone z murów baszty pińczowskiego zamku. Niedaleko, bo tylko o półtoręj mili, leży Busk, o którego wodach uzdrawiających z podania nawet w owym czasie słyhać nie było.

Wieś Bogucice była wsią parafialną, do której się jeździło z Marzęcina, gdzie kościoła nie było. Kościół

w Bogucicach po-aryański, jak bardzo wiele w okolicy kościołów, był czasem i brakiem funduszków na częściowe reparacje zniszczony, probostwo zaś tak ubogie, że ledwie wystarczało na opłacenie podatków. Proboszcz najbiedniejsze swe utrzymanie szukać był zmuszony u najuboższego ludu, przez opłaty od chrztu, ślubów i obrzędów pogrzebowych. Proboszczem w Bogucicach był w owym czasie ksiądz Jarzemski, który mi udzielił w marzęcińskim dworcu, w czasie trzaskających styczniowych mrozów, sakrament chrztu świętego. Mój ojciec, wielce w dziejach zamięłowany, zatopiony właśnie w czytaniu i studyowaniu historii Rzymu, nazwał mnie *Sabiną*, imieniem wówczas tak niezwykajnym, że począwszy proboszcz, który go w martyrologii nie czytał, stanowczo odmówił mi niemi nazwać; musiano wchodzić w układy, to jest, że imię *Marya* było wpisane w akcie kościelnym, Sabina zaś zostało jako dodatnie, ale tém ostatniem imieniem mnie w rodzinie, a nawet w urzędowych aktach nazywano. Trzymała mnie do chrztu starsza siostra mojej matki, Ignacowa Wielogłowska ze Zborowa, ze swym mężem, który był także jej stryjecznym bratem. We trzy dni po mojem urodzeniu zdarzył się zabawny wypadek, ale mogący się bardzo tragicznie skończyć. W czasie obiadu, gdy wszyscy siedzieli u stołu w sali jadalnej na drugim końcu domu, ja w dziecinym pokoiku, tuż obok pokoju sypialnego mojej matki, leżałam w kołysce, spoczywając tym snem kilkudniowego dziecka, który rzeczywiście snem nie jest, ani też życiem, tylko jakimś niedocieczonym stanem, środkiem trzymającym między życiem a roślinną wegetacją. Bona Francuzka, od wigilii dnia tego przydana do moich usług, siedziała razem z drugimi u stołu, a mamka widząc mnie spokojną, wyszła na chwilę, zostawiwszy na stole przy kołysce niedojedzoną potrawę ze swojego obiadu. W tej chwili jam się przebudziła i zaczęła kwilić, co usłyszawszy dwuletni brat mój, ba-

wiać się w sąsiednim pokoju, przybiegł i przypisując mój płacz głodowi, szybko ujął za talerz i począł mnie karmić kartoflami, które z całej siły pakował w drobne dziecięce usteczka. Proszę sobie wystawić przestрах mamki, która przyskoczywszy, ujrzała mnie przykrytą i nawpół uduszoną wcale niestosownym pokarmem. Narobiła krzyku, cały dom był w poruszeniu, zaczęto mnie trzeć, trzeźwić, gdyż nie mogąc oddychać, byłam już zupełnie sina. Szczęściem, skończyło się na tarcu, ulepkę, oddaleniu nieroztropnej mamki i rozesłaniu konnych posłańców na wszystkie strony po doktorów. Najnieśczęśliwszym był mój brat, który widząc tę wrzawę, rwetes, rozgardyas, stał przelekły, smutny i nieporuszony w kącie, czując instynktowo, że on tego wszystkiego przyczyną. Mój ojciec, ochłonawszy z przestachu, ulitował się nad nim, wziął go na ręce, zaczął pocieszać, i tak go dobrocią swoją rozkwilił, że długo utulić się nie mógł. Biedna dziecina w zaraniu życia swego już doznała najdotkliwszego ze wszystkich zawodów, bo jakiegoś rodzaju kary za najświętsze intencje!... Mój nieoceniony Floryan, który chciał mię nakarmić, gdy miałam dni trzy, w późniejszych i ciężkich życia mojego kolejach był moim aniołem opiekuńczym. Tracąc go przed czterema laty, straciłam najczynniejszego, najlepszego przyjaciela i jedyną przedwczesnego wdowieństwa mego podpórę! Ale nie uprzedzajmy wypadków i wróćmy do ciągu opowiadania mego.

W czasie pobytu rodziców moich w Marzęcinie, to jest roku 1805 — 1810, Europa i Polska szczególnie ważnych doznały wstrząśnięć. Francuzi, przyszedłszy do kraju naszego, znaleźli go, jak wiadomo, bardzo wycieńczonym, już to przez dawniejsze zabory na rzecz rządu, starostw i erpachtów, już przez redukcję bankocetli, przez którą mój ojciec, nie liczący się do najzamożniejszych, sam utracił około złp. 70,000 w gotowiźnie. Że wszakże dla chcącego, jak to mówią, nie ma nic trudnego,

znalazło się jeszcze u obywateli dość materyalnego zasobu i moralnej odwagi do przyjęcia Francuzów. Mając w tych wspomnieniach przedewszystkiém prawdę na celu, wyznać muszę, że stosunki bliższe z nimi, po wsiach szczególnie, były nader trudne i uciążliwe. Mieć było żołnierza francuzkiego pod dachem, było to samo, co mieć pana w domu, tém nieznośniejszego, że nie tylko ogałacał właściciela z najpierwszych do życia potrzeb, ale najdotkliwiej jego narodowe uczucie obrażał i drażnił. Nic dla żołnierza francuzkiego nie było świętego na kwaterze, gdzie się znajdował. Jeżeli przyszedł w nocy, kazał bez ceremonii ustępować sobie łóżka, lub pościel dla officerów bez miłosierdzia zajmował. Do stołu razem z państwem, nie bacząc na stopień, nieproszony zasiadał, rozpierał się w najwytworniejszych salonach, i błoto stajenne na bogate sofy i dywany znosił. Zdarzyło się, że nie zastawszy gotowego na opał drzewa, najradsze pokojowe meble łamał, kładł na ogień, i niemi prawdziwie piekielne ognisko utrzymywał.

W czasie przechodów nikt nie był pewnym ani swojego obiadu, ani swojego łóżka. Przez niepojęty jakiś kontrast, te niezwykłe garnizonowe stosunki nie ujmowały bynajmniej wrodzonej Francuzom galanterii. Nieraz zdarzyło się, że officer francuzki na kwaterze będący, kazał ustąpić z pokojów właścicielowi, który zmuszony był udać się spać na folwark, a nazajutrz zaprosił damy do ich własnych salonów na wieczorne zebranie, gdzie ich otoczył staraniami wyszukaną i wytworną grzecznością, grał im na fortepianie i śpiewał, a gdy było więcej osób, a szczególnie młodzież żeńska miejscowa, rozpoczynał się bal w całej formie i trwał do rana; poczem znów wszystko do dawnego wracało trybu, to jest do leż, ucisku i wszelkiego rodzaju uciemiężenia. Napoleon, który w wojsku swoim wyegzaltował uczucie punkt-honoru do najwyższego stopnia, nie umiał wpoić w niego potrzebnej w czasie pokoju i ro-

zejmu karności, względności dla słabych i bezbronnych; zresztą różnicy, jaka zachodzić powinna między nieprzyjacielem a sprzymierzeńcem. Zdaje się, że wada sobkowstwa (egoizmu), która kaziła charakter jego zaraziła cały fanatycznie do niego przywiązany naród, przeobrażając się w zbiorowy egoizm, nie widzący nic oprócz Francyi i Francuzów, nie czujący nic, tylko własne narodowe życie i interes. Jest to bardzo piękne uczucie, zdolne natchnąć do wielkich czynów męstwa, poświęcenia i wytrwałości, ale, gdy przejdzie odwieczne granice słuszności i sprawiedliwości, zamieni się w jakiś potworny monopol, wsiąkający w siebie pomyślność nie tylko wrogów, ale i sprzymierzeńców. Tak się zrobiło z Francuzami za czasów Napoleona. W wielu krajach uważani za zbawców, stali się istnymi prześladowcami. Z bólem serca wyznać potrzeba, że nasze tworzące się wojsko, łagodnością i pobłażaniem księcia Józefa popsute, poczęło po trosze garnizonową rubasznosć żołnierzy Zachodu naśladować. Przejęte ważnością swego przeznaczenia, a nadewszystko sławą i rozgłosem słynnego wodza i cesarza, otoczone uwielbieniem i pieścizotami swojego kraju, psute przez kobiety, rade przyjmujące jego hołdy i gardzące wszystkiem, co nie szlifa i pałasz; nie dziw, że do męstwa i nieustraszonosci przyplątało się nieco zarozumiałości, bo natura ludzka jest słaba i rzadko w granicach przyjętego na się charakteru wytrwać umie. Ów tak zwany okres Księstwa Warszawskiego był tak dla kraju naszego, jak dla całej Europy prawdziwą epopeją, w której nie wiedzieć co więcej podziwiać: czy geniusz wielkiego owój epoki przedstawiciela, czy tę poezją energii, czynu, poświęcenia, którą umiał massy natchnąć?

Okolo roku 1810 zdarzył się wypadek doskonale ów stan społeczeństwa malujący.

W Sandomierskiem, w dobrach swoich Ocieseki, mieszkał niejaki Skurzewski, dawny kościuszkowski zastępów żołnierz. Po ukończonej kampanii 1794 roku, osiadł na wsi, oddał się wyłącznie rolnictwu, do którego tak był nawykł, że z trudnością przychodziło mu, i to tylko dla gwałtownego interesu, wyjeżdżać z ulubionej sobie wioski, gdzie prawie pustelnicze prowadził życie. Skurzewski był jednym z tych ludzi, na których młodość, niedoświadczenie i zarozumiałość najłatwiej omylić się mogą. Postać jego niepokazna, pospolita, powierzchnowość pełna skromności, a nawet i pokory, obejście proste i uniżone, wyłączne oddanie się swojemu zawodowi, zapowiadały zabitego hreckosieja. Ale pod temi nieobiecującymi pozorami Skurzewskiego, ukrywały się przymioty cechujące biegłego i nieustraszonego rycerza. W częstych przechodach wojsk zdarzyło się, że skromne ustronie naszego szlachcica nawiedzane zostało przez oddział tak zwanych złotych huźarów komendy pułkownika U..., który na dość długą kwaterę u niego stanął. Dworek w Ociesekach pod strzechą, drewniany, szczupły, zbudowany był na kształt wielu ówczesnych dworków, co to w środku między oknami na czterech słupach postawiony ganek, z dwiema pobocznymi ławkami, całą stanowił ozdobę. Miał on wewnątrz sień, albo raczej wązki kurytarz; na prawo od wchodu był pokój niby jadalny, ale służący do całodziennego użytku, gdyż w nim właściciel sam lub z przybyłym rzadkim gościem przebywał: tu sypiał, pisywał, i wieczorne swe dyspozycje włodarzom wydawał. W środku tego pokoju, albo raczej izby niesufitowanej i mającej ściany drewniane, na wierzchu tylko wapnem przybielone, stał duży stół otoczony ławkami, czarną skórą obitemi; także ławki stały wzdłuż ścian. Na ścianach wisiało kilka sztuk zardzewiałej broni, trąbka myśliwska, torba i róg do prochu.

Przy drzwiach wchodowych od sieni wisiał po jednej stronie harapnik, a po drugiej klucze od stodoły i śpichlerza; opodal komin wysoki okrągławo kańczasty z kapą, na którym zimą i latem nieustanny płonął ogień; za kominem piec ceglany, tynkowany, nieproporcjonalnie w stosunku izby duży, i prawie zawsze zimny. W przeciwnych rogach pokoju po jednej stronie stało o mur opartych kilka długich cybuchów z bursztynami i przyczepionemi do nich stambułkami. Po drugiej między oknami, stół czarno bejcowany, zarzucony różnemi papierami i listami w bibulastych kopertach, kałamarz duży drewniany przymocowany do deszczułki, także piaseczniczka; obok mała owalowata herbowa pieczęć, lak, duża zakopcona pieczęć gminy, ogromne zardzewiałe nożyce do strzyżenia papieru, łojowa świeca w małym mosiężnym lichtarzyku, pół arkusza niebieskiego papieru przygotowanego na list, marmurowe checińskie dwa *presse-papier*, pod któremi starannie ułożone były ostatnie numera „Gazety Warszawskiej,” wówczas na bibule wychodzącej. Nad stołem do muru przymocowane były przegródki, w których ułożono bardzo starannie i stosownie do kategorii: Dziennik departamentalny, akta prawne, gminne, okólniki, kwity wypłaconych podatków; dalej znów księgi prawa, kodeksu cywilnego, procedury sądowej i różne urzędowe druki; obok wisiał na konopnym sznurku kalendarz krakowski, konieczny grat domowego inwentarza. Na jednym z dwóch okien mieściły się większej lub mniejszej objętości fiaszki z różnemi domowemi przyprawami lekarskimi, na choroby ludu i zwierząt, tudzież atrament w butelce, oraz w dużym szklanym słoju żmija konserwująca się w spirytusie, którym nacieranie ciała lub członków zbolawych miało być nieomyślnem lekarstwem na wszelkie reumatyczne bole. Na drugiem oknie stała uschła palma z Kwietniej Niedzieli, na kapie od kominu pozawieszane wieńce z ostatniej uroczystości Bożego Ciała, które dane

do połknięcia bydłu, w chorobie zwanéj *paskudnikiem*, miały mieć uleczającą własność. Na piecu zaś leżał duży wieniec uwity z pszenicy w kształcie kołpaka, ofiarowany przez przodownicę (pierwszą żniwiarkę) dziedzicowi w czasie ostatnich dożynek. W ostatnim kącie koło drzwi, stało żelazne łóżko Skurzewskiego, bez firanek, ze skórzaną poduszką, włosianym materacem, przykryte prostą flanelową w czerwone muszki i kwiaty kołdrą. Nad łóżkiem wisiał zakopcony obrazek Matki Bożej Częstochowskiej, zegarek kieszonkowy srebrny z trzema krwawnikami i mosiężnym kluczykiem, na tombakowym łańcuszku przyczepionemi, oraz kapciuszek niebieski jedwabny z dnem ponsowém safianowém. Na ścianie i w nogach rozłożono dwie wilecze skóry. Wprost drzwi wchodowych były drugie drzwi, prowadzące do innego pokoju osufitowanego i oszabrowanego. Był to rodzaj niby bawialnego pokoju, najmniej zamieszkanego; kanapa, stół okrągły mahoniowy, jedyny szacowniejszy w nim sprzęt, którego nikt nie widział, bo był zawsze szarém płótnem nakryty, pół tuzina jesionowych wypłatanych stołków, w kącie komoda czerwono politurowana, i takiż stolik do kart, stanowiły całe umeblowanie. W tym pokoju zwykle w lecie suszyły się gospodarskie zioła, porozsypywane były na spodkach od filiżanek rozmaite gatunki zboża; w zimie zaś i późnej jesieni, służył za schowanie zimowym jabłkom i gruszkom, starannie na podłodze poukładanym. W znanéj nam już sieni za drewnianém przeforsztowaniem była spiżarnia, a za sienią izba czeladnia i kuchnia. Tych opisywać nie będę, bo któż z nas, pamiętających jeszcze pierwszy 25-letni okres XIX-go stulecia, nie przypomni sobie owych folwarcznych izb, pralni i kuchni, gdzie wrzask i pisk drobiu, dym, kopeć, przykre zapachy różnego rodzaju i niedocieczonego użytku graty, nieczystość i nieporządek, walczyły z sobą o pierwszeństwo? Dziedzinec obwiedziony chru-

ścianym płotem, zakończony dwoma słupami, mającemi wcale niewłaściwie pretensyą nazywania się bramą, zajęty był brudnymi i bagnistemi kałużami, w których koła grzęzły, nim się do dworu zajechało. Na płocie igrał swobodnie kot zaczajony na kure wodziącą kurczętą. Opodał indyk najeżał pióra swoje i witał wściekle przybywających chłopków z interesem do pana; a psy niemiłosiernie szczekały na odartego Żydkę, chodzącego za skórkami, z pod których ledwie go widać było. Ogród owocowy i warzywny był tam gdzieś daleko za gumnem; budynki murowane porządne a nawet wykwintne, czyniły kontrast z lichym dworem i dziedzińcem: przy każdym zabudowaniu była buda z psem brytanem na łańcuchu. Oto mniej więcej obraz siedziby naszego starego wojaka. Do niej to przybył na kwatę ze swoim sztabem półkownik U..., którego w salonach nazywano *Monsieur Ducat*, przez aluzję do jego kapiącego od złota mundur złotych huzarów. Wzrostu średniego, ale przystojny, ulubieniec kobiet, pełny honoru i odwagi, trochę junaka i zawadyak, zawsze gotowy do szabli i kieliszka, jak to bywała młodzież wojskowa za czasów księcia Józefa, a przytém wykwintny i elegancki, w odludnej i mizernej wioszczynie nie mógł się znaleźć w swoim żywiole. Niebardzo się też spieszył do niej, i dał się wyprzedzić swoim ludziom i ekwipażom, o których coś także powiedzieć trzeba, bo najlepsze o panu swoim i czasie dadzą wyobrażenie. Najprzód prowadzono konie wierchowce, precudnej rasy, okryte w eleganckie z wyszukaną turecką materią kocy; za nimi szedł koczyk półkownika, w którym, siedział, albo raczej leżał pies amerykański, prawdziwie zamorskiego pochodzenia, a na siedzeniu rozłożone były: poduszka skórzana, pudełko z pistoletami, mappa i perspektywa, a przytém wszystkiem, stojący, oparty o tylną poduszkę powozu, portret Napoleona I, starannie w grubym papierze owinięty i owiązany, ów ko-

nieczny sprzęt każdego wówczas officera. Na kozle siedział kamerdyner półkownika, Francuz, który się nie mało zadziwił i skrzywił, widząc ociesiecki dworek i pokoje na przyjęcie jego pana przygotowane. Mocno niekontent, ale poddając się nieodwołalnemu prawu konieczności, starał się stosownie do zwyczajów i gustu U... mieszkalnemi je zrobić. Pierwszy pokój, który już opisywaliśmy, gdzie Skurzewski sypiał, przeznaczony był dla officerów sztabu półkownika; drugi zaś, zowiący się bawialnym pokojem, kamerdyner zachował dla pana swego. Zwołano najprzód ludzi, kazano okna poroztwierać, aby się pozbyć wilgoci i stęchlizny zwyczajnej w pokoju niezamieszkanym. Starą kanapę nowym perskim dywanem nakryto, nad łóżkiem makatę i kotarę przybito, na komodzie ustawiono zwierciadło i inne przybory do ubierania; wniesiono ogromną szkatułę mahoniową okutą w mosiądz i powleczonej oponą z łosięj skóry, w której były podróżne srebrne, niezbędne graczki: miednica z kubkiem, sztuciec, szklanka, kieliszek, parę talerzy i co potrzeba do ubierania. To wszystko porozstawiano na stole obok łóżka, ściany ozdobiono kosztowną i rzadką bronią; każdy kąt oczyszczono i okadzono. W końcu skromna izdebka szlacheckiego dworku przybrała pozór sypialnego pokoju rycerza-sybaryty. Skurzewski, który sam wyniósł się na folwark, aby godnie przyjąć swoich gości, poprzysiądzał dla nich resztki zapasów domowych; powyciągał z piwnicy resztujące butelki pozostałych po Francuzach starych win węgierskich, które nadsekwanscy goście, bardzo, jak wiadomo, polubili; ku wieczorowi kazał rozpaść suty ogień na kominku i czekał z przygotowaną doskonałą wieczerzą, kiedy usłyszano na dziedzińcu po błocie stąpające konie naszych rycerzy. Wyszedł na ich spotkanie do drzwi wchodowych skromny gospodarz. Półkownik zawiedziony jego siwą kapotą i uniżoną miną, skłoniwszy się zlekka, nie mówiąc

ani słowa, wszedł do swojego pokoju, gdzie się niebawem zamknął, kazawszy sobie poprzednio podać wieczerzę. Znalazłszy się sam, zdjął swój służbowy mundur bogaty, ale ciężki; przywdział lżejszy i wygodniejszy ubiór, i znużony kilkudniowym marszem, rzucił się jak długi na kanapę. Usłużny *François* podał mu elegancką fajkę (wtenczas jeszcze cygar nie palono), ustawił stół, na którym postawił dwie woskowe świece, dzwonek, romans francuzki pani Cottin, wodę, cukier butelkę czerwonego wina, i wyszedł. Półkownik zaczął czytać, ale romans go jakoś nie bawił, i byłby może zasnął na prawdę, kiedy szelest jakiś zrobił się na dziedzińcu: psy poczęły szczekać, ujadać, zrywać się, w czém im doskonale piękny amerykański *terre-neuve* wtórował.

— Co to jest?— zawołał zniecierpliwiony tym hałasem pułkownik. Na energiczny odgłos dzwonka, wpada zadyszany ordynans, stary huzar, legionista z krzyżem na piersiach i kresą na prawém policzku, i staje frontem.

— Zkąd ten hałas?

— Panie półkowniku! oto idzie dziad, i psy na niego ujadają.

— Ale mi spać nie dają!... Wołać gospodarza.

— Spi.

— To go zbudź!

Wychodzi huzar, i w kilka minut przychodzi z oznajmieniem, że gospodarz wyjechał konno na nocny objazd łąk i pól.

— To wołać ekonoma!

— Ekonoma we dworze nie ma.

— To karbowego! Przecież tu ktoś być musi.

Na ten stanowczy rozkaz, wiarus obraca się po wojskowemu prawo w tył, i biegnie wykonać rozkaz. Po długim szukaniu zastaje karbowego w gumie śpią-

cego: budzi go, każe się czémprędzej ubierać, i rozespanego, zalekłego, niemogącego słowa zabelkotać, stawia przed półkownikiem. Był to człowiek z klasy na pół wiejskiej, na pół waszeciowej, ubrany w granatową kapotę, ściśniętą szerokim pasem skórzanym; mający u szyi na pędcie związaną starą czerwoną wypłowiałą chustkę, i obracający w rękę granatową czworograniastą czapkę. Józiek był jednocześnie komissarzem, ekonomem, karbowym, to jest co się nazywa do wszystkiego zarządu w Ociesekach; gdyż pan jego ekonoma nie trzymał: sam sobie był rządcą, a jego trzymał do pomocy. Człowiek ten od małego chłopca przy dworze, trzeźwością, pracowitością i naturalnym sprytem, zyskał zaufanie pana i od lat dziesięciu był jego oficjalistą i całego gospodarstwa zawiadowcą. Twarz jego dość przystojna, ogorzała od słońca, nosiła na sobie mieszany wyraz prostoty, pokory, głupowatości i chłopskiej filuteryi. Gdy wszedł nieśmiało do pokoju, półkownik, zawsze leżący na kanapie, od razu go zagadał:

— Twój pan siedzi na pieniądzech?

— A juścić! tak jak mówi wielmożny półkownik; równie go trochę ostatnia stójka podchlastała.

— Jak to? Co ty gadasz?

— A juścić, trzeba było dać, kić wołali nasi szlachta: ośm wołów spaśnych, i wszystko namłócone zboże dla wojska.

— Ja ci się o to nie pytam. Gadaj a prędko: twój pan siedzi na pieniądzech?

— A juścić tak, kiedy wielmożny półkownik tak mówi.

— Bo tak o nim mówią w okolicy. A kiedy ma pieniądze, dla czego cierpi żebraków we wsi, czemu ich ich nie opatrzy, albo nie zatrudni.

To mówiąc, wyciąga U. sakiewkę i rzuca niedbale karbowemu pod nogi dukata hollenderskiego.

— Wynieś to—rzecze—żebrakowi, żeby mi się od dziś dnia, dopokąd tę będę, nie znajdował; bo inaczej ty i twój pan za to odpowiedzialni mi będziecie. Ruszaj z Bogiem!

Uradowany Józiek z tak niespodziewanie szczęśliwego końca posłuchania, skłonił się aż do ziemi i odszedł, a uszczęśliwiony żebrak tak wspaniałym i niezwykłym datkiem, odszedł powolnym krokiem, składając dzięki Bogu za ten dar jego Opatrzności.

Nie omieszkiał Józiek powtórzyć panu swemu groźne półkownika słowa; zawrzała nieskrępla jeszcze rycerska krew w panu Skurzewskim, ale nawykły do rubasznych form napoleońskich żołnierzy, widząc w nich przyszłość i nadzieję kraju, postanowił więc wszystko znosić z cierpliwością, i uprzedzać o ile możliwości życzenia a nawet myśli swych gości. W tym celu nie spuszczając się na resztki owęj dawniej swęj piwnicy, sprowadził wprost z Warszawy najlepsze, najdelikatniejsze zagraniczne wina; przyjął wybornego kucharza, kazał zabić tucznego wołu, kilkunastu baranów, i mięsem tych zwierząt karmił żołnierzy, słowem pragnął, aby naszym rycerzom nic nie zostawało do życzenia, co się tyczy materialnych wygod. W zamian swych starań i wydatków, jedynem jego wynagrodzeniem było, gdy mógł się wieczorną porą, po skończonych gospodarskich zachodach, przysłuchiwać gawędom i opowiadaniom przygód obozowego życia swoich gości; mianowicie gdy była mowa o jakim ciekawym wojennym czynie, o które nie trudno było w tych prawdziwie heroicznych czasach. Jak powiedziałam, naszym huzarom chyba ptasiego mleka w Ocieskach nie stało. Ale cóż stanowi dla człowieka materialny byt, jeżeli mu braknie pokarmu dla duszy i nuda, i przesyt znacznie go trawić? Ci panowie przez dwutygodniową stójkę wyczerpali wszystkie zasoby rozrywek, jakie mieć mogli. Musztra, strzelanie do celu, romanse pań: Cottin i de Genlis, sto-

sunki w okolicy, jeżdżenie do sąsiednich miasteczek Kielc i Opatowa, wszystko to po trosze już nudzić ich zaczęło, i nie wiedzieli co robić, aby zająć długie godziny do przyszłej bitwy, której w sercu pragnęli. Codzienny widok Skurzewskiego, jego skromność i zaciekawienie, gdy o swoich wojennych czynach gawędzili, psotną im do głowy myśl podał.

Jak się to wyżej powiedziało, ci panowie zupełnie się na tym człowieku omylili, jako młodzi, niedoświadczeni, a do tego światowi, nawykli z pozorów sądzić. Powolność Skurzewskiego, jego dla nich starania i hojność, skwapliwość w dogadzaniu nieraz kapryśnym żądaniom i wymaganiom; wreszcie jego dobroć, potulność i cierpliwość, przypisywali po prostu jakiejś parafianskiej głupocie i nieśmiałości, częściej bojaźni obrażenia, zbyt częstą trwodze, a może i niedołęztwu. Umyśliли zatem dla swojej zabawki wziąć obywatela na fundusz. Ułożyli między sobą plan komedii, i niebawem wzięli się do rozdania każdemu z aktorów właściwej roli i do wykonania dzieła.

Jednego wieczoru po rozejściu się towarzystwa, gdy Skurzewski w swojej folwarcznej izdebce zajęty był wydawaniem dyspozycji znajomemu naszemu Jóźkowi, wpada do niej jeden z officerów z wyrazem smutku i pomieszanania na twarzy, a usiadłszy na łóżku, które tam jedyny sprzęt prawie stanowiło, i kazawszy wyjść gumiennemu:

— W smutnym tu—rzecze—przychodzę do pana interesie, i prawdziwie od kilku godzin smażę sobie głowę nad wynalezieniem sposobu załagodzenia tej sprawy, ale go nie znajduję.

Skurzewski, mocno tym wstępem zdziwiony, nie mogąc zrozumieć ani udanego smutku officera, ani coby miała znaczyć trudna i przykra sprawa, o której mówi, spojrzał na niego dobrodusznie, jakby pytał o wyjaśnienie tej zagadki.

— Pan obraził pólkownika, który żąda satysfakcji.

— Ja? ja?... A to jakim sposobem?

— Przypomina sobie pan owe niegrzeczne wyrazy w obec naszego dowódcy wyrzeczone?

— Boże mię skarż, jeżeli pamiętam.

— Jak to? gdyśmy puszczały rakiety wczoraj w wieczór, i gdy jedna z nich przypadkowo padła na gołębnik pański, który się zapalił, a ogień natychmiast przez huzarów ugaszonym został; pan odezwałeś się półgłosem, krzywo na pólkownika spojrzawszy: „Nie długo patrzeć, to i gumno pójdzie z dymem!” Otoż pólkownik mocno temi słowy urażony, a bardziej jeszcze tonem, jakim były wyrażone, żąda satysfakcji.

— Jakiegoż to zadosyćczynienia żąda pan pólkownik?—odrzekł spokojnie Skurzewski. — W każdej chwili gotów jestem przeprosić go i serdecznie uściskać, jeżeli niechęć obraziłem.

— Nie przyjmie przeproszenia; u nas wojskowych obraza krwią jedynie zmazać się może! — energicznym tonem wymówił officer, który nie pojmował ani krwi zimnej Skurzewskiego, ani jego gotowości przeproszenia pólkownika, i jedynie słowa jego nikczemnej przypisywał trwodze.

— Ach! rozumiem — ciągnął dalej Skurzewski — jest tu mowa o pojedynku! Miły Boże! macież sumienie wyzywać człowieka, który lat kilkanaście broni w użyciu nie miał?... Biło się to tam niegdyś, i jak ludzie mówili, nie jednemu dało się we znaki. At, wisi tu jeszcze broń zardzewiała, którą się jako tako machało; ale przy roli i plugu, to się człowiek i bić zapominał.—To mówiąc, drapał się szlachcic, niby zakłopotany, po czuprynie.

Uradowany officer z biegu rzeczy, tłumiąc śmiech, oświadczył tonem poważnym i uroczystym, że do Sku-

rzewskiego należy, jako wyzwanego, wybór miejsca i broni, oraz pierwszy strzał.

— Jać to wiem, że to pono trza wybrać i assystentów.

— Niezbędnie!

— Ja tu tak dalece blizkich sąsiadów nie mam, a daleko mi ich się szukać nie chce. Ot tak: aspana do brodzieja sobie wybieram, to najkrótszy interes.

— Bardzo dobrze! służyć mu będę. Otoż jedna zawada usunięta, a obecnie wybieraj pan broń.

— Niech będzie pistolet, niegdyś się tam jako tako strzelało, a dziś ręka niezbyt silna do machania pałaszem. Niech będą pistolety.

— Jeszcze jeden warunek—powiedział Skurzewski — trzeba mi będzie dwudziestu czterech godzin do przygotowania się na śmierć, napisania testamentu; jestem katolikiem i po chrześcijańsku umrzeć pragnę.

— Wcale się temu sprzeciwiać nie będziemy.

— Stawię się zatem jutro na szóstą wieczór, na rozkaz pana pólkownika, zawsze w chęci przeproszenia go, bo nie mam ochoty ani zamiaru czyhać na jego życie.

Po głębokim ukłonie, officer odchodzi, odprowadzony aż do kwatery ze świecą przez Skurzewskiego. Nazajutrz przybywa szlachcic o oznaczonej godzinie, sam, bez broni, na plac, którym było podwórze dworu zajętego przez huzarów.

Nie było znać po nim najmniejszego cienia wzruszenia; taż sama twarz wypogodzona i dobroniuszna, grzeczność uniżona, najzupełniejsza obojętność; taż sama szara kapota, nieszczęśliwy cel żarcików, lekceważenia i śmiechów ze strony jego przeciwników. Wszyscy już byli na swoich miejscach. Skurzewski oddał niski staroświecki ukłon najprzód pólkownikowi, potem offi-

cerom sekundującym, następnie niezbędnemu przy pojedynku lekarzowi półkowemu. Niebawem zajęto się oznaczeniem miejsca, liczeniem kroków, zatknięciem szpad, w końcu wzięto się do nabijania broni. Skurzewski patrzył obojętnie na te przygotowania i na twarze nasrożone officerów, pod któremi ukryć usiłowali wesołość i wewnętrzne zadowolenie. Gdy wszystko do walki było gotowe:

— Mości półkowniku—rzecze Skurzewski—obraziłem aspana dobrodzieja niechcący; jeżeli to oświadczenie jest dostatecznym dla zaspokojenia twego honoru, dajmy pokój temu wszystkiemu, poco się mamy wzajemnie mordować?

Officerowie w przekonaniu, że to jest żart, igraszka dla zabicia czasu, krzyknęli wszyscy razem:

— Półkowniku, kiedy się bić nie chce, niechaj cię przeprosi na klęczkach!

Na te słowa Skurzewski, który także po swojemu bawił się junakeryą i zarozumiałością młodzików, i pragnął im dać małą nauczkę, stanął jak wryty; rumieniec a potem śmiertelna bledość okryły twarz jego, wyprężył się tak, że zdawało się że mu drugie tyle wzrostu przybyło; rysy jego, zwykle uprzejme, łagodne i dobroduszne, przybrały wyraz srogości i energii, oczy niezwykajnym zajaśniały blaskiem, a podnosząc głos:

— Na klęczkach!?—wyjąknął.—Na klęczkach!... Wiedźcie panowie, że Skurzewski jedynie przed Bogiem, panem swoim i waszym kłęką.

Była to jedyna chwila gniewu, jedyny wybuch niezwykajnego stanu zniecierpliwienia, po której nasz bohater wrócił do zwykłej sobie obojętności

Zdziwiony sekundant podał mu pistolet, który Skurzewski uchwycił zwinną i wprawna ręką i strzelił na wiatr.

Półkownik upokorzony tym strzałem, zniecierpliwiony, że mu się jakoś szyki pomieszały, i przeczuwający godnego siebie przeciwnika, już nie dla igraszki strzela, i chybia.

Skurzewski bawił się obojętnie guzikiem od swojej kapoty. Gdy na niego przysła znów kolój strzelania:

— Panowie! — rzekł — biorę was za świadków: droga mi jest krew bratnia, nie chcę pozbawiać kraju mojego tak dzielnego jak półkownik obrońcy. Zeby jednak jego i was panowie nauczyć, jak szanować należy dawnego wojaka i ziemianina, nie zabiję go, ale strzelę w lewe ucho. Co wyrzekłszy, celnie strzela, a półkownik pada wśród kłębow dymu.

— Zabiłeś go pan—wołają officerowie.

— Mylicie się panowie—odpowie zimno Skurzewski—ranny tylko w lewe ucho. Co bierzecie za śmierć, jest skutkiem odurzenia.

Ledwie domawiał tych słów, U. ocucony podnosi się z ziemi, ociera chustką krew płynącą z rany, a jako dobry znawca w materii prochu i honoru, poznawszy w przeciwniku i zbawcy swoim mistrza, rzuca się mu na szyję, wołając:

— Przebacz dla miłości kraju!

Przyjął w swe objęcia młodego wojaka Skurzewski, oba zapaśnicy ujęli się za ręce, weszli do mieszkania półkownika, gdzie sute śniadanie i liczne toasty zakończyły dzień, który się tak tragicznie mógł skończyć.

Odtąd Skurzewski, otoczony czcią i szacunkiem młodych swych przyjaciół, mógł dowolnie słuchać ulubionych gawęd o wojennych przygodach, i tak się do nich przywiązał, że z żalem widział zbliżającą się chwilę, w której waleczni jego goście mieli Ociesęki opuścić.

Kto zna ową epokę i jój ducha, uwierzy łatwo, że za pozór do pojedynku mogło służyć mniej więcej nieprzyjazne spojrzenie. Pojedynek był w ówczesnych obyczajach jak dziś pieniądze, szampan, ostrygi i gęsie szermierstwo, to jest krytyki i napaści po gazetach.

Z upodobaniem słuchałam opowiadaną mi tę historią przez mojego ojca, jako naocznego jój świadka, i wyznaję, że moja ciekawość poznania U... i chęć przypatrzenia się jego lewemu uchu, nie miały granic. Pierwszy raz spotkałam go w r. 1831 na czwartkowym raucie u księcia N. N. O mało co oczu sobie nie zerwałam, ale na nieszczęście mam i miałam zawsze krótki wzrok, a wtenczas, jako zbyt młoda, okularów, nie używałam. Generał raz tylko usiadł koło mnie i to od strony swojego dobrego ucha. Od tego wieczorn widywałam go czasami, nie mogąc nigdy dobrze rozeznąć blizny. W czasie kwesty rzucił mi dość obojętnie do woreczka trzy papiery stuzłotowe. Tu powiem nawiasem, żeśmy w owym czasie kwestowały po domach i ulicach, co wyznać potrzeba, było mocno facygujące i uciążliwe, ale przyzwoitsze niż dziś, gdy z domów Bożych robią salony ze wszystkimi ich akcesoryami. Ale o tém potém. Gdym więc widziała kasę moich ubogich o złp. 300 powiększoną, przypominałam sobie owego dukata, rzuconego karbowemu pod nogi dla żebraka... i nie mogłam powściągnąć półśmieschu prawdziwej satysfakcyi.

— *Toujours noble et généreux* — powiedziała mi, i odeszliśmy czémprędzej z panią G. i panami Z. i N. z którymi kwestowałam, z bojaźni, aby generał nie żądał wytłómaczenia tych słów. Poznałam córkę jego w owym czasie: ładną, prostą i wysmukłą czternastoletnią panienkę, którą ojciec kochał zapamiętane i zawsze z sobą wszędzie woził.

Co do właściciela Ociesek, ten z niemałą pracą i mazołem zebrał sobie dość znaczny majątek, którego jakąś część chował u siebie w gotowiźnie. Koło roku 1822 czy 1823, bo nie pamiętam dobrze epoki, mieszkając w Kielcach w gmachu Leonarda, wysłałam ku wieczorowi na spacer z moją guwernantką. Skierowałyśmy drogę naszą ku miasteczku, kiedy zdala spostrzegamy ogromne kłęby kurzu, a następnie jakieś jakby cienie ludzi zbrojnych, konnych, pieszych i jadących. Wszystko zdala wydawało się jak czarna masa; zbliżka dopiero rozeznałyśmy koło trzydziestu powozek sznurem ciągnących; każda z nich miała po bokach dwóch kozaków z dobytymi pałaszami, na każdej siedział człowiek z ponurém wejrzeniem, ogromnym na twarzy zarostem, związany i łańcuchami do powozki przykuty. Za temi powozkami szedł mężczyzna średniego wieku z założonymi z tyłu rękami, z wyrazem oczu sprytnym, myślącym i nieco surowym, z postawą energiczną i rozkazującą. Cały ten orszak niepojęte na nas zrobił wrażenie, które się jeszcze podwoiło, gdyśmy go ujrzaly wjeżdżającego w bramę gmachu Leonarda. Zdjęte niezmierną ciekawością, w której niemała była doza trwogi, zwróciliśmy się, powolnym postępując krokiem, w kierunku powózek. Proszę sobie wyobrazić kwadratowy i dość duży dziedziniec gmachu, napchany powozkami i zbrojnymi ludźmi, którzy tam noc następną i dniówkę odbyć mieli, a szczególnie nieszczęśliwych ludzi dniem i nocą przykuty do swych koczujących więzień. Byli to złoczyńcy, ujęci z bandy rozbójników, która ukrywając się w głębokich sandomierskich lasach przez jakiś przeciąg czasu, wielkich szkód i nieszczęść na mil kilka naokoło stała się przyczyną. Otoż ci złoczyńcy uznali za godną siebie zdobycz szkatułkę Skurzewskiego, o której w okolicy wiele mówiono, a jak to bywa, większą nierównie niż rzeczywiście była, opisywano. Pewnej umówionej

nocy, trzydziestu z bandy napadło i obległo dwór w Ocieskach; przestraszona straż nocna uciekła. Czterech najsmielszych rabusiów jęło się do odrywania okutych i szczelnie zamkniętych okiennic, a następnie i okien sypialnego pokoju, kiedy niespodziewane wystrzały z pistoletu przez rozbite szyby, dwóch z nich na miejscu trupem położyły. Reszta, w przekonaniu, że to zasadzka, i że dom napełniony wojskiem, uciekła w lasy, porzuciwszy noże, siekiery i drągi, któremi uzbrojona była. Wewnątrz domu nie było wszakże nikogo oprócz Skurzewskiego, śpiącego w osobnym i oddalonym pokoju, oraz lokaja i gospodyni na drugiej stronie domu mieszkających, których wystrzał z pistoletu dopiero przebudzić zdołał. Skurzewski, ostrzeżony o znajdującą się w okolicy bandzie rabusiów, która bytność swoją w okolicy zwiastowała już przed ustawiczne znikanie koni i bydła, już przez napady na ludzi idących z kościoła lub pobliskich jarmarków, miał się na ostrożności, nie kładąc się wieczorem w łóżko, a mając tuż około siebie cztery doskonale pistolety Kuchenreiter'a, nabite i z odwiedzionymi kurkami. Owęj pamiętnej nocy, gdy straż dworska, przestraszona całą armią złoczyńców, uciekła, Skurzewski sam ze zwykłą sobie krwią zimną i nieustraszoną, obronił dom swój od napaści kilkudziesięciu ludzi. Sąd w Chęcinach, mając złożony sobie rapport o całym tym wypadku, wytropił i ujął złoczyńców, których przez Kielce do Sandomierza prowadzono. Mężczyzna idący za powózkami, o którym wyżej wspominałam, był sędzią inkwirentem w Chęcinach, R., słynnym ze swojej zręczności w odgadywaniu słabej strony natury ludzkiej; potrafił on wysłuchiwać i w ręce sprawiedliwości oddać tę bandę, będącą długi czas postrachem i plagą sandomierskich okolic.

W roku 1810, mój ojciec, powołany przez króla saskiego na urząd, opuścił Marzęcin, wypuściwszy go w dzierżawę i udawszy się do Krakowa na stałe zamieszkanie. Od téj chwili dwie tylko krótkie wyieczki zrobiliśmy do miejsca mojego urodzenia: jedną w roku 1820, z powodu słabości mojego brata, potrzebującego świeżego wiejskiego powietrza, i następnie w roku 1823, gdy przyjechaliśmy tu przepędzić pierwszy i okropny tydzień po śmierci mojej matki. W obu tych razach odwiedzani byliśmy przez dawnych znajomych i sąsiadów mojego ojca. Między innymi przypominam sobie pełnego uprzejmości Franciszka Łubieńskiego, przyjeżdżającego z Zagości z bratem, nie pamiętam dobrze czy z Henrykiem, czy z Józefem. W roku 1820, w miejscu tém, blisko z Marzęcinem sąsiadującym, mieszkał patriarcha téj rodziny, były minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, w roku zaś 1823, po odebraniu starostwa na rzeczą rządu, zacna ta rodzina przeniosła się na mieszkanie do Krakowa. Koło tegoż roku, jadący do Rzymu ksiądz Tadeusz Łubieński pod okiem sędziego ojca brał pierwsze na księdza święcenie.

Ostatniej swojej w Marzęcinie bytności (1823 roku), mój ojciec serdecznie był witany nie tylko od dawnych swoich sąsiadów i przyjaciół, ale od officialiśców i chłopków. Poczciwy Grzela, który niegdyś uratował życie tonącemu w stawie bratu mojemu, i za to na całe życie od pańszczyzny uwolniony został, przyszedł ze łzami witać wielmożnego dziedzica i paniątka. Zeby zaś nie przyjść z próżnemi rękami, trzymał pod pachą siwo-białą gęś, głową do obdarowanych obróconą, żona zaś jego przyniosła w kobiałce jaj i grzybów, które nieśmiało państwu ofiarowała. Lud w téj okolicy jest potulny, trzeźwy i pracowity. O mil dziesięć od Krakowa zamieszkały, ubiorem i charakterem znacznie się różni od ludu krakowskich

okolic. Tłuste, ale wymagające wielkiego zachodu rądziny, większe niż gdzieindziej ubóstwo z powodu podwójnych prawie na utrzymanie gospodarstwa kosztów, gdzieśniedzie prawdziwa nędza,—odejmują chłopkowi okolic Buska tę rzeźkość, swobodę, dowcip i wesołość, znamionujące Krakowiaka.

IV.

Ubiór nawet tutejszego wieśniaka nosi na sobie pewną cechę smutku i zaniedbania; czapka, acz tradycyjnie krakowska, czerwona i czworograniasta, zamiast koloru ponsowego, wpada w ciemny amarant, jest mniejsza, wierzch mniej wydatnie wykrojony i wyższy, sukmana z szarawego płótna, pas rzemienny bez kółek, buty z małemi obcasami, koszula bez owych jaskrawych barw, odznaczających krakowski ubiór. Tak zwany zagrodnik odrabia do dworu trzy dni na tydzień, w zamian czego ma chałupę, to jest izbę z komorą, wazką sionkę, chlewik, stodołkę, ćwierć morga ogrodu i trzy morgi pola. Do pług na kołach zaprzęga się sześć wołów, które niemało mają pracy pruć skorupę twardej, czarnej, ślizkiej, miejscami kamienistej ziemi. Nigdzie ucisk i nędza ludu tak dotkliwie i boleśnie nie daje się czuć, jak w tej okolicy. Tak przynajmniej było w roku 1823. Gdyśmy po raz ostatni gościli w Marzęcinie, na Wielkanoc tegoż roku ksiądz proboszcz z Bogucie przyjechał święcić dar Boży; gospodynie znosiły do sali jadalnej starego dworca swe ubogie do świątecznej uczty przybory, składające się z kawałka wołowiny, lub baraniny wędzonej, mendla jajek, serka, bochenka z pszennej mąki na raz spytłowanej, chrzanu, trochy soli i octu, rzadko kiedy schabu, główizny lub kiełbasy. I to tylko zamożniejsi, bo byli tacy, co po jednem jajku

do święcenia przynosili. Niezawsze można wierzyć nędzy chłopka, miewa i on różne swoje dyplomatyczne wybiegi i rad się w oczach, zwłaszcza dziedzica; w maskę nędzy przybiera; ale w Wielką Sobotę jeżeli jego ubóstwo okaże się w całej nagości, to też w całej swjej szczerocie jest ono takim, jakim jest istotnie. Wielkanocne święcone i pogrzeb, czyli jak oni nazywają: pochówek, są to uroczystości, w których jeżeli chłopiek polski suto i okazale nie wystąpi, to tylko dla tego, że wystąpić nie jest w stanie. Otoż w okolicy Buska i Marzęcina i tego obchodu, tyle dla niego uroczystego obchodu pogrzebowego nędza mu odmawia. Widziałam na moje własne oczy, z powodu braku drzewa i nadzwyczajnej drożyzny budulec, ludzi wiejskich, chowanych bez trumny. Byli w tej liczbie i tacy, którzy mogli opłacić nabożeństwo w kościele; przynoszono ich na marach, czarnem suknem okrytych, stawiano w kościele w pośrodku sześciu, a czasami i więcej jarzących świec, i tam zostawiano przez ciąg wigilij i mszy żałobnej, po której zanoszono do grobu, obnażano z sukna i tak chowano. Nieraz zdarzyło mi się być na takiej mszy; dla miejscowych jest to widok bardzo pospolity.

Inną jeszcze pamiętną mi w Marzęcinie postać był dawny domowy doktor Zarczyński, stary kawaler, oczywiście dziwak i tetryk, ale rzadkiej prawości i poczciwości. Należał on do tej zaginionej już rasy lekarzy ziemian, co to wisząc na swym własnym zagonie o życiu i zdrowiu pacjentów stanowili, co więcej doświadczeniem niż nauką świecący, sercem, a nie chęcią z bogacenia się do ludzkości przywiązani byli. Gdy przyjechał do chorego, badał, słęczał przy nim, obecnych egzaminował o początku i okolicznościach poprzedzających chorobę, dopóki doskonale jęj nie odgadł. Jeżeli była do uleczenia, nie odstępował łoża pacjenta; dniem i nocą czuwał i własną ręką wszystkie podawał lekarstwa. Jeżeli nie widział środka ratunku, okropnie się skrzywił, tabaki

w tych pamiętnikach, jako o znakomitym uczonym i naturaliście. Sądownictwo było niepodległe, rządziło się jak za czasów Napoleona kodeksem francuzkim bez żadnych modyfikacyj. Konstytucya nowo utworzonej Rzeczypospolitej była nader liberalna; podatków prawie żadnych, wolność druku i osób zaręczona; milicya, utrzymywana do strzeżenia porządku publicznego, składała się z około trzechset ludzi, wyłącznie krajowców i wysłużonych za Księstwa Warszawskiego żołnierzy, umundurowanych częścią na sposób polski, a częścią francuzki: kolor sukna granatowy z niebieskimi wyłogami. Prości milicyanci nosili bermyce, albo też kaski czworograniaste; officerowie kapelusze stosowane i szlify na kształt francuzkich, to jest niższe stopnie na prawem ramieniu bez buillonów, żartobliwie nazywane kotlety, na lewem zaś z buillonami. Muzyka później już, bo koło roku 1822 utworzona, ubrana była na sposób austriacki, w mundurzy ponsowe. Moneta trzech opiekunich mocarstw krążyła bez trudności; w ostatnich czasach moneta zdawkowa z herbem miasta Krakowa (trzy baszty z orłem polskim u spodu), bita była w Wiedniu, gdyż kraj nie miał własnej mennicy. Dwory opiekunich utrzymywały przy rządzie wolnego miasta swoich rezydentów, którzy do roku 1836 mało bardzo mieszały się do wewnętrznych spraw kraju. W roku 1817 byli: ze strony Austrii hrabia Schwertz-Pork, od Pruss barona Rajbnitz, od Rossyi wojewoda Międzyński. Mieli oni jednocześnie charakter komissarzy do organizacji rządu wolnego miasta. Przysłani byli z Warszawy do Krakowa officerowie kwatremistrzowstwa, w których liczbie był znany pólkownik Bojanowicz; zajmowali się oni rozgraniczeniem obwodu krakowskiego od sąsiednich mu państw. Bojanowicz był miły i uprzejmy w towarzystwie, powierzchowność miał ujmującą, przytém waleczny żołnierz i doskonały officer w swojej broni. Mówiąc o nim, przypominam sobie następującą anegdotę.

Nie pamiętam już, jak się to zrobiło, że poszliśmy z moimi rodzicami oglądać menażeryę zwierząt przejeżdżną przez Kraków, więc on, i jeszcze inny pan, o którym niżej powiem, towarzyszyli nam. Przybyliśmy; sala była napelniona widzami, szczególnież też klatka lwicy z lwiatkami ogólną zwracała uwagę. Przyszła Bojanowiczowi psotna myśl sprzeciwiania się lwicy; najprzód laską wywijał przed kratą, następnie rzucił jej rękawiczkę, którą na najdrobniejsze cząstki pogryzła, a w gniewie swoim rzuciła się na kratę i tak nią mocno szarpnęła, że nie tylko klatka, ale cała sala jęknęła. Przestraszony właściciel przybiegł, prosząc tonem błagającym, aby tej gry zaprzestał, gdyż za skutki odpowiedzialnym być nie chce. Lwica, która jak zwykle upodobała ją sobie, powtórnie rzuciła się na kratę, ale umitygowana groźnem wejściem właściciela, położyła się jak długa na swoje posłanie. Publiczność, w pewności, że zwierz w tym drugim paroksyzmie gniewu kratę naprawdę przełamie i rzuci się na nią, poczęła zwracać się ku drzwiom. Popłoch był ogólny i tak szybki, że widzowie o mało nie podusili się przy drzwiach. Szczęściem nie było żadnego wypadku i skończyło się na poginionych w natłoku szalach, chustkach, rękawiczkach, zegarkach i łańcuszkach, które mimo wielu szukających na wszystkie strony, nigdy się nie wynalazły. Właściciel menażeryi, Francuz rodem i oczywiście bardzo wygadany, długą miał do półkownika mowę, której sens moralny był, aby mu zwrócił kosztą podróży do Krakowa i jeszcze wyliczył pewną summę tytułem wynagrodzenia za stracone korzyści, gdyż już pewno nikt w mieście jego menażeryi nie odwiedzi. Nie wiem, jak się ta sprawa skończyła i czy delikwent był zmuszony do zapłacenia; to pewna, że się nikt nie zraził tonem despotycznym i obraźliwością afrykańskiej potentatki, bo dni następnych sala menażeryi była napelniona. Drugi pan towarzyszący nam, o którym wspomniałam, był jedną z tych proble-

parę razy zażył, pochodził dużemi krokami po pokoju, poczem obróciwszy się do najwięcej interesującej się chorym osoby, dajmy na to żony, matki, siostry: „Poszlęj pani po księdza, to lepszy doktor niż ja, rzece, a mnie każ zaprzęgać, bo nie mam czasu tu siedzieć; ot chmur-no na niebie, a jam jeszcze nie zasiał.” I ten człowiek, który miesiąc cały gotów był się poświęcić choremu, mogącemu być uratowanym, wyjeżdżał bez litości wśród prośb, błagań, łez i rozpacz, które nieubłaganym wzrokiem wywołał. Był to rzeczywiście wyrok, bo nie było wypadku, aby się kiedykolwiek omylił. Mimo tego daru przenikliwości, Żarczyński nie był wcale zarozumiały, nie gniewał się, gdy w razie uporeczywój choroby zażądano konsylium i posyłano do sąsiedniego Staszowa, po mającego wówczas wielką wziętość doktora Wocylkę. Kiedy mówię sąsiedniego, to się myślę, albowiem Staszów był od Marzęcina o mil 4 odległy, ale przed laty trzydziestu doktorowie po wsiach byli prawie rzadkością, i niezaz objechało się mil kilkanaście, nie znalazłszy żadnego w okolicy. Przecież ludzie nie więcej, a może nawet nie tyle chorowali. Tyfusy, skrofuly, gryppy, cały ten zastęp tak zabójczych dziś chorób nie był z nazwiska nawet znany; sama choroba, więcej naturze powierzona, nie tyle morderczą była dla życia, a nawet dla kieszeni. Pocziwy Żarczyński robił trzy i cztery mile za 20 złotych honorarium; Wocylko, słynny na okolicę, pojechał za złotych 100 o mil 6. Wprawdzie trzeba mu było poprzednio kłaść pieniądze na stół, bez tego ani się ruszał, i choćby w najnagłym razie wszystkie czynione sobie propozycje stanowczo odrzucał.

Po ogłoszeniu wcielenia tej części kraju naszego, którą nazywano Galicyą Zachodnią, z miastem Krakowem do Księstwa Warszawskiego, zaczęto zajmować się organizacją sądowo-administracyjną tej prowincyi. Mój ojciec czuł, że nie powinien zostawać w bezczynności, gdy się pole otwiera służenia użytecznie krajowi.

Przyjął ofiarowany sobie przez króla urząd sędziego, a następnie prezesa trybunału departamentu Krakowskiego, który później zmienił swą francuską nazwę na szczeropolski tytuł województwo. Okres ten Księztwa Warszawskiego wyżej opisaliśmy. Bitwa pod Waterloo położyła ostateczny kres panowaniu Napoleona nie tylko w tej części Polski, ale i w Europie. Kraków odłączony został od byłego Księztwa Warszawskiego razem z ówczesnym departamentem Poznańskim i częścią Bydgoskiego, które to prowincje, jak wiadomo, Prusom powtórnie odstąpione były, stara zaś Jagiellów stolica, jako wolne miasto z kilkumilowym okręgiem, otrzymała samoistną egzystencją, z oddzielną konstytucją, rządem, pod wpływem i protektoratem trzech dworów. Najpierwszy cesarz Aleksander przywrócił Księztwu Warszawskiemu właściwą mu nazwę, mianując je Królestwem Polskiem, czego wszakże nie zrobił samolubny i pełny dumy cesarz Francuzów, dla którego bezpotrzebnie się tyle polskiej krwi przelało. Niebawem stanął nowo uorganizowany rząd wolnego miasta Krakowa i jego okręgu. Składał się on z władzy prawodawczej, reprezentowanej przez sejm z wolnego wyboru deputowanych przez obywateli złożony, i z władzy wykonawczej, którą stanowił senat. Sejm zbierał się co rok w miesiącu Grudniu, co lat trzy obierał prezesa z prawem potwierdzenia go na następne lata i pewną liczbę senatorów, których dwie trzecie części obieranych było przez Akademię i duchowieństwo; on stanowił o podatkach, zmianach praw, modyfikacjach w systemacie rządowym i t. p. Senat rządzący dzielił się na kilka wydziałów: sprawiedliwości, policyi, skarbu, spraw wewnętrznych, oświecenia, każdy pod prezydencją jednego z senatorów. Jego prezesem był od początku istnienia małej Rzeczypospolitej co trzy lata do roku 1830 potwierdzany pan Stanisław Wodzicki, były prefekt departamentu Krakowskiego, o którym już mówiłam

dzierały, różne mu wiersze i madrygały na cześć swoją improwizować kazały; a biedak kręcił się, robił co mu kazano, i smutnym okiem patrzył, jak służący w miarę nowo przynoszonych potraw, nielitościwie napełnione talerze z przed niego sprząтали. Biedny pan M. bladnął, czerwienił się, ale *il fallait prendre son parti*, nie było na to lekarstwa. W końcu wieczery rozbrojone, a może więcej zmęczone trudną rolą nasze figlarne panie, dopuściły przecież biedaka do pieczystego. Tu znów nowa otwierała się scena. Jak się można domyśleć, obżalowany, gdy się tej ostatniej potrawy dorwał, jadł za dwudziestu. Gospodyni, spostrzegłszy jego wilczy apetyt, kazała półmisek przed nim postawić, który bez ceremonii, a nie bez tysiącznych ukłonów i grzecznych uśmiechów na prawo i na lewo, w zupełności wymiół, zostawiwszy, jako pamiątkę, kilka kości kapłona. Mówiono mi, że na jednej słynnej pensyi panien, gdzie pan M. dawał lekcye, zdarzało mu się nie raz dla uciechy swoich uczennic zostać na kollacyi. Przy stole zjadłszy swoją porcyę, zjadał kolejno podawane sobie porcyę panien, które tłumnie, hałaśliwie i z niewypowiedzianym rumotem stołków znosiły mu resztki potraw, a pan M. cynicznie je połykał. Któżby powiedział, że ten człowiek śmieszny, obrzydliwy łakomstwem nie był rzeczywście bez zasługi i miał chwile wielkości i szczytności. Tak to biedna nasza natura nigdy nie jest bliższą upadku, niż kiedy się wysoko wznosi. Widziałam w roku 1825 album pani *; na jednej jego kartce pan M., proszony o wpisanie się w poczet licznych jej przyjaciół, te słowa nakreślił: *Dieu et l'honneur*. Czyż można więcej wypowiedzieć, napisać, życzyć przyjacielowi, i treściwiej wyrazić się w dwóch słowach?...

W owym czasie napływu cudzoziemców do Krakowa, bywał jako codzienny gość w naszych rodzinnych domach Włoch malarz, kawaler Lampi. Nigdy się dowiedzieć nie mogłam, czy to ten sam, który później osiadł

w Warszawie, i kilka lat temu umarł w tém mieście. W owym czasie kawaler Lampi mógł mieć lat 30, był chudy, średniego wzrostu, ubierał się zwykle czarno i jak na Włocha nieźle mówił po francuzku, choć w jego mowie włoskie *ou* jeszcze gdzieś tam niemiło dla ucha czuć się dawało. Jako malarz był bardzo w modzie: nie było prawie domu, chcącego lub mającego prawo do elegancyi i komfortu, gdzieby nie zostawił kilku lub przynajmniej jednego portretu. Niewiele się mogłam jeszcze znać na sztuce, nie mogłam więc dostatecznie ocenić prac Lampiego; ale słyszałam znawców, którzy bynajmniej w nich nie smakowali. Znajdowali styl jego manierowany i zbyt zakrawający, i to z przesadą, na modną wówczas, jaskrawą szkołę David'a. To pewna, że kawaler Lampi nie chwycił podobieństwa, co jest przecież jednym z pierwszych w portretach warunków, i ci, którzy woleli mieć portrety podobne, używali mniej modnego i wziętego Peszkego, mającego dar, obok niekoniecznie starannego wykończenia części artystycznej swoich prac, robienia bardzo podobnych portretów. Portrety Lampiego były prawdziwie hieroglify, których trzeba było odgadywać znaczenie. Jedną okoliczność bardzo mi Lampiego pamiętym czyniła. Jak każdy Włoch był zabobonny, wierzył w przepowiednie, przecucia, sny i kabały; może ta okoliczność więcej niż jego pędzel zyskiwała mu w gronie pań naszych wziętość i dobre przyjęcie. Otoż gdy wykończone jego roboty *tableau* rodzinne mojej ciotki przyniesione było z pracowni malarza dla zawieszenia na głównej ścianie salonu karmazynowego jej domu na Floryańskiej ulicy, jeden z ludzi, którym ta czynność powierzona była, potknął się na głównych schodach, upadł, obraz zaczął o duży gwoździć, będący gdzieś na hoku i przebił twarz jednej z figur głównych obrazu, przedstawiającą moją babkę. Proszę sobie wystawić rozpacz mojej ciotki, dla której obraz ten miał być najdroższą pamiątką.

matycznych postaci, o których opiniach, pochodzeniu, życiu i postępach nikt dokładnej nie miał wiadomości. Oczywiście Francuz, bo takie figury najobficiej się nad brzegami Sekwany i Garonny rodzą, nazywał się hrabia de Lagarde, mieszanec sztuki, poeta, artysta, liryk, zrujnowany pan, niby legitymista, ale obok wierności niezłamaną dawnym swoim książętom, entuzjasta i piewca sławy francuzkiej i polskiego oręża. Nosił pełną kieszeń wierszy na cześć księcia Józefa Ponia-towskiego, ułożył album muzyczne, pamięci wodza naszego i wielu innych francuzkich generałów i marszałków poświęcone, ułożone na śpiew przez najcelniejszych ówczesnych mistrzów jak Boëldi'ego, Laffon'a i innych, które to album, jak się każdy dorozumie, sowiec trzeba było opłacać. Były to kompilacye poetyczne dawnych francuzkich romansów, mimo mierności swojej ochoczo u nas witane, gdyż bardzo naszą miłość własną narodową łechtały,—do czego nas zwykle Francuzi nie przyzwyczajali, mając w zwyczaju wszystko nasze ganić. Jego urzędowym tytułem i towarzyskiem stanowiskiem był jakiś stopień w służbie szwedzkiej i order miecza, który nosił w całej swojej okazałości wiszący na drobnym, misternym roboty weneckim łańcuszku, u dwóch dziurek u guzika wiszącym. Nosił zwykle frak czarny, na wierzchu ogromny surdut, którego prawie nigdy nie zdejmował; twarz niewielka i pospolita, opatrzona dużymi wąsami i faworytami, ledwie się wysuwała z za ogromnego białego halsztuka, w którym tak wyglądała, jak statuetki mandarynów arabskich, w których głowa gdzieś niknie wśród wielości draperyj i ozdób. Prowadził on za sobą jakiegoś pana M., pół Francuza, pół Włocha, pół Niemca i czegoś tam jeszcze, którego narodowości żadnym sposobem niemożna było odgadnąć, gdyż wszystkie mowy nielitościwie kaleczył. Mówili niektórzy, że uczone; w samej rzeczy dawał on lekcye literatury, nie wiem już jakiego języka, i być może, że

się nieźle z podjętego obowiązku wywiązywał. Tymczasem miał powierzchowność tak pocieszającą, że niepodobniestwem było patrzeć na niego, żeby nie parsknąć serdecznym śmiechem. Dla czego? — niepodobna powiedzieć; bo pan M. był jak wszyscy, niezbyt szczupły, ani otyły, więcéj mały niż wysoki, mocny brunet, ale cała fizyognomia była tego rodzaju, który Francuzi doskonale charakteryzują nazwą *plaisant*. Obok tego miał wadę, czy zaletę nadzwyczajnej galanterii dla płci pięknej, i nałóg niepowściągniętego obżarstwa, rzadko obok tamtej istniejący. Od uwielbianej piękności (a nie był bardzo w wyborze przedmiotu wybredny) szedł do talerza, któremu się nie przeniewierzał, dopóki ostatniej z niego nie wyskrobał okruszynki. Z początku przyjmowano pana M. przez wzgląd na jego przyjaciela pana de Lagarde, potem dla tego, że cudzoziemiec, następnie dla jego śmieszności, naostatek dla jego obżarstwa i galanterii, z których sobie niewyczerpany zapas wesołości robiono. Nie obeszło się żadnego wieczoru, kollacyi bez pana M. Miano w tém pewne wyrachowanie. U stołu sadzano go obok wybranej przez niego tego dnia piękności, bo pan M. był motylkiem i łatwo było miłość w niego wmówić. Sadzano go zatém obok téj, która rolę wybranej piękności przyjąć na siebie raczyła. Wieczera dajmy na to była doskonała: kremy, blamanże, bażanty (a pan M. uwielbiał bażanty) uwijały się przed nim, a co większa, zalegały jego talerz; ale niestety! nie było mu dane szczęście pożywania tego, co już okiem pożerał. Jak powiedziałam, galanteria była jedną ze słabości pana M.; nielitościwa piękność, naładowawszy poprzednio jego talerz, nie dała mu chwili czasu do napawania się temi skarbami podniebienia. Często zdarzało się, że sobie przybierała w pomoc inną piękność, a tak brały nieszczęśliwego obżałowanego we dwa ognie, robiły jak to mówią *assaut d'esprit*, tysiączne mu gadały grzeczności, czułe oświadczenia, wzajem go sobie wy-

Posłano po Włocha; wszedł artysta do pokoju, spojrzął i zbłądł... „Co to znaczy,” pyta przestraszona właścicielka obrazu. „Nic pani, rzecze Włoch, będzie to praca kilku dni i na tém się skończy.” Pani wojewodzina Badeniowa, obecna téj scenie, zapytała go po włosku, dla czego przedziurawienie obrazu tak przykre na nim zrobiło wrażenie. „Dla czego, odrzeczé, rzecz bardzo prosta, bo osoba, którą reprezentuje figura uszkodzona, umrze za trzy tygodnie.” „Kto panu powiedział?” „Doświadczenie, nader smutne doświadczenie: przedziurawienie twarzy jest niezawodną przepowiednią śmierci.” Tu Włoch zadzwonił: wszedł lokaj, któremu kazał podać sobie karty; kładł je, na wszystkie strony wykrecał, tu same króle, tam damy i walety, tu znów mieszane kolory. „Patrz pani, rzecze Włoch do pani wojewodziny, która się z niego śmiała, widzi pani tę dziewiątkę winną? Ona znaczy księdza zakonnika, który przyjdzie panią starośćiną na śmierć dysponować; ta dziewiątka czerwienna znaczy paciorki; tuz winny to kaptur; a te drobne winne kolory znaczą orszak pogrzebowy...” „Skończ na Boga kawalerze, rzekła wojewodzina, widzę, że ci dziś zupełnie w głowie przewróciło.” Cały ten dyalog toczył się w czasie, kiedy moja ciotka w innym pokoju jakieś dyspozycje ludziom wydawała; moja babka, po włosku nie rozumiejąca i zajęta rozmową z kim innym, słyszeć go nie mogła. We trzy tygodnie po téj scenie, Prosper Burzyński, przyjaciel namiestnika Żajączka z kampanii egipckiej i biskup sandomierski, a wówczas jeszcze ubogi Reformator i spowiednik starościny, wezwany do niej w nagłej i niebezpiecznej słabości, ostatnie jéj udzielał sakramenta!... Zwracam tu uwagę, że opowiadam prosty fakt bez żadnych komentarzy i bez przywiązywania wiary do tego, co jest tylko dziełem trafu. Łatwo jest bardzo przewidzieć prędki koniec osoby 74-letniej i słabowitej.

Rok 1814 był czasem nowych dla Polaków nadziei. Jeszcze po bitwie pod Lipskiem, która położyła koniec panowaniu Napoleona w Germanii, cesarz Aleksander, świadek czynów waleczności i wierności dla Napoleona Polaków, pragnął ich do siebie przywiązać. W tym celu kazał sobie przedstawić polskich generałów, a zapewniwszy im swoją opiekę, polecił im zebrać niedobitki swoich żołnierzy i wracać z nimi do ojczyzny. Podobnie uczynił z ziomkami naszymi, których po abdykacyi Napoleona z Fontainebleau we Francyi w liczbie 5,000 znalazł, jak również i z wziętymi do niewoli, a w głębi Rosyi znajdującymi się. Witął naród z uniesieniem te drogie szczątki walecznych, którzy jeszcze w legionach włoskich, w bitwie pod Somossierą, w szturmie Smoleńska, w nieszczęśliwym odwrocie Berezyny, wreszcie na obu półkulach, potokami krwi honor swojego narodu utrzymali, i powszechny mu wyjednali szacunek. Wrócił także z niewoli rossyjskiej generał Zajączek, którego jako najstarszego z generałów witali w Warszawie wszyscy polscy officerowie, a którego w rok później cesarz Aleksander na wysokie stanowisko w kraju przeznaczył.

W owym czasie ważyły się w Wiedniu losy wszystkich ludów, bądź wprost, bądź pośrednio władzy Napoleona podległych. Jaki miał być los Księstwa Warszawskiego i króla, który nad niem panował, było zupełną zagadką. Rząd tymczasowy Księstwa, rządzący krajem, 5 Kwietnia 1813 roku pod sterem senatora rossyjskiego Łąnskoja, dozwolił radom obywatelskim podać adres do cesarza Aleksandra z prośbą, aby przywrócił królestwo i koronę polską na swoją włożył głowę. Cesarz nie odpowiedział stanowczo na ten adres, ale listem własnoręcznym do generała Tadeusza Kościuszki dał do zrozumienia, ile pragnie bytu i szczęścia narodu, który kochał i wysoko dla jego cnot i niesz-

część szacował; w końcu wzywał generała do powrotu do kraju. Kościuszko w pełnej uszanowania odpowiedzi oświadczył monarsze swą wdzięczność, nadzieję powrotu do kraju i bytu jego, i stałe postanowienie niewracania, dopóki kongres wiedeński ostatecznego wyroku w kwestyi polskiej nie wyda. W czasie bytności cesarza w Paryżu, znajdujący się tam generał Wielhorski, minister wojny Księstwa Warszawskiego, zebrawszy swoich kolegów, przedstawił im potrzebę wyjednania audyencyi u cesarza Aleksandra; jakoż zyskawszy ją, błagał o nadanie bytu i imienia Polsce. Cesarz, przenikniony do żywego ich położeniem, powtórzył w obec nich zapewnienie, jakie dał Kościuszce, i nie przestawał okazywać im, równie jak wszystkim w Paryżu będącym Polakom, dowodów współczucia. Monarchowie sprzymierzeni, rozjeżdżając się z Paryża, umówili się zjechać na kongres do Wiednia na dzień 1 Października 1814 roku. Stosownie do tego układu, cesarz Aleksander, jadąc z Petersburga, w Białej, mieście pogranicznem Księstwa Warszawskiego, witany był w dniu 19 Września przez deputację od senatu polskiego, duchowieństwa i obywateli wysłaną, na której czele wojewoda Kicki, składając mu dzięki za opiekę i dobrodziejstwa, które Polakom wyświadczył w tych ostatnich czasach, powtórzył prośbę przez generała Kościuszkę i ministrów w Paryżu zanesioną a później powtórzyła ją w Puławach deputacja od miasta Warszawy przysłana. Cesarz każdej z tych deputacyj odpowiedział w słowach pełnych nadziei i uprzejmości, a do generała Wincentego Krasieńskiego, witającego go w imieniu wojska, wyrzekł te pamiętne słowa: „*Wdzięczny jestem wojsku polskiemu, iż swoje meztwo uwieńczyło dobrem w pokoju postępowaniem. Wszystkie kraje, przez które to wojsko przechodziło, tę zaletę mu oddają. Szczęję się tem wojskiem, chcę go mieć mocnym i wielkim, tak, jak Polskę szczęśliwą.*” W Krakowskiem, jak wszędzie, cesarz przyjmowany

był z zapalem trudnym do opisania. Obywatele bez żadnych poprzednich namów, z własnego serca popędu, porobili na wszystkich stacyach pocztowych przygotowania na jego przyjęcie. W wielu miejscach monarcha zatrzymywał się, przyjmował herbatę, śniadanie lub obiad. Bawił godzin kilka w miasteczku Pacanowie u mojej ciotki Parysowej, gdzie przy śniadaniu bardzo uprzejmie z zaproszonymi z sąsiedztwa paniami rozmawiał, i wszystkie zostawił oczarowane swą wytworną grzecznością i dobrocią. Mówił z prostotą, bez przesady i tryumfu, nawet z pewnym współczuciem o upadku Napoleona, o przywiązaniu Polaków do tego wielkiego człowieka, o przyszłych krajach losach, które świetne być obiecywał. „*Ani myślicie panie, mówił, co ja dla ojczyzny waszej zrobić chcę i mogę. Jadę do Wiednia, aby stanąć w obronie tego ucieszonego narodu, który wysoko cenię i kocham.*”

Łatwo sobie wystawić wrażenie, jakie te słowa, nadzieja i przyszłość tchnące, wyrzeczone przez monarchę odziedziczającego po Napoleonie tron świata, uczynił na obecnych. Aleksander, cesarz Rosyi, wnuk Katarzyny, pierwszy wymówił już pograżone w otchłani słowo „Polska;” pierwszy zdawał się chcieć tchnąć życie w bezwładne ciało wielkiego narodu!... Nie dziw przeto, że we wszystkich zakątkach kraju naszego, przez które przejeżdżał, z zapalem był przyjmowany. Wszystkie panie obecne w czasie owego przejazdu u ciotki mojej, dały sobie wzajem słowo zajechania cesarzowi drogi w Wielicze; jakoż w przepysznych tualetach przyjęły go w salinach, gdzie przy oświeceniu pieczar *al giorno* dano reprezentację wesela krakowskiego. Monarcha z zajęciem przypatrywał się rzeźkiemu tańcowi i malowniczym kostiumom kilkunastu par Krakowiaków, uwielbiał zwinność, świeżość i wzięk dziewczę, żywość, urodziwość i pełne energii ruchy Krakowiaków. Tęże samęj nocy, pożegnawszy

arcyksięcia Ferdynanda, wysłanego ze Lwowa na jego powitanie, i całe towarzystwo oczarowane jego dobrocią i uprzejmością, cesarz puścił się w dalszą do Wiednia podróż.

Cesarz Aleksander zjechał się w dniu 28 Września 1814 r. z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III pod Wiedniem, a następnie obaj monarchowie uroczysty wjazd do stolicy Państwa Austriackiego odprawili. Cesarz Franciszek wspaniale przyjął swoich sprzymierzonych, cały prawie miesiąc Październik zszedł na paradach wojskowych, balach, karuzelach i t. p. uroczystościach. Ta pochopność do zabaw w chwili tak stanowczej i w obec tak ważnych wypadków i sprzecznych interesów, dała powód słynnemu z dowcipu księciu de Ligne do owego znanego orzeczenia: *Le congrès danse, mais il ne marche pas.* Jakoż wesół dygnitarz, nie mogąc doczekać się końca kongresu, przeniósł się do lepszego świata, powiedziawszy do otaczających go przyjaciół na godzin kilka przed śmiercią: *Mieliście różne parady cywilne i wojskowe, jednej wam tylko nie stało, to jest feldmarszałkowskiego pogrzebu, ale i ten mieć będziecie.* I tak się stało: monarchowie, ich dwory, wszystkie znakomitości wojskowe, cywilne, dyplomatyczne i duchowne zbiegły się, aby czią i pamięcią otoczyć trumnę człowieka, który potrafił urodzić się, żyć i umierać na wyższych szczeblach towarzystwa, błyszczeć blaskiem wojskowej i naukowej sławy, często pochlebiać, a śmiać się ze wszystkich, nie zostawiając po sobie ani zawistnych, ani niechętnych wspomnień.

Ale wróćmy do bieżących politycznych wypadków, będących treścią niniejszego rozdziału. Trzeciego Listopada zaczęto dopiero sprawdzać plenipotencye książąt, na kongresie nieobecnych, od których różne wnoszone żądania. Stary król Sycylii żądał zwrotu Neapolu, co było dla kongresu przedmiotem niemałych trudności, gdyż miano powody względności dla Murat'a,

który odstąpił szwagra swego Napoleona, i wojska swe oddał pod rozporządzenie sprzymierzonych. Niemądość także nałamała głowy nad organizacją Niemiec, lecz los Polski i Saksonii największemu kongresowi groził zawikłaniem. Król pruski domagał się Saksonii, jakoż w skutek woli cesarza Aleksandra, zarząd tego kraju, przez księcia Repnina dotąd sprawowany, oddany mu został. Król saski, ta szczytna i jedyna może w dziejach ofiara wierności, przyjaźni i przymierza, jako jeniec wojenny trzymany w Berlinie pod strażą, prosił kongresu o przewiezienie go ztamtąd do Petersburga, czemu zadosyć uczyniono. Kiedy tak w Wiedniu monarchowie wyrokują o losach różnych krajów Europy, Napoleon po podpisanej w Fontainebleau abdykacji wywieziony na wyspę Elbę, zachował w tém ustroniu tę samą prawie etykietę i zwyczaje, co w Tuileries. Z rana były tak zwane *grands et petit levers*, następnie dawał audyencye cudzoziemcom pragnącym mu się przedstawić, ku południowi musztrował swych wiernych czterystu gwardzistów lub zwiędzał na brzegach stojące angielskie okręty. Wieczorami dawał bale, tygodniowe przyjęcia, widywał pania **, która na to wygnanie za nim pośpieszyła. Z barbarzyjskimi i afrykańskimi korsarzami, którzy tak długo niepokoiili brzegi Środkowego morza, zawarł umowę, w skutek której flaga jego była szanowana. Wśród tego pozorowego zajęcia żywił w piersi swojej nadzieję nieharmonizującą wcale z ówczesowym stanem rzeczy; miał też do tego słuszne lub mniej słuszne powody. Pisał do Wiednia, aby mu wolno było widzieć żonę i wpływać na wychowanie syna, na co żadnej nie dano mu odpowiedzi. We Francji Ludwik XVIII mimo owego pięknego frazesu brata swego hrabiego d'Artois: *Messieurs, rien n'est changé et il n'y a qu'un Français de plus*, — dodzień się więcej przekonywał, że nieprzyjazny mu duch narodu jak najmocniej zmiany pragnął. W wojsku a mia-

nowicie w owęj wiernęj i ukochanej dawnego wodza staręj gwardyi, niechęć ku Bourbon'om codzienniej występowała. Officerowie i urzędnicy którzy za czasów cesarstwa mieli byt jakikolwiek, sławę, buławę a może i berło w nadziei, staręj dynastyi sprzyjać nie mogli. Do tych licznych żywiołów anarchii i nieukontentowania przyłączyły się wymagania emigracyi, której dobra za dawnęj rewolucyi skonfiskowano, obawa tychże dóbr nabywców, wreszcie pamięć wielkości i potęgi Francyi za czasów cesarstwa, o której Francuzom, zawsze próżnym i sławy narodowej zazdrosnym, trudno było zapomnieć. Lud, żywiący ku Bourbon'om zastarzałą ojców swych niechęć, wymyślał różne powody nienawiści. Szukał ich nie tylko w publicznych sprawach, ale w życiu prywatnem, w ubiorze, a nawet w olbrzymim członków tej rodziny apetycie. Wyśmiewano chorobliwą i niezwykłą tuszę Ludwika XVIII, jego ubranie w czasie uroczystego wjazdu do Paryża, niby mundur gwardyi narodowej, zakrawający na jakąś tunikę, co temu monarsze zyskało przydomek *le roi jaquette*; przekręcano i nicowano etykietę i przestarzałe zwyczaje tego dworu, wygrzebującego z popiołów staręj monarchii nowe dla siebie zwyczaje i formy. Owi bohaterowie z pod Jemappes w perukach, z pudrem i harcapami, owi markizowie i wikontowie nie mający nic za sobą oprócz kilkudziesięciu pokoleń szlachectwa, dziwnie się wydali nienawykłój do nich generacyi. Jakaś złowieszczka mania odtwarzania zaginionych i umarłych zwyczajów zawładnęła stronnikami staręj dynastyi, a tej manii zgubnej w swoich następstwach, doświadczony i wytrawiony w nieszczęściach rozum brata Ludwika XVI zapobiedz nie był w stanie. Dla tego to tyle zabójcza we Francyi broń śmieszności więcej jeszcze wpłynęła na gotującą się bonapartystowską reakcyę, niż wszystkie jej stronników starania.

Kiedy się tak we Francyi umysły gotowały do przyjęcia Napoleona i okrzyknienia go powtórnie cesarzem, w Hiszpanii, powołany na tron Ferdynand VII, z charakteru mściwy, podejrzliwy i srogi, prześladował i więził kortezów, którzy za niepodległość narodu i przywrócenie mu korony przodków, potoki krwi swęj przelewali. Przywrócona przez niego inkwizycja więziła i śmiercią karała najszlachetniejszy wybór narodu. Król neapolitański Murat, pozornie tylko pozostawiony na tronie, niepokojony ze strony Papieża, żądającego zwrotu zabranych mu poprzednio prowincyj, i od króla Sycylii, kuszącego się o panowanie w Neapolu, szarpany również od Austrii, która pod pozorem szukania dezertorów, z jej armii do jego kraju zbiegłych, zbrojną granicę przechodziła,—podniósł armię swoją do 80,000 wojska z niemalém poddanych swych uciegnięciem. Austria biorąc tę groźną postawę za wypowiedzenie wojny, jeszcze w czasie wiedeńskich układów rozpoczęła kroki zaczepne, a mając we Włoszech 50,000 wojska, wstępnym bojem Królestwo Neapolitańskie opanowała. Murat, widząc, że jego armia, kilkuletnią walką znużona, bić się nie chce, dnia 20 Maja 1814 r., wsiadł na okręt i popłynął do Cannes, a jednocześnie stary król sycylijski, teść cesarza austriackiego, do opuszczonej korony przez Murat'a, oraz dawniej swojej stolicy powrócił. Otoż jeszcze jedna zdrada nic innego opócz hańby i udręczeń sumienia niewdzięcznikowi nie przyniosła. Poznał, ale po niewczasie błąd swój Murat; uczuł, że jego stanowisko i bezpieczeństwo jego korony jedynie obok Napoleona istnieć mogło. Chciał się znów do b. cesarza przyłączyć, ale tę spóźnioną wierność starym orłom, pod których skrzydłami wzrósł, jak wiadomo, życiem przypłacił.

Napoleon, od roku blisko zamieszkujący wyspę Elbę, ostrzeżony od licznych swoich we Francyi a nawet w samym Wiedniu stronników, z którymi tajemną

prowadził korespondencję, że kongres układa plan wydalenia go z Europy i osadzenia na jednej z wysp zwrotnikowego archipelagu, powziął myśl ucieczki i powrotu do Francyi. W tym celu złożywszy radę z wiernymi sobie officerami, i ułożywszy zręcznie i głęboko plan ucieczki, opuścił nagle miejsce swego wygnania, i przepłynąwszy cudem prawie wśród strzegących brzegów okrętów angielskich, razem z garstką wiernych sobie grenadyerów stariej gwardyi wylądował szczęśliwie w dniu 1 Marca w Cannes, gdzie przez nadbrzeżną ludność z zapalem przyjęty został. Rząd Ludwika XVIII, telegrafem o tém wypadku uwiadomiony, wydał odezwę wzywającą Francuzów do wierności dla dawcy swobod i karty konstytucyjnej, poczem wysłał wojsko na pokonanie Napoleona, którego dowództwo powierzył głównie marszałkowi Ney'owi. Wybór ten dziwnymby się zdawał mniéj świadomemu ducha i usposobień głównych stronników stariej dynastyi. Tak pośród książąt krwi, jak w gronie ludzi, którzy rok przedtem porwali się z taką junakeryą na bronzową i niemą statwę cesarza, nie znalazł się ani jeden, któryby śmiało czoło stawić bohaterowi wieku. W przykrém swém położeniu, zagrożony powtórnią utratą korony, stary król musiał się uciec do jednego z dawnych uczniów i żołnierzy cesarza. Ney podjął się misyi walczenia przeciw swojemu mistrzowi w sztuce władania bronią. Powołany do Tuilleries, ponowił królowi najenergiczniejsze zapewnienia wierności w tym samym gabinecie, gdzie na kilkanaście miesięcy wprzódki hołdował żelaznej woli ówczasowego Europy i Francyi władcy. Jeżeli mamy wierzyć kronice, wyrzekł te słowa, niesłychane w dziejach niewdzięczności ludzkiej: *Je vous l'ammènerai dans une cage de fer.* Kiedy się to działo w Paryżu, Napoleon spokojnie postępował ku Grenobli wśród tłumu wieśniaków, którzy zewsząd gromadzili się na jego spotkanie. Podeszedłszy pod miasto, bramę miejską

zastał z rozkazu prefekta zamkniętą; mieszkańcy, dowiedziawszy się o jego przybyciu, bramę odbili i na barkach ją cesarzowi przynieśli. Garnizon połączył się z wiernym batalionem, który towarzyszył swojemu wodzowi na wyspę Elbę i z nim wracał. Dalszy pochód Napoleona po ziemi francuskiej był raczej tryumfalnym marszem niż wojennym pochodem. Tymczasem korpus wysłany przeciw niemu szedł przyspieszonym krokiem; na drodze między Grenobłą i Lionem spotkały się oba wojska. Napoleon zakazał swoim przelewać krew francuską, a wystąpiwszy przed front i rozpiawszy surdut, pod którym ukazała się pierś jego: *Jeżeli, rzecze, znajdzie się żołnierz, chcący zamordować swojego cesarza, niechaj się zbliży: ma mnie bezbronnego*. Na słowa, jednogodny okrzyk: *Niech żyje cesarz!* rozległ się w powietrzu: żołnierze ze łzami witali swojego wodza i u nóg jego broń składali. Officerowie, dowódcy nawet, nie śmieli się oprzeć tyłu połączonym głosom, i bądź że widzieli niepodobieństwo wstrzymania żołnierzy, bądź że ulegli wpływowi osobistych wrażeń, poddali się bez namysłu. Napoleon, niesiony prawie na rękę ludu wiejskiego i żołnierzy, szybkim ku stolicy zbliżył się krokiem. Ludwik XVIII d. 19 Marca pożegnałszy gwardyę narodową i poleciwszy jej porządek, wespół z rodziną puścił się drogą do Belgii. Popłoch między rojalistami, a szczególnież tymi, którzy się przyczynili w senacie do ogłoszenia Bonaparte'go jako odpadłego od tronu, był niesłychany. Każdy jak mógł krył się, uciekał, lub osobą swoją na emigracyę do Gand zmierzał. W czasie niespełna 38 godzin przedzielających ucieczkę Bourbonów i powrot Bonaparte'go, było prawdziwe bezkrólewie; dowcip francuski nie zaniedbał i téj okoliczności dla rozśmieszenia tych, co się ze wszystkiego radzi śmieją. Poprzyklepiano różne wiersze, karykatury, paszkwile mniej lub więcej dowcipne po rogach ulic, gmachach publicznych, a nawet kościołach, a wszystkie na nieko-

rzyść Bourbonów. Jedna z nich wyobrażała Ludwika XVIII uciekającego do Gandu; w pośpiechu ucieczki spada mu korona, której niefortunny monarcha nie ma czasu podnieść. Przypatrujący się ucieczce król rzymski podjął ją z ziemi, mówiąc: *Tiens, il enlevait la couronne à mon papa*. Obok tych żywych płodów francuskiej wesołości, wytryskującej nawet w chwilach najbardziej uroczystych i stanowczych, widziano przejeżdżających się po mieście w fiakrach ludzi w fantastycznych ubiorach, reprezentujących niby orła cesarskiego i lilie burbońską, siedzących razem w powozie i wołających z całego gardła, wychylając głowę oknem karety: *Vive le roi, vive l'empereur!* chcąc wyobrazić przez to niepewność położenia, chwiejącego się między dawną dynastyą a cesarstwem. Napoleon przybył wieczorem 20 Marca do Paryża; wysiadając z pojazdu przed pałacem Tuilleries, znalazł u wschodów królową Hortensyę na czele wszystkich malkontentów, to jest dawnych wysłużonych dymissyowanych żołnierzy, którzy go na rękach na górę zanieśli.

Cesarz, nie tracąc chwili czasu, natychmiast uorganizował rząd swój, otoczył się ludźmi posiadającymi zaufanie narodu: Carnot'a zrobił ministrem spraw wewnętrznych, Fouché'go ministrem policyi. Téj nocy jeszcze polecił wydrukować w *Monitore* kilka popularnych dekretów, które w drodze przygotować kazał, jak n. p.: dekret zwołujący obie izby w *champ de Mai* i nadający narodowi swobody. Kiedy się to dzieje, i Napoleon znów przybiera ton i mowę panującego, wiadomość o jego powrocie do Francyi lotem błyskawicy przybiegła do Wiednia. Przerażeni tym niespodziewanym wypadkiem monarchowie, zapomnieli o swych wzajemnych niesnaskach, i już o niczem inném nie myśleli, tylko o wspólnej obronie i grożącym im niebezpieczeństwie; jeden tylko z pomiędzy nich cesarz Aleksander pokazywał się jak zwykle z wypogodzoném czołem. Monar-

ehowie i ich ministrowie bez żadnych już oporów podpisali w dniu 21 Kwietnia traktat stanowiący o podziale Księstwa Warszawskiego, którego najgłośniejsza część Rosyi w posiadanie oddaną została. Odpadłe zaś departamenta: Poznański, Bydgoski i część Kaliskiego 1,100,000 głów ludności liczące, z tytułem Księstwa Poznańskiego do Pruss wcielono. Austria odebrała dawniej drugą połowę Wieliczki, oraz okrag Podgórski; Kraków zaś z przestrzenią czterdziestu mil kwadratowych wynoszącą, wolnym miastem ogłoszony został. W jednym z artykułów traktatu włożono na trzy rządy uczestniczące w podziale, obowiązek zaprowadzenia w częściach Księstwa przez siebie posiadanych, odrębnej administracyi i reprezentacyi narodowej; nadto cesarz Aleksander zastrzegł sobie wolność nadania nowo wskrzeszonemu Królestwu wewnętrznych urzędzeń, jakie za potrzebne uzna. Monarcha ten, listem z Wiednia do prezesa senatu polskiego, wojewody Ostrowskiego, pod dniem 18 Kwietnia 1815 r. datowanym, uwiadomił naród o powyższych szczegółach, sam zaś ze swoimi sprzymierzeńcami gotował się do nowej z Napoleonem walki. W tym czasie wydali monarchowie deklaracyę, przez którą Napoleona Bonaparte'go za wyjątego z pod opieki praw uznali, i wojskom swoim ku Renowi pośpieszać kazali. Dnia 15 Czerwca, wojsko pruskie pod wodzą marszałka Blücher'a połączyło się z korpusem angielskim w Niderlandach, a feldmarszałek austriacki książę Schwarzenberg miał główną kwaterę w Manheimie. Kiedy się to dzieje w starłej Germanii, Napoleon niemniej gotuje się do walki okropnej, stanowczej i rozpacznej. Ten człowiek, który w szczęśliwszych czasach nie znał innego prawa tylko swoje samowolne dekrety, ułożył jeszcze na wyspie Elbie projekt do jakiegoś konstytucyi, mającej niby zastąpić liberalną kartę Ludwika XVIII. Wszakże jeżeli los zmusił go do pewnej zmiany w systemie rządzenia, niemniej i duch Francu-

zów od roku wielce się odmienił. Ogłębny i liberalny rząd Ludwika XVIII stworzył narodowi oczy i przekonał go, czém być może, czém być powinien; żywioł liberalny odżył wśród nowo tworzącego się cesarstwa i szczerku gotującego się do obrony granic oręża. Salony liberalne, na których czele stała słynna córka Necker'a, Lafayette, Odillon-Barrot, korzystając ze swobody, którą im nastroczał wyjątkowy rok 1814, rozsiewały między publiczność zdania zupełnie przeciwne systemowi cesarstwa.

Marzono o ustawie, która by na wzór konstytucyi angielskiej zabezpieczyła każdemu stanowi z osobna właściwe mu swobody; zaczęto z większą rozważą zapatrywać się na wojenną sławę lat ubiegłych, przekonano się, że zwycięstwo i europejski rozgłos o waleczności Francuzów nie są w stanie zabezpieczyć ich swobód i rzeczywistych potrzeb. Pod ostrzem zwyciężskiej stali sprzymierzonych, w obec powtórnego najścia obcych, urok wielkości cesarstwa słabnąć począł. Pisarze tacy jak Chateaubriand, pani de Staël, odezwali się w pismach pełnych ognia, prawdy i przyszłości. Béranger, ten wieszcz ludu, zanócił pieśń lekką, satyryczną, szczerą francuską, szalenie wesołą, w której tyle prawie było przymówek i żartów, ile słów i zdań. Słowem, upadły rząd Napoleona, dość pogardliwie *régime du sabre* nazwany, zwolna z mody wychodzić począł w sferach wyższych i średnich towarzystwa, jedynie zachowując jeszcze wziętość swoją po wsiach i w wojsku. W tej to okoliczności uwielbiać potrzeba takt Ludwika XVIII i rojalistów, dobrze swój interes pojmujących. Nie mogąc ze stanowiska swojego potakiwać zapałowi Francuzów dla Napoleona i jego wojennej sławy, uderzył w inną stronę ich narodowych uczuć; postanowił odżywić w nich stary ojców zapał do wolności, i tym sposobem utworzyła się owa słynna ustawa Ludwika XVIII, najrozsunniejsza, najliberalniejsza i najwięcej do potrzeb

ducha narodu zastosowana ze wszystkich ustaw, które mi się kiedykolwiek naród ten rządził.

Wśród takich to okoliczności zjawił się powtórnie Napoleon we Francji; znał on położenie, jeszcze będąc na wyspie swojej. Umysł ten bystry, przenikliwy i przedsiębiorczy pojął od razu, że duch się zmienił, że chcąc mieć za sobą Francję, innym językiem niż ściśle wojennym potrzeba do niej przemówić. Dał zatem i on także pewny rodzaj konstytucji, którą nazwał *Aktem dodatkowym do ustaw państwa*, niby dalszym ciągiem systemu cesarstwa, ale swobodniejszym i liberalniejszym. Był to tylko półśrodek, na którym się doskonale poznali ówczesni ludzie ruchu, to jest liberaliści; bo kiedy w dniu 7 Czerwca, Napoleon na tak zwane *Champ de Mai* zwołał izby i oświadczył im: „że się spełniło najgorętsze serca jego życzenie, gdy w dniu tym rozpoczyna się we Francji monarchia konstytucyjna,” nie ufali słowu jego, i od dnia tego zaczęła się w izbach silna przeciw niemu objawiać opozycja. Sam tytuł tej ustawy: *Akt dodatkowy*, zdawał się już zwiastować przedłużenie owego systemu uciemiężenia i samowolności, tak słusznie przez nich zniechęconego. Ta niechęć w izbie deputowanych, szczególniejszej śmielszej objawiająca się po porażce pod Waterloo, musiała wywołać abdykację Napoleona, i tuż za nią idące powtórne najście sprzymierzonych na ziemię francuską. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Cesarz, mocno już nie kontent, ale nieukontentowanie starannie ukrywający, odjechał do armii koncentrującej się na granicy Belgii. Pierwsze spotkanie się z nieprzyjacielem zaszło dnia 16-go Czerwca na płaszczyznach w okolicy Ligny, gdzie Francuzi odnieśli dość znaczne korzyści. Były to wszakże ostatnie drgania konającej ich wodza fortuny. Bitwa pod Waterloo przecięła ostatnią nić tego zagadkowego położenia. Ośmdziesiąt tysięcy Anglików, tyleż Prussaków dzień cały walczyło; dwa konie ubito pod księciem Wel-

lington'em, Blücher od swojego wierzchowca powalony, płaszczem okryty, przeskakiwany był przez Francuzów, którzy go nie poznali. Przez godzin kilkanaście Napoleon miał górę. Na nieszczęście, zbyt wczesne natarcie jazdy francuskiej na angielską piechotę, niczem się niedające usprawiedliwić cofnięcie się nowej gwardii generała Duhesme'a, i wkrótce zaszła pomroka, rzuciły jakiś niepojęty postrach w szeregi francuskie. Złowieszczy krzyk *Sauve qui peut!* zdradziecko puszczone, rozległ się pomiędzy walczących; wojsko francuskie zaczęło uciekać bez ładu, nawet szwadrony gwardii będące przy Napoleonie poszły w rozsypkę. Sam cesarz wsiadł z razu do powozu, ale spostrzegłszy popłoch, skoczył na pierwszego lepszego konia, którego mu podano, i bez szpady i kapelusza ucieczką się ratował. Trzysta armat, mnóstwo wozów i jaszczyków, siedm powozów ze szpadą, kapeluszem i płaszczem cesarskim dostało się w ręce sprzymierzonych. Około pięćdziesięciu tysięcy Francuzów legło lub dostało się w niewolę. Anglicy przypisywali zwycięstwo wytrwałości swojej piechoty, Prussacy świetnej szarży swojego generała Bülow'a w bok armii francuskiej. W nocy, francuski generał Morand zebrał część wojska, którą jak mógł do porządku przyprowadził i nią zasłonił odwrot Francuzów. Napoleon zaś dnia 21 Czerwca o godzinie 11 z rana wrócił do Paryża, i wysiadł w pałacu Elisée-Bourbon. Jak można się domyślać, opozycja liberalna w izbie deputowanych, nabrawszy w czasie jego nieobecności i w skutek przegranej, wielkiej siły, stanowczo zażądała jego abdykacji. Cesarz po niejakiem wahaniu się powtórnie zrzekł się tronu, tym razem na korzyść swojego syna, którego Napoleonem II mianował. W następstwie tego aktu, izby posłały do niego delegację z podziękowaniem za tak wielkie poświęcenie się dla pokoju Francji uczynione, ale żadnej nie uczyniły wzniązki o prawym cesarstwie następcy. W dniu 23 Czerwca sessya obu izb była

nader burzliwa. Kiedy mimo abdykacji cesarza na korzyść syna podnosiły się głosy temu postanowieniu przeciwnie, odezwał się dobrze znany przyjaciółom swobód głos Lucyana Bonaparte'go, prezydującego w izbach. Lucyan, ów prawdziwy bohater wolności, który dla niej poświęcił koronę, który w czasach szczęśliwszych dla swojego brata, jeden może w Europie śmiało stawiał opór olbrzymowi, w chwili upadku i troski nie chciał go opuścić. „Cesarz umarł, piorunującym zawołał głosem, niech żyje cesarz!” Do niego przyłączył się wymowny głos znanego liberalisty z koteryi pani de Staël, pana Manuel'a; oba wykonali przysięgę młodemu cesarzowi, a po kilku mniej znaczących uwagach członków opozycji, cała izba za ich przykładem, Napoleona II cesarzem ogłosiła. To postanowienie izby nie podobało się generałowi Lafayette'owi, będącemu główną sprężyną agitacji, która wywołała abdykację b. cesarza.

— Ożłowiek ten mimo istotnej bezinteresowności i szlachetności celów, był nieszczęśliwie przez jakiś złowrogi i nieprzyjazny los Francyi, przeznaczony do klócenia i mieszanina jęj spokojności. Uporczywy wszystkich rządów nieprzyjaciół, był naczelnikiem każdej opozycji nie z potrzeby, nie z zasad, ale z ducha, z nałogu, z temperamentu. Otoż zmusiwszy prawie Napoleona do abdykacji, miał mowę w duchu rewolucyjnym i republikańskim, w której proponował środki obrony przeciw wojskom sprzymierzonym, postępującym w głąb kraju. W tej mowie było wszystkiego po trosze: i energii, i patriotyzmu, i poświęcenia; — wszystkiego, wyjąwszy praktycznego planu ratowania ojczyzny. Środki podane przez Lafayette'a przyjęte zostały przez izbę, bo innych nie było. W końcu sessyi marszałek Ney w urzędowym raporcie doniósł izbom, że Grouchy i Soult ledwie zdołali zgromadzić z niedobitków 50,000 wojska, że zatem potrzeba układać się z nieprzyjacielem. Generałowie Morand i Rapp, zasłaniając odwód, ofiaro-

wali sprzymierzonym zawieszenie broni, oznajmując im jednocześnie, że ich woli zadosyć się stało, gdyż Napoleon rzekł się na zawsze korony; ale monarchowie odrzucili wszelkie propozycje i dalej ku stolicy Francyi postępowali. Cambaceres, Fouché i Carnot, objawszy rządy pod nazwą „komissyi rządzącj,” wysłali pełnomocników do układania się z księciem Wellington'em, który w dniu 30. Czerwca na czele wojsk sprzymierzonych stanął u bram Paryża, gdzie ledwie 50,000 ludzi do obrony zebrać zdołano. Nowo utworzona gwardya narodowa, zajęta przestrzeganiem publicznego porządku, a nadewszystko wstrzymaniem pospólstwa od rabunku, do którego nader okazywało się skore, zwłaszcza na przedmieściach, żadnej pomocy udzielić nie mogła. Położenie było rozpaczne, a stolica w niebezpieczeństwie. W takich razach nigdy nie brak na ludziach, którzy na zgłiszczach pomyślności własnego kraju, siebie jedynie podnieść pragną. W komissyi rządzącj znalazł się taki człowiek, a był nim Fouché. Znaną jest jego historia, nie potrzebuję jęj powtarzać. Z powołania zdrayca, zaprzędałszy kolejno wszystkie rządy do których należał, umyślił zmazać winę nieszczęśliwego *wotum* 21 Stycznia 1793 roku, traktując potajemnie z Bourbon'ami, przyrzekającymi w nagrodę jego usług miejsce w gabinecie. Miał on od dawna zakorzenioną przeciw Napoleonowi nienawiść, i postanowił sobie jakim bądź sposobem pozbyć się go z Francyi. Nikczemny, ale dość zręczny dyplomata, starannie cele swoje ukrywając, wprost i szybko do nich dążył, w czasie nawet, kiedy klęska pod Waterloo była jeszcze w zadaniach przyszłości. Po powrocie swoim z Elby, Napoleon mianował go, jak wiadomo, ministrem policyi, i ten krok cesarza, którego sobie nikt wytłómaczyć nie mógł, zgubę jego przygotował. Od pierwszego wstępu do gabinetu nowy minister zawiązał bardzo rozległe stosunki nie tylko z Ludwikiem XVIII, ale ze sprzymierzonymi i z księciem

Talleyrand'em ambasadorem Francyi na kongresie wiedeńskim. Mówią, że stosunki te były cesarzowi wiadome, ale bądź, że nieszczęściem przygnębiony, bądź że się bał ostatecznie zerwać z człowiekiem tak niebezpiecznym a tyle przebiegłym, połknął obrazę i na inną porę upomnienie się o krzywdę odłożył. Tymczasem przegrana pod Waterloo podwoiła jeszcze śmiałość zdrajcy, który wbrew woli narodu i wojska, a nawet bez przyzwolenia samychże przymierzonych monarchów, plan przywołania Bourbon'ów z księciem Wellington'em ułożył. Napróżno izby wydały do narodu odezwę z oświadczeniem, że nigdy powrotu do kraju staréj dynastyi nie dopuszczają; napróżno marszałek Davoust, generałowie Vendamme, Pajol, Erlot, Drouet i czterestu innych uroczysty akt w tym duchu podpisali: nic nie przemogło zabiegów księcia Otrantu. Napoleon, który od czasu abdykacyi bawił w ulubionéj sobie letniéj rezydencyi Malmaison, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie stolicy, pisał do komissyi rządzącéj, że ma niezawodny plan odcięcia wojska angielskiego, byle mu tylko dowództwo chwilowo powierzóném zostało, ręcząc słowem honoru cesarza i żołnierza, że go natychmiast złoży, gdy stolicę obroni. Komissya podszeptami i intrygami Fouché'go kierowana, żądaniu temu wręcz odmówiła; a obecny na téj naradzie Davoust oburknał się na tego, przed którego potęgą niezbyt dawno się płaszczył, i aresztem mu zagroził, jeżeli się natychmiast z okolic Paryża nie oddali. Opuszczony od wszystkich prawie, Napoleon w towarzystwie jedynie kilku wiernych przyjaciół wsiadł do powozu w dniu 29 Czerwca i do Rochefortu odjechał. W kilka dni później, to jest na dniu 3 Lipca stanęła umowa, na mocy której Davoust z wojskiem ustąpił z Paryża i przeszedł za Loarę. W czasie tych układów, jakby w czasie najspokojniejszym, izby obradowały, układały zasady do nowéj konstytucyi, w której znajdował się artykuł stanowiący, że ani monarcha, ani jego

następca nie może w otwartém polu wojskiem dowodzić. Weszli sprzymierzeni do Paryża i w pierwszym zaraz dniu sto milionów franków kontrybucyi na miasto nałożyli. Cesarze: rosyjski, austriacki i król pruski, zjechawszy się dnia 10 Lipca w Paryżu, ciężar ten do 80,000,000 zmniejszyli. Ludwik XVIII dwoma dniami ich uprzedził, mając obok siebie wiernego zawsze wchodzącemu słońcu księcia Talleyrand'a. Tymczasem kiedy się to dzieje w Paryżu, Napoleon w towarzystwie komisarzy dworów sprzymierzonych, nie bez niebezpieczeństwa życia jego grożącemu ze strony rojalistów, którzy lud przeciw niemu po drodze burzyli, stanął w Rochefortcie. Chwiał się on długo w wyborze, czy się udać do Ameryki na fregacie Stanów Zjednoczonych, przygotowanej na jego przyjęcie, czy też do Anglii popłynąć. Obrął to ostatnie i wsiadł dnia 14 Lipca na okręt Bellerophon, szukając, jak się wyraził w liście do księcia regenta Wielkiei Brytanii, gościnności u ogniska swojego najgroźniejszego, najstalszego i najszlachetniejszego wroga. Nie poznała się Anglia, a bardziej jej ministrowie na téj szlachetnej ufności w swój honor narodowy, odpowiadając nań pociskiem zdrady, hańby i śmierci. Okoliczności towarzyszące niewoli Napoleona na sterzącéj wśród wód Oceanu skale, doznawane tam przez niego troski, upokorzenia i wszelkiego rodzaju gorycze, a następnie choroba chroniczna i śmierć spowodowana brakiem stosownego dla stanu chorego klimatu, wiadome są światu. Ostatnie lata życia jednego z największych wojowników, których nam przekazują dzieje dawne i teraźniejsze, były długiem, nieprzerwaném konaniem!... Dziwnaż to była karyera tego człowieka. Nasuwa ona niewyczerpane do uwag i wniosków pole! Syn ubogiego szlachcica Korsykani- na, uczeń szkoły wojskowéj i prosty officer artyleryi, wzrósł stopniowo do najwyższego szczytu potęgi ludzkiei, zawładnął ludnością dochodzącą do ośmdziesięciu

trzech milionów, tworząc nowe królestwa i księstwa, niwecząc inne, narzucał w końcu swe prawa i ustawy ludom od Francji najodleglejszymi. Energią, odwagą i szczęściem tak świat odurzyć potrafił, że często bardzo ślepego losu wypadki brano za dzieła nadludzkiego geniuszu. Zaprawdę, trudno mu zaprzeczyć wielkiej znajomości sztuki wojennej, głębokiego znawstwa serca ludzkiego, wielkich i śmiałych pomysłów, daru używania ludzi według zdolności i charakterów, stosownie do okoliczności i potrzeby. Francja wiele mu winna, a dzieł jego wieki nie zetrą. Jój wielkość i sława zdawały się być jedynym jego życia celem, jedynym niezmierną dumy i olbrzymich widoków bodźcem. Rządził tym krajem despotycznie, za słowo karał i więził, krwią francuską szafował, podatkami lud swój obarczał, kontrybucjami obcych zwyciężonych gniolił; ale wyniósł Francję nad wszystkie ludy, a sławy chciwą narodową jój próżność podniecał i głaskał, postawiwszy ją na najwyższym punkcie hierarchicznej potęgi narodów europejskich. Kochał i protegował sztuki, lubo się niewiele na nich znał, zachęcał postęp w naukach ścisłych, mianowicie w chemii; upadającą religię katolicką podniósł i jój ołtarze z gruzów wydobyl. W kodeksie cywilnym zostawił pomnik, który jak kodeks justyniański tysiące lat przeżyje i niezatarte ślady w prawodawstwie narodów naszego półsferza zostawi. Przez system lądowy zatamował wprawdzie na czas handel międzynarodowy, ale wspierał handel wewnętrzny i przemysł wszystkich krajów stałego lądu; ukroił monopoliczne uroszczenia Anglii, która będąc już panią mórz i handel lądowy w swych rękach wyłącznie trzymała. Nadawał wzrost fabrykom, wiele je troskliwością swoją, jak np. fabryki cukru z buraków, przedzenie bawełny zachęcał i wzbogacał. Lecz umizgi fortuny, która wbrew swojemu zwyczajowi, dość długi czasu przeciąg wierną mu pozostała, pochlebstwa i hołdy, które go otaczały,

zepsuły w nim serce i skrzywiły rozum; wszystko mu się możliwem zdawało; czyny gwałtu i ucisku uważał za słusne i sprawiedliwe, skoro tylko jego planom posłużyć mogły. Polityka jego była zaboreczą, to żadnej nie ulega wątpliwości; gdyby jego pomysły były doszły do skutku, reszta państw europejskich, a może i zamorskich, byłaby się stała francuzkami prowincjami; kochał on Francję, ale za nic nie miał ludzkości i ogólnych praw miłości braterskiej, których nie pojmował. Czyny gwałtu, jakich się dopuszczał względem obcych, jak wojna hiszpańska, więzienie Papieża, zgwałcenie granic Księstwa Badeńskiego, zabór Oldenburga, były nie tylko niemoralne, ale i niepolityczne; a jego względem Polski niewdzięczność niczem się usprawiedliwić nie da. Jak w systemie swego rządu we Francji chciał, aby wszystko się ściągało do monarchii i nieraz mówił czynem, jeżeli nie słowy, jak Ludwik XIV: *La France c'est moi*, tak znów w stosunkach z innymi narodami chciał, aby Europa była Francją, a Paryż stolicą świata. Nie pojmował tej prawdy, że one także pragną swego „ja,” tak drogiego każdej indywidualności; że mogą być ludy szczególniej uposażone w rozum, dowcip, przemysł, geniusz, ale zupełnie wydziedziczonych z praw powszechnych być nie może, bo wszystkie narody są synami jednego Ojca w niebie. Słowem hasłem Napoleona było: „Jam jest Francją, a Francja światem,” i na tym właśnie punkcie znalazł się ów olbrzymi klin, o który rozbiła się jego dotąd niezwalczona potęga. Ludy europejskie, o swoją samoistność trwożliwe, podniosły się jakby jeden przeciw olbrzymowi Zachodu i zgmiotły go jedynie siłą swojego narodowego uczucia. Tak być musiało, bo ową duchową równowagę (w której uczucie narodowe ma źródło) można chwilowo zgwałcić, ale nigdy zupełnie pokonać. Jest to taką prawdą, że Francja sama poczęła sobie własną wielkość przykrzyć, zniemawidziła swą wojenną sławę, a zaczęła dotkliwie czuć

ucisk swój własny i obcych. Ton dyktatorski cesarza, jego osobista duma, samowładność, oburzała samych jego stronników; dostojności i bogactwa, któremi ich tak hojnie obdarzał, zrodziły w nich niejaki rodzaj przesytu i ociążałości; pragnęli przedewszystkiem pokoju, aby mogli świeżo nabytych dóbr używać w kraju i na łonie rodzin. Tu jest właśnie tajemnica upadku pierwszego cesarstwa. Upadło ono, walcząc przeciw połączonym siłom obcych narodowości, oraz własnych poddanych znużeniu i przesytowi. Cokolwiek bądź, Napoleon był jednym z tych ludzi opatrznych, od czasu do czasu jawiących się na tle dziejów, którzy *byli, bo być musieli*. W nich to głównie objawia się *myśl Boża*, opiekująca się każdym człowiekiem szczegółowo, kierująca bytem i wszelkim niemal ruchem narodów. Przejście Napoleona było nietylko potrzebne, ale konieczne w czasie, w którym się zjawił, tak we Francji, jak we wszystkich krajach Europy. Dzieje jego stanowią epokę w dziejach ludzkości, mianowicie pod względem religii, ducha praw i wyobrażeń. Tu zostawia one niezatarte niczém ślady.

V.

Czytelnik wybaczy, jeżeli się dłużej zastanawiałam nad Francją i nad człowiekiem nadzwyczajnym, który nią władał; niepośrednie on także miejsce trzyma w dziejach naszego kraju w pierwszym okresie bieżącego stulecia.

Monarchowie sprzymierzeni, zostawiwszy we Francji na lat pięć 150,000 wojska, celem zapewnienia jej wewnętrznej spokojności, rozjechali się do swoich krajów, gdzie ich własne i nagle powoływały zajęcia. Cesarz Aleksander jeszcze w Paryżu przyjmował w dniu 30 Września deputację polską, wysłaną od narodu z oświadczeniem wierności i uszanowania; sam zaś, wracając z téj wojny, w dniu 12 Listopada odbył świetny, jako król polski, wjazd do Warszawy, gdzie mieszkańcy z własnego natchnienia domy swoje oświecili, a lud wdzięczny za wskrzeszenie polskiego imienia, głośnemi okrzykami radość swą objawiał. W czasie pobytu swojego w tém mieście, cesarz czas swój dzielił już to oddając się urzędzeniu Królestwa i jego zewnętrznej organizacyi, już też uczęszczając na parady wojskowe i towarzystwa prywatne, którym wiele się udzielał. Oprócz kilku ofiarowanych sobie balów, które bytnością

swoją zaszczycił, bywał prywatnie u wielu dawniej znajomych sobie osób, np. u księżny Radziwiłłowej z Nieborowa (z domu Przeddzieckiej), pani Stanisławowej Potockiej, pani Ordynatowej Zamoyskiej, pani Brońcowej żony marszałka dworu, który jeszcze za króla saskiego godność tę piastował, i u pani wojewodziny Gutakowskiej. W tych odwiedzinach nie zachowywał żadnej etykiety; przyjeżdżał zawsze niespodzianie i tak szybko przebiegał wschody, że gospodyni domu nie miała czasu wyjść na jego spotkanie do drzwi pierwszego salonu, i najczęściej przyjęcie następowało w buduarze, to jest w pokoju, w którym zazwyczaj przebywała. Zdarzyło się raz jakoś w początkach jego pobytu w Warszawie, że ludzie księżny Radziwiłłowej, widząc wchodzącego do przedpokoju wojskowego w płaszczu, bez żadnej asystencji, nie myśląc, żeby to miał być cesarz, puścić go do salonu nie chcieli,—co później monarcha z wielkim śmiechem księżnie opowiadał. Bywając prawie codziennie u księżny, pragnął, aby sobie z nim żadnego nie robiono kłopotu; chciał, aby był uważany za prywatnego w literalnym tego wyrazu znaczeniu. Wbrew etykietcie nie pozwalał, aby się usuwano, gdy wchodził do salonu; w czasie gdy bawił u księżny, gdy nadjeżdżały inne wizyty, cesarz pomagał księżnie do czynienia honorów, podawał krzesła paniom, zdejmował szale, bawił je różnorodną, pełną uprzejmości, dowcipu i łatwości konwersacją. Tej jego popularności niektórzy nadużywali. Kiedy nieco później pani... prezentowała mu jednego z przyszłych swoich zięciów, pół-pana, pół-literata, pół-mędrka, a w summie człowieka, jak to mówią po polsku, „niedowarzonego,” cesarz, pełny szacunku dla tego domu, zapytał się pana... jakiemu się głównie przedmiotowi poświęca i czym jest? „Sire, odpowiedział słowami satyryka francuzkiego, *je ne suis rien, pas même acadé-*

cien (1). Cesarz, który się nie bawił w przysłowia francuzkie, odwrócił się, nie zwracając już wcale tego wieczora mowy do mniej zręcznego, naśladowcy niedosłatego akademika. Ten ton pełny umiarkowania, który stanowił cechę charakterystyczną w obejściu cesarza Aleksandra, nie odstępował go także w stosunku z innymi monarchami. Mówią, że kiedy cesarz był w Paryżu w czasie drugiej restauracji, Ludwik XVIII, który mimo swoich *jakobińskich pretensyj* (jak się wyrażali ultra-rojaliści), bawił się czasami wspomnieniami nieubłaganej etykiety dworu wersalskiego, mając go dnia jednego u siebie na obiedzie, gdy szambelan (*gentilhomme de la chambre*) przyszedł z oznajmieniem, że dano do stołu,—przeszedł pierwszy do sali jadalnej, nie zważając na obecność swojego wysokiego gościa; cesarz, spostrzegłszy to udawanie wyższości w monarsze, który z łaski sprzymierzonych tron przodków odzyskał, uśmiechnął się na to, mówiąc do ucha sąsiadowi swojemu: *Nous autres barbares du Nord, nous sommes plus honnêtes* (2). Ta dobroć nigdy cesarza nie opuszczała. W czasie jednego ze swoich przejazdów przez Lublin, dowie-

(1) Mówią, że Piron w szale nieukontentowania przeciw Akademii Francuzkiej, która wzbraniała się go mianować swym członkiem, sam napisał te słowa przeznaczone do umieszczenia na jego nagrobku. „Ci git Piron, qui ne fût rien, pas même académicien.”

(Przyp. aut.)

(2) Żaden z dworów europejskich nie posuwał podobno tak dalece fanatycznego przywiązania do etykiety i form, nietylko poddanym, ale i innym monarchom uwłaczających, jak dawny dwór wersalski. Ta duma zakrawająca na uniwersalne państwo dziwnie się wydawała szczególniejszemu cesarzowi Józefowi II, który ją wyrzucał siostrze swojej, biednej Maryi Antoninie. Według tej etykiety nie było prawie przykładu, aby król francuzki u kogokolwiek znajdował się w gościnie, wyjąwszy czasami na wsi na wielkich polowaniach, i to „prawie” wyłącznie u książąt krwi królewskiej (*princes du sang*), lub mniej więcej dalekich krewnych dynastji.

dziawszy się, że w nim przemieszkują generałowa Wejszenhofowa, zapragnął dać jej wiadomość o jej mężu, którego dniem wprzód widział. Przywoławszy do siebie prezesa kommissyi wojewódzkiej: „*Zechcesz pan, powie-
dział, iść do pani Wejszenhofowej i oświadczyć jej, że dla mo-
jego ubrania podróżnego nie mogę jej widzieć osobiście; ale
donoszę, że mąż jej zdrowy, że go wczoraj widział na pa-
radzie i żeśmy oba na deszczu nielitościwie zmokli.*”

Cesarz lubił bardzo Warszawę, którą nazywał *małym Paryżem* i rad w niej przebywał. Po kilkutygodniowych festynach, wyjechał w dniu 3 Grudnia do Petersburga, a dnia 24 tegoż miesiąca, jako w dniu jego urodzin, ogłoszono konstytucję i instalowano namiestnika w osobie generała Józefa Zajączka. W Krakowie kommissya organizująca, o której wyżej wspominałam, w imieniu trzech opiekuńczych dworów zaprowadziła w dniu 20 Listopada nową dla tej krainy konstytucję. Król pruski posłał do Poznania na swojego namiestnika księcia Antoniego Radziwiłła, męża księżny Ludwiki pruskiej, stryjecznej swojej siostry. Dekretem noszącym dawniejszą datę z 22 Maja, urządził ogólne dla wszystkich krajów berłu jego podległych stany prowincyalne. Z trzech monarchów panujących nad prowincjami dawniej Polski, w rozdawnictwie praw i przywilejów cesarz austriacki najmniej się szczodrym okazał. Postanowił coroczne sejmy we Lwowie odbywające się, złożone z deputowanych wybranych przez szlachtę, którzy mieli przywilej wysłuchania tak zwanych postulatów dworu, żadnego zresztą charakteru reprezentacyi niemające. Te sejmy, których najgłośniejszą częścią były parady i obiady dawne przez komissarzy cesarskich, w trzech dniach się kończyły.

Cesarz Aleksander powierzył, jak to wyżej powiedziałam, dowództwo wojska polskiego wielkiemu księciu Konstantemu, który zaprowadził w nim karność i porządek, utworzył szkoły podchorążych, kadetów,

szkołę artylleryi i inżynierji, czyli tak zwaną aplikacyjną, odpowiadającą akademii wojskowej, z której wychodzili wyborni tej broni oficerowie. W lazaretach i całej wojennej administracyi wprowadził nieznaną dotąd w Polsce system porządku i czystości, tyle dla zdrowia pomocnych. Nowomianowany namiestnik, generał piechoty Zajączek, mógł mieć około lat 60. Przyznawano mu więcej w sztuce wojennej biegłości, niż szczęścia w boju, gdyż najczęściej bitwy przegrywał. Utraciwszy nogę w czasie kampanii r. 1812, chodził na kuli; znamię to waleczności i poświęcenia czyniło wybór jego miłym krajowi, a szczególnieś średniej klassie obywateli, którzy radzi oglądali jednego ze swoich u steru rządu. Należy tu oddać, co komu należy. Okres rządów namiestnika Zajączka odznaczył się dobrą administracją i porządkiem, jakie nigdy dawniej w Polsce nie zagościły. Pragnął, aby pod jego zarządem będące Królestwo handlem i przemysłem żadnemu innemu krajowi nie ustępowało. Mawiał często, że najgorętszém życzeniem jego jest, aby dzieje o nim, jak niegdyś o Kazimierzu Wielkim, powiedziały, że zastał Polskę *drewnianą, a zostawił murowaną*. Jakoż zaraz następnego roku 1816 wyrobił u cesarza asygnacją na złp. 300,000 na tak zwany *fundusz żelazny* dla Warszawy, a na 90,000 dla Kalisza, z którego dotąd udzielane są pożyczki dla murujących w tych dwóch miastach nowe domy. W skutek tak znacznej pomocy, Warszawa nagle przybrała wzrost i *pozór* jednego z najpiękniejszych miast Europy. Do tego wzrostu nie mało się przyczynił pobyt pięciu pułków gwardyi rosyjskiej, których korpus oficerów, złożony z synów najbogatszych rodzin, częścią rosyjskich, częścią z zabranego kraju, wielkie summy w handlu zostawiał. Kupiono na mieszkania dla namiestnika pałac Radziwiłłowski, a sprzęty do niego, z Paryża sprowadzone, z wyboru znanej z gustu i elegancyi namiestnikowej Zającz-

kowój, blisko milion skarb kosztowały. Minister spraw wewnętrznych, Tadeusz Mostowski, piękny swój pałac sprzedał rządowi na komisję spraw wewnętrznych, i sam jako minister prezydujący w tym wydziale w nim zamieszkał. Rozszerzono niektóre ulice Warszawy, mianowicie Nowy-Swiat i Krakowskie-Przedmieście; bramę Krakowską, ratusz grzybowski i wiele innych niepotrzebnych gratów zniesiono, a na ich miejsce piękne i obszerne zostawiono place. Jednocześnie z objęciem rządów powziął Zajączek myśl zaprowadzenia w kraju bitych gościńców (chaussée), i w tym celu wysłał do Pruss zdatnych inżynierów, dla przypatrzenia się tamtejszemu systemowi dróg murowanych i zdjęcia z nich wzorów; dla pokrycia kosztów ustanowiono nowy podatek w naturze i pieniądzu, nazwany szarwarkiem. Rozesłani na wszystkie strony inżynierowie wojskowi wytknęli w prostą linię drogi łączące wsie i miasta, oraz wyznaczili miejsca na porządne a nawet okazałe austerye. Sprowadzono z zagranicy biegłych w sztuce, i uformowano z nich piękny korpus drogowy. Poczyszczano niektóre miejsca z zawał spław tamujących, wykopano słynny Augustowski kanał, łączący Niemen z Narwią, Bugiem i Wisłą. Cesarz Aleksander założył w Warszawie uniwersytet, który wspaniale uposażył; w krótkim czasie jego gabinety, muzea, a nade wszystko biblioteka księgami po supprimowanych klasztorach wzbogacona, przyszły do wzrostu, jakiego wiele dawnych nie miało uniwersytetów. Niemalą także temu naukowemu zakładowi pomoc przyniosło Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk; jego zbiory broni, medalów, biblioteka, prywatnemi darami ciągle powiększane, zawierały w sobie rzadkie sztuki i starożytności osobliwości. Samo Towarzystwo własną pracą i przez ogłaszane konkursu wiele się przyczyniło do rozwoju mowy i literatury polskiej, a szczególnie krajowych dziejów.

Przemysł i handel poczęły kwitnąć. Przez podniesienie w Rosyi cła od sukna zagranicznego, a zniżenie go od polskich wyrobów, fabrykanci nie mający na nie odbytu w Szląsku, Saksonii i Czechach, posłyszawszy o przywilejach, jakie są zapewnione dla przybywających do Polski culzoziemców, w wielkiej liczbie się tu z rodzinami, czeladzią, warsztatami i majątkami sprowadzali, i na miejscach pustych pozakładali miasta, dziś po kilkaset domów i kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy ludności liczące. Za tem poszło podniesienie się cen wełny. Jeszcze za Księstwa Warszawskiego, król saski złożył w niektórych dobrach narodowych owczarnie, dając na pierwszy zakład sztuki z najpiękniejszych saskich elektów, które po rozmnożeniu do prywatnych sprzedawano owczarń. To samo co do koni i bydła uczyniono w Janowie i innych Królestwa okolicach. Obłożono także wysokim cłem płótno do kraju wchodzące, jak równie i wyroby bawełniane, a od bawełny surowej zniżono go do nie nieznaczającej prawie ilości; przez co zachęcano przemysłowców do zakładania w kraju fabryk i przędzalni na wielką skalę. Zaprowadzono towarzystwo ogniowe, któremu zastosowaniem do miast i dóbr rządowych przygotowano dalsze rozwinięcie. Dziś ta instytucja należy do najświetniejszych i najużyteczniejszych w kraju. Utworzono w Kielcach dyrekcję górnictwą z uposażeniem złp. 300,000 rocznego dochodu. Sprowadzono z Fryburga w Saksonii ludzi fachowych, którzy na wzór zagranicznych tego rodzaju zakładów pozaprowadzali maszyny, budowle, a nawet rzeczy ku ozdobie i wygodzie służące, jak np. ogrody, resurse, czytelnie, restauracje i t. p. Założoną była przez nich szkoła górnicza, gdzie młodzież polska w liczbie blisko sto uczniów, teoretycznie i praktycznie kształciła się w sztuce górnictw.

Dla złagodzenia ciężarów rolnika, cesarz dekretem w Petersburgu wydanym, dziesięcinę wytyczną

pozwoił zamieniać na ziarno lub pieniężną opłatę. Do tej zmiany przyjęto tak dalece właścicielom gruntowym sprzyjający stosunek, że w dobrach gdzie np. dziesięcina przynosiła proboszczowi tysiąc złotych dochodu, po uczynionej zamianie ledwie mu przynosiła kilkadziesiąt złotych lub dziesięć korcy żyta. Dziesięcina snopowa, stanowiąca niegdyś jedyny gruntowy podatek, po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej przez królów duchowieństwu odstąpiony, mogła być praktyczną, gdy posiadacz ziemski żadnym innym nie ulegał ciężarom. W czasach ostatnich, gdy ziemia różnym uległa opłatom, dziesięcina wytyczna zabierała niejedną dziesiątą część, ale więcej niż połowę czystego dochodu rolnika. Atoli po nastąpieniu zamianie, i duchownym zmniejszono podatki w miarę poniesionej straty.

Wielki książę Konstanty utworzył korpus żandarmów, do strzeżenia porządku i publicznego bezpieczeństwa przeznaczony; nadano mu mundury, żółd i urządzenie na sposób francuzki, i złożono po największej części z wysłużonych officerów i żołnierzy dawnego wojska polskiego.

Znany z nauki i światła minister oświecenia, Stanisław Potocki, wiele działał na te wszystkie reformy, a mianowicie na podniesienie w kraju oświaty. Szkoły niedzielne, instytut wychowania panien, rozwój i reformę instytutów naukowych jego błogiemu zawdzięcza my wpływowi. W owym czasie zjawiał się człowiek świątobliwy, który powziął myśl osłodzenia losu owym ofiarom, dla których natura niejako macocha się stała; chcę tu mówić o instytucie głuchoniemych. Ksiądz Falkowski, ów świątobliwy kapłan, na wzór założyciela szpitala Dzieciątka Jezus, księdza Baudouina, chodził po domach, restauracyach i t. p. miejscach publicznych, i nie bez trudów potrafił, grosz do grosza dorzucając, nieulać fundusz na pierwiastkowe tego zakładu uposażenie.

Zaczęto także robić przygotowania do założenia szkoły politechnicznej. W roku 1821 otworzono wystawę przemysłu, będącą najlepszym wzrostu krajowych fabryk obrazem.

Dla zapewnienia czystości wewnątrz Warszawy i większych miast, wyrzucono z ich obrębu gorzelnie i browary; Żydom arend, to jest tak zwanego po wsiach monopolium wódki, przez który oni chłopów niemiłosiernie zdzierali, dziedzicom daninę płacąc, surowo wzbroniono. Zachęcano tych Izraela synów do rolnictwa, nadając im do niego różne przywileje; tym sposobem zyskano nadzieję, że ta klasa ludności, która dotąd całą prawie gotowiznę krajową w ręku swoich dzierżyła, tym samym stanie się użytecznym a mniej niebezpiecznym w kraju pierwiastkiem.

W Styczniu 1817 r., przybyła do Krakowa ciotka moja Parysowa z mężem, oraz ich wnuczka hrabina Morand, żona para Francyi, z całą rodziną. Muszę coś o nich czytelnikowi powiedzieć, zwłaszcza o dwóch ostatnich z tych osób, o których piszą społeczne pamiętniki, w fałszywem wystawiając je światło. Panna Franciszka, siostra mojego ojca, o parę lat od niego starsza, dochodziła lat pięćdziesięciu, gdy weszła w związki małżeńskie z hrabią Parysem, wdowcem, którego pierwsza żona, Sołtykówna z domu, była spowinowaconą z rodziną naszą. Nigdy zrozumieć nie mogłam, co to małżeństwo spowodowało, gdyż państwo młodzi, łącząc się z sobą, mieli razem około 120 lat skończonych. Panna generałówna (tak moją ciotkę w ówczasowem towarzystwie, w tytułach zamiłowaném, nazywano); panna generałówna była niska, ułomna; miała twarz przyjemną, rysy szlachetne, łagodność i uprzejmość w obejściu, wiele znajomości ludzi i świata, talent rzadki opowiadania i pisania listów. Ubierała się wykwintnie, bogato na-

wet; nosiła według ówczesnej mody suknie długie z ogonem, pierścienie na wszystkich palcach, wiele klejnotów; do rannego stroju na przykład miała zegarek bregetowski, wysadzany małemi brylantami, który nigdy nie szedł, zażywała tabakę z małej, okrągłej, złotej emaliowanej tabakierki, na wierzchu której był wymalowany Kupido strzelający do Wenery. Całą młodość i część znaczną wieku dojrzałego przepędziła w Wiedniu; bywała u dworu, wiele widziała, wiele pamiętała, i jak powiedziałam, doskonale opowiadała. Jak znaczna liczba osób jej stanu i wieku, zamięłowanie świata i ludzi do późnej dochowała starości: dla niej potrzeba było hałasu, gwaru, gry i tańców, aby była w swoim żywiole. Wszakże i przy kominkowych zebraniach była nieporównaną. Słuchając jej, mimowolnie przypominaliśmy historię owęj słynnej, tajemnej żony wielkiego i dawnego monarchy, która w podeszłym już będąc wieku, potrafiła jego serce podbić jedynie zręcznym i dowcipnym opowiadaniem (1). Otoż i o panie generałównie mówiono, że mimo niewydatnej

(1) Do jakiego stopnia talent ten był wysoko ceniony we Francji w XVIII wieku, mamy dowód w następującej anegdocie, którą wszystkie biografie pani de Maintenon (o niej tu mowa) powtarzają. Gdy nosiła jeszcze skromne pani Scaron nazwisko, przyjmowała u siebie co wieczór za życia pierwszego męża, poety gminnego, ale wielce dla wesołości swój wziętego, grono jego przyjaciół, równie szalonych jak on sam. Gdy jednak zasoby finansowe małżonków Scaron niezawście odpowiadały ich dowcipowi i uprzejmości przyjęcia, zdarzało się, że wieczorna stanowiąca w owym czasie jeden z koniecznych życia towarzyskiego warunków; niezawście w całkowitym dopisywała komplecie. Gdy się to trafiało, stary lokaj, sposobem dawnych sług wielce o sławę domu troskliwy, stawał za stołkiem swój pani i szeptał jej do ucha: „Madame, encore une histoire s'il vous plait, car le roti nous manque aujourd'hui.“ Na to doniesienie wiernego sługi pani Scaron przydawała anegdot i dowcipu, a jej goście, zapomniawszy o głodzie, weseli i zadowoleni do domu wracali.

(Przyp. aut.)

powierzchnowości wznieciła niejedną namiętność, bo jak we Francji XVIII stulecia, tak i w naszej Polsce nie brakło na ludziach, którzy dowcipną pogadankę nad wszystkie inne cenili przyjemności. Nieraz bywało zegar uderzył godzinę trzecią po północy, świece gasły, drewna dopalały się na kominku, ludzie w przedpokoju, ukończywszy swojego ulubionego *kiksa*, siedząc na ławkach zasypiali przy dogrywającym kagańcu, a rodzina nasza i przyjaciele, rozłożeni w półkoło koło krzesła panny generałówny, z niepojętym słuchali ją zajęciem. Jej opowiadania odnosiły się do czasu pani hetmanowej Ogińskiej, do Pułaskiego, pani kasztelanowej połańskiejkiej, panny Joanny Świdzińskiej, z którą w nader przyjaznych zostawała stosunkach, i pani kasztelanowej Dembowskiej, krewnej swojej, przy której czas jakiś bawiła. Wspominała panią Sołtykową ex-podstolinę z domu Sapieżankę, arcybiskupa Skarszewskiego, J. U. N. i antypatyczną nieprzyjaźń tego ostatniego dla arcybiskupa. Koligacje książąt i dworów niemieckich znała jak gdyby się była rodziła redaktorką *Almanachu de Gotha*. Opowiadała różne szczegóły o ich prywatnym życiu, a mianowicie o dworze wiedeńskim i nieubłaganą jego etykietę, tworzącą zupełną sprzeczność jego z oszczędnością, prostotą i stosunkami członków domu austriackiego. Rozповідаła wiele zajmujących szczegółów o owęj białej postaci czyli duchu familijnym tego domu, który od czasu śmierci Maryi Teresy ukazywał się przed zgonem lub przy zgonie każdego z jego członków, jako złowieszcza przepowiednia blizkiej śmierci. Czasami wtrącała anegdoty o towarzystwie wiedeńskim, jego formach i zwyczajach, o słynnych graczach dobrego tonu, ich figlach i przebiegach, o rozbójnikach, których jeszcze mnóstwo po drogach i lasach znajdowało się. Nieraz słuchając jej, oparłszy głowę na kolanach mojej matki, zapomniałam o zabawkach i ulubionym mi zawsze czytaniu, siedziałam godzin kil-

ka nieporuszona na miejscu. Napóżno mnie wołano do dziecinnéj wieczerzy, a następnie do snu: ze łzami wypraszałam się od jedzenia i łóżka, a mój dobry ojciec, który mnie trochę psuł, zdołał czasem uprosić matkę, że mi dłużej pozostać pozwoliła. Wszakże przyjemność tę okupować musiałam niemałą dozą przestroóg, strofowań, morałów, których panna generałówna młodszym od siebie nie oszczędziła. Miała ona różne swoje zwyczaje, gusta i nawyki, które trzeba było uprzedzać i szanować, aby uniknąć półgodzinnej dyssertacji o delikatności, dyskrecyi, uszanowaniu i uległości względem starszych. Gdy ciągnęła *pasyans*, co zwykle się zdarzało w czasie poobiednim lub w wieczór, gdy *partyi* nie było, nim się zabrała do mieszania kart, zaczęła od starannego poukładania na stoliku obok siebie tabakierki, chustki od nosa, bombonierki szylkretowej w złoto oprawnej, którą zawsze przy sobie z miętowemi cukierkami nosiła, oraz kolejową talię kart. Biada temu, ktoby jakimś przypadkiem nieprzewidzialnym popsuł jęj symetryę tego układu! Przy stole miejsce panny generałówny oznaczone było krzesłem wyższém od drugich i włóczkową poduszką, w zielony szafian oprawną, serwetą wstążką koloru brązowego obwiązaną, długą srebrną łyżeczką, z wydrążeniem w ręczce do wybierania szpiku, mnóstwem karafek, flaszek i kubków na różne pektoralne napoje, a przede-wszystkiém osobą lokaja Wincentego, który nieodstępny był od stolka pani i na jęj skinienie do usług gotowym. Czas swój dzieliła między ludźmi, lub spędzała nad klockową tiulową robotą, na wiście, *pasyansie* i pisanii. To ostatnie najwięcej jęj zabierało czasu, szczególniej na wsi.

Pisała z rana, pisała po południu, pisała czasem i w nocy. Co pisała? — nikt nie wie; jest to tajemnica, którą z sobą do grobu poniosła. Domyślano się tylko, że to mogły być pamiętniki jęj życia, może akta długie-

go i nader dolegliwego procesu, który jęj ostatnie lata zatruwał, listy, których mnóstwo, długie, bitym charakterem kreślone, na wszystkie rozpisywała strony. Pisała jak pani de Sevigné; mam u siebie kilkanaście jęj listów do moich rodziców, które po dziś dzień z przyjemnością i zajęciem czytać można. Nikt jęj nie prześcignął w sztuce opisywania charakterów, ubiorów, zabaw, scen i anegdot życia. Jęj pamiętniki byłyby niemałą pomocą do obeznania się z przypadkami, postaciami i obyczajami jęj czasów; zdaje się wszakże, że pisma swoje przed śmiercią, która nastąpiła w Kromolowie ⁽¹⁾ 1826 r., własną zniszczyła ręką.

Wiele także czasu poświęcała klockowej tiulowej robocie, do której miała mały mahoniowy, bardzo zgrabny, perłową macicą wysadzany warsztacik. Muszę tu nawiasem powiedzieć, że przed laty trzydziestu tiul nie był, wcale jak dziś, powszednią, a nawet pospolitą, gminną częścią ubioru kobiet. Moja matka w chwili śmierci (1823 r.), miała w swojej garderobie jedynie dwa czepki strojne i dwa zawoje tiulowe, które wielce ochraniała. Zwyczajnie w handlu znany był tiul do oszycia mniejszej lub większej szerokości; taki tiul robiła moja ciotka na swoim klockowym warsztaciku, co było równą osobliwością, jak gdyby kto dziś robił u siebie koronki z gatkunków prawdziwie brukselskich. W roku 1823 lokieć tiulu szerokiego płacił się 3 dukaty, a roku 1817 lokieć tybetu, który po prostu nazywano merynosem, sprzedawano po złp. 24. Wprawdzie nie znano tak jak dziś gatkunków pośrednich; obok cen bardzo wysokich, towary w ogóle zalecały się mocą, trwałością i doskonałym wykończeniem. Ten przymiot stosował się także i do innych przedmiotów do wygody, ozdoby lub domowego użytku służących. W roku 1805 moja matka dostała

(1) U brata jęj Piotra Gostkowskiego. (Przyp. aut.)

z wyprawą serwis herbaciany z porcelany saskiej, którego sztuka jedna kosztowała 12 dukatów. Egzystuje on do dziś dnia w całej swojej okazałości bez najmniejszej szkazy, pięknego bardzo malowidła i pozłoty, mimo częstego dość użytku, i jest w ręku sukcesorów mego brata, którzy go zapewne jeszcze przekażą swoim następcom. Wątpię, aby którykolwiek z dzisiejszych, arcytanich wprawdzie wyrobów, mógł przetrwać trzy generacye; szczególnie w ręku naszych polskich służących, którzy nigdy wielką zręcznością i ostrożnością nie celowali! I mówią, że wiek postępuje... Nie postępuje on, ale leci; na wszystkich jego dziełach znać ślady pośpiechu... To niezaprzeczona prawda!

Ale wróćmy do panny generałówny, od której trochę zboczyłam, za co najmocniej czytelnika przepraszam. Doszła ona, jak to wyżej powiedziałam, do lat pięćdziesięciu, żadnego nie uczyniwszy wyboru. Schodziło jej jakoś w podróżach i zabawach, które niebardzo do poważnego stanu małżeńskiego uspasabiają. Gdy ją jednak bardzo niegrzecznie piąty nawiedził krzyżyk, byłaby może i mniej trudna w wyborze, ale pretendentów się przerzedziło, a w końcu wcale ich zabrakło. Przyszedł dla panny generałówny wiek swatów i układów małżeńskich, wiek, w którym rzadko się ktoś sam żeni, ale ludzie go żenią dla przyzwoitości i familijnych widoków.

W miasteczku Pacanowie, o dziesięć mil od Krakowa, mieszkał właściciel jego, hrabia Parys, lat 70 liczący. Należał on do gatunku tych wdowców, których i dziś pełno wszędzie, którzy się żenią nie z serca, nie z potrzeby, ale z nawyknięcia: ot tak, aby mieć żonę. Hrabia miał niezmyslną ochotę wejścia w powtórne małżeńskie związki i wynurzył się z nią przed sąsiadką swoją, panią Ignacową Wielogłowską ze Zborowa.

— Jakiż-że to żony życzyłbyś sobie mój hrabio?— rzecze pani Wielogłowska.

— Jużciż nie młodej, bo ja stary... Tak sobie, w średnim wieku.— Już co do wyboru, spuszczam się zupełnie na znany mi dobry gust asindzki.

— Znam ja — rzecze pani Wielogłowska, pomyślawszy trochę— osobę, któraby właśnie dla ciebie była, ale nie wiem, czy zechce...

— Któż taki przecież?— pyta hrabia.

— Panna generałówna G.

— Bardzo dobrze... Ale jej nie znam, a jestem już za stary, abym do miasta na zaloty jeździł.

— Po co masz jeździć?— odrzeczcie pani Wielogłowska,— ona tu w tych dniach zjedzie na imieniny mego męża.

Hrabia, ucieszony, ucałował ręce swojej sąsiadki, pożegnał, wsiadł do powozu i wrócił do siebie.

Pani Wielogłowska była starszą siostrą mejj matki; mając plan małżeństwa ukartowany, napisała do moich rodziców i do bawiającej przy nich panny generałówny list z zaproszeniem na imieniny męża, nie przyznając się wcale do celu tych zaprosin. Między hrabią zaś a nią stanęła umowa, że w sam dzień imienin kandydat do małżeństwa przyjedzie do Zborowa na obiad, że jeżeli mu się panna spodoba, zostanie na wieczór; w przeciwnym razie zaraz po czarnej kawie odjedzie. Gdy przyszedł dzień oznaczony, rodzice moi zjechali. Panna generałówna ubrała się jak zwykle wykwintnie i bogato w brokardową, złotemi kwiatami przesywaną suknię z ogonem, ale stan krótki i kolor sukni jasny nie mógł być korzystny dla osoby ułomnej i już nie młodej. Przed samym obiadem zajeżdża z trzaskiem przed balkon pałacu w Zborowie poszóstna karetą hrabiego, poprzedzona koniuszym i z dwoma hajdukami z tyłu. Hrabia wysoki, dobrze zbudowany i prosto się trzymający mimo siedmiu krzyżyków, dziwnie przy pannie generałównie wyglądał; gdy do niej

zagadywał, musiał się prawie do ziemi schylać. Z początku patrzył się na nią z pod oka, i wbrew swojemu zwyczajowi, był prawie milczący. Jego postać rezolutna, polska wyłącznie mowa, kontusz z wylotami i żółte bóty, raziły trochę oczy panny generałówny, nawykłe już do francuzkiego stroju i mowy. Biedna gospodyni była jak na szpilkach. Widziała jasno, że pierwsze wrażenie obojga nie było na wzajemną ich korzyść. Dano znać do stołu. W czasie obiadu rozmowa jakoś nie szła, jak to zwykle bywa dopiero po szczupaku faszerowanym i niezbędnych na wiejskiej uczcie francuzkich pasztecikach, gdy kolejne kieliszki były wezwane do odegrania swej roli, rozmowa zaczęła się pomału ożywiać; uwagi, dowcipne słowa, grzeczności damom zaczęły się sypać z ust mężczyzn, zdrowie gospodarstwa, dam, obywatelskie „kochajmy się” i mnóstwo nieprzeliczonych jeszcze innych snuło się bez przestanku. Jeden tylko nasz kandydat do małżeństwa piln wprawdzie jak inni, ale nie przestawał być ponurym i milczącym. Gospodyni domu, niespokojna obrotem, jaki rzeczy brały, starała się ile możliwości ukrócić obiad, a korzystając z pierwszej sposobności, dała znak do wstania: wszyscy przeszli do bawialnych pokoiów. Proszę sobie wystawić jej położenie, gdy spostrzegła, że hrabia, odprowadziwszy moją matkę na miejsce, nieznacznie posunął się ku swojej białej z sobolem czapeczce, leżącej na boku i w końcu włożył ją pod pachę, a założywszy wielki palec lewej ręki za pas, i wysunąwszy prawą nogę naprzód, w tej pozycji stał, jak gdyby czekał chwili pożegnania się z gospodynią domu. Był to fatalny znak dla projektów pani Wielogłowskiej; ale że to była kobieta przedewszystkiem rozumna i przytomna, wysunęła się cichaczem z salonu, poleciała swojemu staremu kamerdynerowi Michniewskiemu, aby namówił wszystkich obcych i swoich stangretów do wystrzeliwania biczami wiwatów pod oknem solenizantowi, który znając się na rzeczy,

hojnie zawsze ich w takim razie wynagradzał; a to w nadziei, że stangret hrabiego, przynęcony datkiem, zaniedba w swoim czasie zaprząd i być gotowym do odjazdu. Jak chciała, tak się stało; stangreci poczęli strzelać z biczów aż do zagłuszenia towarzystwa, sama zaś wróciła do salonu, a idąc wprost ku sąsiadowi, którego znalazła w tej samej gotowej do odjazdu pozycji, podała mu rękę i usiadła przy pannie generałównie, mówiąc:

— Hrabio, baw nas...

— Moja mościa dobrodziejko — odrzecz — z całego serca na usługi asindzki i pięknych dam, ale ja wieśniak stary, niewiele potrafię; ot, panie z wielkiego świata przedź coś wiedzą.

— To słuchaj, hrabio.

Tu pani Wielogłowska nieznacznie rozmowę skierowała do panny generałówny, którą jakoś wprowadziła na tór mówienia. Niepotrzeba też było więcej. Różne anegdoty, historie, opowiadania snuły się jedna po drugiej; oratorka rozgawędziła się i tak starego zajęła, że już nie myślał o odjeździe i do późna w nocy słuchał. Nazajutrz o godzinie 3-iej z południa z całą systematycznością ówczesnych wiejskich załotów, zajechał hrabia w téjże samej karecie z koniuszym i hajdukami, a wszedłszy do pokoju i pogadawszy trochę z paniami, obrócił się do panny, i tak rzecz swoje wypowiedział:

— Moja mościa dobrodziejko, niedawna nasza znajomość, ale dostateczna, abym asindzkę szczerem polubił affektem. Jeżeli nie wzgardzisz moją dozgonną przyjaźnią, to się decyduj prędko, bo ja stary, konkurować długo nie mam już czasu. Oto brat asindzki, oto szanowna bratowa, którzy, spodziewam się, nie dadzą mi od kosza, bo mnie znają; idzie tylko o decyzję asindzki.

Na tak natarczywe oświadczenie, panna generałówna oniemiała. Jęj świadkowie, to jest moi rodzice

i pani Wielogłowska za nią odpowiedzieli. Małżeństwo się ułożyło, przygotowania nie były długie: we trzy tygodnie po poznaniu ślub i sute w Pacanowie przenosiny. Przy wjeździe na dziedziniec wielkiego staroświeckiego dworca, sołtysi z dóbr pacanowskich przyjmowali panią młodą chlebem i solą, a hrabia podał żonie przy wejściu ogromny pęk kluczy. Na tém skończyła się ceremonia przyjęcia. W jadalnym pokoju, pierwszym od wejścia, ściany na biało malowane, przykryte były portretami większych i mniejszych rozmiarów, przodków hrabiego i jego pierwszej żony, wykonane w stylu surowym przed-Stanisławowskich czasów, w polskich ubiorach, wyjąwszy kilku w habitach zakonnym, stroju maltańskim lub biskupim. Jeden z nich, według wszelkiego prawdopodobieństwa, malowany za czasów Zygmunta I-go, nosił cechę zaniedbania w sztuce, oznaczającego u nas ten okres dziejów; wyobrażał on mężczyznę ubranego w habit zakonu Św. Franciszka, a na wierzchu miał szyszak i zbroję, o ile rozeznac można było po zniszczonych czasem kolorach. Na stole w bawialnym pokoju leżał dyplom hrabiego Państwa Rzymskiego. Niesyt zagranicznego tytułu, Parys dążył niegdyś do dygnitarstwa koronnego, jakoż przeznaczył był 9,000 dukatów na wyjednanie u króla krajczowstwa; ale w trakcie negocyacji przyszedł rozbiór kraju i godność ta nie szczęśliwie ominęła naszego postulanta, który ilekroć spojrzął na dyplom leżący na stole, ciężko wdychał, mówiąc do swych zaufanych: „Nie tegoć ja pragnał, ale i za to Bogu dziękować, jako za łaskę darmo daną.”

Wypada tu powiedzieć, że w owym czasie szlachta poniekąd wstydziła się zagranicznych tytułów, a przynajmniej nie używała ich, gdy mogła je krajowemi zastąpić. Znaczna liczba rodzin posiadała te tytuły, zwłaszcza w Galicyi, gdzie się ich z przyczyn, o których wyżej mówiłam, wiele namnożyło; ale ktokolwiek mógł się nazywać panem wojewodą, kasztelanem, podkomo-

rzem, starostą i t. p. tytułami, zagranicznych już nie używał, chyba na francuzkich wizytowych kartkach. Polskie dawne tytuły tak były z zwyczajami i formami towarzystwa zespolone, że długo nie wiedziałam o familjém nazwisku pani wojewodziny krakowskiej, pani starościny olbromskiej, pana starosty cichowskiego, pani chorążyny krakowskiej, których w czasie zimy bardzo często widywałam. Tytuły zagraniczne, jak powiadam, pojawiały się na biletach lub zaproszeniach, i to u osób młodszych, gdyż stara generacya nasza poczywych siwoszów płci obojój, najczęściej imię i nazwisko swoje wypisywała po polsku i to własną ręką; rzadko kiedy były sztychowane. W tym czasie inny się począł był wkradać do nas zwyczaj, z którego się cudzoziemcy naśmiewali, choć źródło tego nadużycia od nich poszło; a nim była owa mania tytułowania wszystkich bezwzględnie zamożniejszych obywateli tytułem hrabiego, czy mieli prawo do tego tytułu lub nie, mianowicie na adresach. Każda polska obywatelka, jeżeli posiadała kilka wiosek i nazwisko jakkolwiek znane, odbierała listy z intytulacją: *à madame la Comtesse*, wzajem swoje także adresowała, a nadużycie to zwyczajem uprawnione nikogo ani dziwiło, ani gorszyło. Francuzi osiedli w owym czasie w Krakowie, a było ich kilku światłych, dobrze wychowanych i należących do szlacheckich rodzin pierwszej emigracyi; Francuzi mówię i w ogóle wszyscy cudzoziemcy, mając niezbyt może przesadzone wyobrażenie o polskiej próżności, która niestety! była i jest jeszcze naszą narodową wadą, w przekonaniu, że każdy szlachcic polski ma pretensję do hrabiostwa, bez skrupułu nasze panie i panów tą godnością obdarzali. I tak Polska przepełniła się hrabiami i hrabinami, których tytułem legitymacyjnym był list od sąsiadki, od respektowego francuzkiego *Monsieur l'Abbé*, lub od gubernantki Paryżanki. Szczęściem zwyczaj ten, sam z siebie śmieszny, bo na żadnej zasadzie nieoparty, już

prawie znikł zupełnie. Dziś w ogóle próżność od tytułów zwrócona jest w inną stronę, w stronę elegancji, komfortu, wygod i pieniędzy, które je dają, a do których każdy, byle tylko miał głowę na karku, ma pewną uzasadnioną pretensję. Jak dziś świat ceni ludzi po pieniądzech, tak nasi dziadowie cenili ich po tytułach. Dawny szlachcic polski dla tytułu byłby duszę swoją zaprzedał, a ta pochoptność nie była małą dla kraju kłeską. Największym było jeszcze za mojej pamięci wstydem nie móżdż choćby skromnego wojskiego tytułu obok imienia i nazwiska familijnego umieścić. Hrabia Parys mieszkał o granicę z niejakim Komorowskim, który się jakimś tytułem, już nie pamiętam jakim, zaszczycał, i jak zazwyczaj, oba sąsiedzi mieli z sobą graniczny proces z jego koniecznymi akcesoryami, to jest najazdami, bójkami na granicy, komissyami na grunt dla rozpoznania faktów i pogodzenia zwaśnionych. Owoż Parys nie mógł strawić Komorowskiemu jego krajowego tytułu, i ta okoliczność była powodem, że znaczny przeznaczył kapitał na dygnitarstwo koronne, przez które uzyskał sobie, że zaimponuje sąsiadowi. Wszakże Opatrzność, która nie zwykła się radzić ludzi, gdy jej się spodoba pomieszać szyki ich próżności i dumy, inaczej niż im wypadało pokierowała ich procesem i zobopólnymi pretensyami. Komorowski umarł, a Parys niebawem za nim do lepszego przeszedł świata, po kilkumiesięcznej chorobie w Krakowie, w domu Wizytek na przedmieściu, gdzie tymczasowe dla niego najęto mieszkanie. Moja ciotka, owdowiawszy po trzech latach małżeństwa, powtórnie zamieszkała w domu moich rodziców na Różanej ulicy, którzy zajmując obszerne piętro, urządzili dla niej ładny apartament, przedzielony tylko od głównego dużej jadalnej sali. Moja ciotka, jako będąca w załobie, nie wyjeżdżała, a nawet nie pokazywała się w salonie w dniach na przyjęcie przeznaczonych; ale za to w godzinach rannych całe do niej zjeżdżało się towa-

zystwo. Jedną z osób codziennie uczęszczających była pani Piotrowa Potocka, kasztelanowa lubelska, córka jej męża z pierwszej żony; miała ona przy sobie siostrzenicę, którą wychowała i dla jej edukacji lat kilka w Wiedniu przepędziła. Wprawdzie nie było talentu, któregoby panna Salomea w wysokim nie posiadała stopniu. Grała na fortepianie i na arfie, cudnie śpiewała i malowała, tańcowała z nieporównaną gracyą szala i gawota, bo trzeba wiedzieć, że w owych czasach tańce solo były bardzo w modzie. Wszystko to było miłe i zachwycające, zwłaszcza że panna Salomea, lubo nie odznaczała się znamienitą urodą, w udziale dostała figurę wysmukłą, cienką, pełną uroku i gracyi; a w tańcu solo wydawała się drobną, eteryczną, nieziemską istotą. Dodajmy do tego nóżkę utoczoną, zamkniętą w maleńkim, prawie dziecięcym trzewiczku, fantastyczne ubranie z piór i gazy, świetnie drapujące się na całej figurze, a mieć będziemy urzeczywistnienie uroczych postaci bohaterów zeszlowiecznych romansów. Nie ma wszakże prawdziwej doskonałości na tym świecie. Te istotne i świetne zalety przyćmione były przez jedną niedokładność w wychowaniu panny Salomei: nauczono ją wszystkiego, wyjąwszy sztuki zatrzymania się w porę w czasie popisu, aby uniknąć przesytu w słuchaczach, co zaiste jest najtrudniejszem. Pani kasztelanowa w chwilach wolnych odwiedzin Krakowa, rzadko bardzo u siebie przyjmowała. Gdy to nastąpiło, trzeba było wytrzymać całą próbę talentów panny, która kolejno szturmowała do uszu, oczu i admiracyi gościa. Ledwie wszedł do przedpokoju, już mu pokazywano bardzo sztucznie wyrabianą w róże i inne kwiaty słomiankę do przykrywania stołu, roboty panny Salomei. W sali jadalnej, przez którą przechodził, musiał okiem rzucić na różne wieńce, allegorye, bukiety i biusta, ściany jego zdobiące, jako pierwsze próbki poczynającego się artystycznego talentu panny Salomei. W salonie pokazy-

wano roboty olejne i pastelowe, wyobrażające portrety osób znanych, przyczem nie zaniedbywano wymienić z pośpiechem nazwisk, uprzedzając tym sposobem jakąś niefortunną omyłkę. Nie dając prawie odpoczynku gościowi, prowadzono go do drugiego pokoju, gdzie stał fortepian świeżo nastrojony, i tuż przy nim arfa paryzka precudnej roboty. Tu się rozpoczynał popis muzyczny, trwający około dwóch godzin, w którym najsłynniejsi kompozytorowie, jak Cimarosa, Cherubini, Mozart, Haydn i poczynający już Kossini, pod bieglemi panny Salomei palcami i za pośrednictwem jej prześlicznego sopranu, bogactwa swój cudnej harmonii roztańczyli. W końcu długiego wieczora dano do stołu. Tu admiracya spektatorów przecież spocząć mogła. W czasie wieczery, pani kasztalanowa nasycala się jedynie rozpowiadaniem szczegółów o trudnościach, jakie zwalczyc musiała, nim zdołała siostrzenicę umieścić na tym szczepku arcyzmu, na jakim ją obecnie towarzystwo widziało. Nie dojeżdżono jeszcze ostatniej salaterki galarety, kiedy nagle dały się słyszeć akordy jakby połączonych skrzypiec z basetlą i klarnetem. Nogi wszystkim zadrżały, mianowicie młodzieży, która pewna, że sobie tańcem długie nudów godziny wynagrodzi, jednym sussem przebiegła przestrzeń dzielącą jadalny pokój od salonu. Stoliki, stolki, krzesła, berżerki, nawet bardzo wówczas używane tak zwane serwantki z rozmaitemi porcelanowemi i srebrnemi naczyniami, do kawy i herbaty służącemi, poszły na bok; ochoczo zabierano się do skocznego mazura, kiedy nagle staje w środku salonu panna Salomea w pozie efektowej, z jedną nogą w powietrzu, z rękami wzniesionemi do góry, zabierająca się do solo tańca. Orkiestra na prędce zaimprowizowana, zagrała przeciąglą i melancholiczną nótę szala. Tu admiracya widzów, do najwyższego stopnia rozdrażniona, mimowolnem objawiła się ziewaniem. Wśród głębokiej ciszy przeszedł szal, manforino, gawot, cały

szereg modnych solo tańców, zakończony wśród oznak uwielbienia i szmeru pochwał ucieszonych z końca widowiska gości, których połowa, korzystając z zajęcia gospodyni tryumfem panny, cichaczem weześniej się wyniosła. Tak pani kasztelanowa, popisując się talentami wychowanki, jeżdżąc z nią do wszystkich stolic Europy, znacznie swój majątek nadwreżyła. Miała z tego powodu przykrą starość, do której przyłączyło się nader dolegliwe kalectwo, upadnięciem i złamaniem nogi spowodowane. Po jej śmierci spadek po wylikwidowaniu pozostałych długów, zniżył się do czystego zera, a panna Salomea, nie uczyniwszy żadnego wyboru, długo bawiła w Warszawie przy pani Brońców, żonie krewnego swojego, a marszałka dworu. Przyjechawszy z moim ojcem roku 1826 na mieszkanie do Warszawy, zastałam ją smutną, nieukontentowaną, przesyconą światem, jego oklaskami i poętami, i nie mogącą się od nich doczekać owego, tyle jej w młodości obiecywanego szczęścia. Gdy dojdziemy do tej epoki, może się znów choć na krótko spotkamy z panną Salomeą na którym z tych doskonałych, codziennie na kilkanaście osób dawanych obiadach u państwa Brońców, gdzie można się było ubawić i uśmiać, gdzie dowcip i wesołość samego gospodarza kazały gościowi o wszystkiem i nnem zapominać, wyjąwszy o przyjemnościach obecnej chwili w gościnnych jego progach.

Druga siostrzenica pani kasztelanowej lubelskiej była żoną hrabiego Morand'a, generała dywizyi i para Francyi. Tu pora sprostować niedokładność ustępu pamiętników pani Nakwaskiej, która z pewnym rodzajem lekceważenia dotknęła osoby ze wszech miar uwielbienia godnej, zwłaszcza gdy ją obwinia o zaniedbanie wychowania, co jest istnym fałszem, jak to sam później z jej historii czytelnik osądzi. Żałuję mocno, że

w téj chwili nie mam tych pamiątek pod ręką; nie pamiętam wyrażań, ale pamiętam to przykre wrażenie, jakie na mnie zrobiły.

Hrabianka Emilia Parysówna, zamieszkiwała z matką w Warszawie, kiedy w roku 1808 korpus francuzki marszałka Davoust'a konsystował w Księstwie Warszawskim. Te panie nie były wprawdzie bogate, ale żyły na stopie uczciwej, a węzłami przyjaźni lub pokrewieństwa związane z wielu tutejszemi rodzinami, uczestniczyły w uroczystościach dawanych wojsku francuzkiemu. Na jednym z tych świetnych zgromadzeń, poznał pannę Emilię generał Morand, jeden z najwaleczniejszych i najzdolniejszych Napoleona officerów. Należący do staréj szlachty departamentu du Doubs, dawniej Franche-comté, Morand nie był jak wielu z jego towarzyszy owym ciężkim, gburowatym zawadyką, tak zwanym *sabreur*, dla którego cesarz był religią, ojczyzną, nauką i zbawieniem, który nic nie widział tylko nieprzyjaciela, nie nie czuł tylko zapach prochu, nie znał innego prawa tylko ostrze swéj szabli, i ów krwawy i fantastyczny punkt honoru, co stanowiło jedyne życie duchowe dla napoleońskiego rękacza. Nie umiał być ślepém obcego ducha narzędziem, ale nosił zaszczytne znamię odwagi, kresę od cięcia pałaszem pod dolną wargą. W życiu prywatném, Morand był w całém tego wyrazu znaczeniu człowiekiem, jak to mówią *de bonne compagnie*, co to uprzejmy i towarzyski w sam raz, częściej milczał niż rozmawiał, rzadko chwalił a rzadziej jeszcze ganił, rzadko mówił o drugich, a o sobie nigdy; obok tych zalet był wysoko naukowy, szczególniej w sztuce wojennéj, o której pisał i drukował dzieła bardzo przez znawców cenione. Poważany od cesarza, byłby miał niezawodnie buławę, gdyby nie intrygi Davoust'a, który mając w nim pełnego odwagi i talentu zastępcę, nie rad go się był pozbywać, i wszelkie środki awansu dla niego tamował. Czytelnika ciekawego życia wo-

jennego Morand'a, odsyłamy do licznych opisów kampanij Napoleona, a mianowicie z lat 1812, 1813 i 1815, w których imię jego świetnie się odznaczyło. W roku 1808 był generałem dywizyi; poznawszy na jednym z balów p. Emilię Parysówną, jéj piękność i skromna a uroczą powierzchowność tak go zajęły, że od téj chwili poprzysiął sobie, że będzie jego żoną. Jakoż tego samego wieczora prosił księcia Józefa, aby go matce panny zaprezentował; nazajutrz oddał wizytę, która była przyjętą, a we dwadzieścia dni nastąpił ślub w kościele Sw. Krzyża, w obec księcia Józefa, Davoust'a i całego składu rządu i ministrów Księstwa Warszawskiego. Tegoż dnia generał zawiózł żonę do kwatery swojéj w pałacu Karasia, którego wschody i salony, oświecone *a giorno* i zyczącym francuzkim przyozdobione w żywe kwiaty, drzewa i krzewy, uroczy przedstawiały widok. Księżę Józef, jako pierwszy družba (*garçon de noce*) przyjmował panią młodą u drzwi pałacu Karasia, a pani Tyszkiewiczowa, zastępująca rodziców pana młodego, staropolskim zwyczajem ofiarowała jéj chleb z solą i cukrem. Księżę Józef miał na sobie ową historyczną ułańską generalską kurtkę, której się do syta można napatrzeć na wszystkich jego portretach, wstęgę orderu Orła Białego i krzyż komandorski znaku wojskowego polskiego *Virtuti Militari*, gdyż krzyżem pierwszego stopnia został dopiero przyozdobiony w roku następnym, po chwalebnej kampanii z arcyksięciem Ferdynandem, którego korpus 40-tysięczny wyparł z granic Księstwa i zajął Galicyę Zachodnią. Panna młoda ubrana była w tunikę białą brokardową, z przodu roztwieraną i prawdziwą koronką brahancką oszytą; na głowie miała gałązkę mirtu, bez welonu, który jeszcze nie był upowszechniony jak teraz. Księżę, podawszy jéj rękę, zaprowadził do przeslicznego, różowym atłasem obitego buduaru, w którym znalazła na marmurowym stole przeslicznój roboty, tak zwana

corbeille, białym obita aksamitem z jęj cyfrą na wierzchu złotem haftowaną, w niej zaś były oprócz malęj skrzyneczki z klejnotami (*écrin*) cztery szale tureckie, kilkanaście tuzinów par rękawiczek, sztuczne kwiaty, różnego kształtu i wielkości flakony z pachnidłami, i 30,000 franków w napoleondorach, które cesarz, zawsze hojny dla swych generałów, pannie młodej na szpilki przeznaczył. Kiedy się to działo, nie żyłam jeszcze na tym świecie, wszakże słyszałam te i inne szczegóły tyle razy przez Morandową i jęj matkę, panią Kajetanową Parysową, opowiadane, że tak mi tkwią w pamięci, jakbym się była na nie patrzyła. Oglądałam nieraz suknię ślubną, którą generałowa, jak religwie, w garderobie swojej przechowywała. Następna zima po ślubie przeszła dla nięj w blasku i upojeniu z nowego położenia. Osoby, które zapamiętały te czasy, (a znałam ich wiele), nie mogą się wypowiedzieć, jaki urok otaczał wojsko francuzkie, a mianowicie tę, która wdziękami swojemi podbiła serce jednego z jego przywódców; bo dawnięj, tak jak dziś, świat hołdował nie tyle rzeczywistęj zasłudze, jak ślepemu trafowi, zwykle szczęściem zwanemu. Ta sama p. Parysówna, o której świat mało mówił, a jeszcze się mniej nią zajmował, oświecona nagle promieniami wschodzącego szczęścia, cudną się stała w oczach tych nawet, którzy się nad nią złośliwie litowali. Nagle zjawił się jęj cały zastęp krewnych i przyjaciół z dalekich stron, którzy przypominając się jęj łaskawęj pamięci i protekcyi, ten o awans w wojsku dla syna, tamten o infule, inny znów o krzesło w nowo utworzonym senacie, upominali się, naiwny okazując podziw lub zgorszenie, gdy ich nazwisk i fizyognomij przypomnieć sobie nie była w stanie. Ale nie tylko żądano jęj usług, ofiarowywano się jęj z niemi; ze wszystkich stron łoże w teatrze, bilety na koncerta, role na teatru amatorskie, obrazy z żywych osób i szarady, spadały jak grad na nią; raptem świat się stał uczyn-

nym, pamiętnym, przyjacielskim, i wcale swych pochwał i uczuć nie zazdrośnym. A tak nasza bohaterka, która dawnięj na bale i uroczystości jeździła w skromnęj, najetęj remizie, miała na zawołanie kilkanaście karet, których nie potrzebowała; mnóstwo krewnych, których nie znała; niezmierną liczbę przyjaciół, którzy gdzieś z pod ziemi wyłazili, osypując ją niezasłużonemi dowodami przywiązania i poświęcenia bez granic. (Generałowa, nie wiele się zastanawiając nad nadziwną w jęj losie i usposobieniu świata zmianą, przyjmowała te demonstracye z wrodzoną sobie dobrocią i zupełnem zapomnieniem przeszłości. Są ludzie, których formalną potrzebą serca jest kochać i przebaczać; jak są inni żyjący jedynie nienawiścią, szyderstwem i zazdrością. W kilka miesięcy po ślubie pani Emilia wyjechała z mężem do Francyi. Kochała go z całą gorącością niewinnego i pierwszego uczucia, z głębokim wszakże smutkiem kraj swój opuszczała, z blizką i dalszą rodziną, z każdym niemal znanym jęj ziomkiem serdecznie się żegnała, każdy kącik skromnego matki mieszkanka, a mianowicie swojego panieńskiego pokoiku łzami skropiła, w ogródku uszczęknęła rodzinny kwiatek, zabrała szczyptę ziemi; drogie te pamiątki, w malęj zamkniętej skrzyneczce, nie odstępowały jęj nigdy w najświetniejszych i jak najboleśniejszych burzliwego jęj życia kolejach. Czula młoda kobieta, że jako żona i niezadługo zapewne matka, już więcj do obcego niż do swojego należy kraju; żegnała na zawsze ziemię, która ją zrodziła i wykarmiła, wspomnienia lat dziecinnych i młodocianych, grobowce swych przodków, na których w rzewnęj modlitwie pamięć swoją dla nich wylewała!... O! jakżeż bolesna to chwila pierwszy z kraju wyjazd, kiedy się nie przewiduje czasu powrotu; jest to prawie śmierć ze wszystkimi jęj następstwami, zapomnienia i ciszy!... Bóg przecięż udzielił generałowęj wielką

pociechę: matka jej towarzyszyła do Paryża, i miała nawet przy niej zamieszkać.

General, odwiozłszy te panie do Morand-Vol, swoich dóbr familijnych w departamencie de Doubs, gdzie je sądził być najbezpieczniejsze, sam odjechał do armii, która odbywała świetną roku 1809 kampanię austriacką. Był to pierwszy nader bolesny rozdział Emili Morand z mężem!... W końcu tegoż roku, po szczęśliwie podpisanym pokoju w Wiedniu, wrócił, i niebawem zawiózł żonę do Paryża, gdzie ją pragnął zaprezentować cesarzowej Józefinie i dać jej poznać ten dwór cesarski, o którym się tyle nasłuchiwała bajecznych prawie szczegółów. Nim jednak krawcy zdążyli przygotować stosowny ubiór dworski, nim jubilerowie zdołali przerobić brylanty według zmiennęj mody dworu napoleońskiego, kilka jeszcze upłynęło miesięcy. Tymczasem dwór wrócił z Fontainebleau, gdzie był zwykły jeśień przepędzać. Generalowa napisała do pani de Larochefoucauld, damy pałacowej cesarzowej, list z wyrażeniem prośby, aby jej wolno było złożyć hołd jej cesarskiej mości, oraz o naznaczenie dnia i godziny audyencyi. We dwadzieścia cztery godziny odebrała odpowiedź z grzecznym wezwaniem stawienia się nazajutrz o godzinie 11-jej z rana w Tuilleries przed śniadaniem cesarzowej. Kto miał jakąkolwiek styczność z dworem lub nawet czytał pamiętniki współczesne, wie, co to były śniadania cesarzowej, na które jedynie kobiety wzywano. Listę zaproszonych cesarz sam przeglądał, znieśniał lub zatwierdzał, czy uczestniczył sam w zebraniu, lub nie. Generalowa Morand, będąc przypuszczoną do prezentacyi przed śniadaniem, dnia tego cesarza w Tuilleries nie widziała. Ceremonia ta odbyła się według drażliwej i wymagalnej ówczesnej dworskiej etykiety. Ubiór dworski za cesarstwa, była to suknia zwyczajna, okrągła i tak nazwana *trena*, czyli ogon osobny z tąż samą

lub inną materii uszyty, do paska przy sukni przywiązany. Wyższość treny nad suknią z ogonem była ta, że ogona niemożna było przypinać bez uszkodzenia świeżości sukni. Gdy czasem potrzeba zachodziła, trzeba było ogon podtrzymywać na lewej ręce, kiedy *trena* łatwo się odpinała, a raz jej się pozbywszy, można było w tąż samą suknię z pokoiów zamkowych udać się na jakiś prywatny raut lub bal, jeżeli przedstawienie odbywało się wieczorem. Co więcej, *trena*, wijąc się szeroko od końca talii i rozkładając poważnie na posadzce, cudny tworzyła efekt, szczególnież też przy pięknej, wysokięj i wysmukłej figurze. Komuż ze starszych Warszawian nie jest pamiętną piękna i wspaniała postać pani Ordynatowej Zamoyskiej w dworskim kostiumie? Ale nie uprzedzajmy wypadków, bo i tak nas już ląją o nieporządne spisywanie tych pamiętników, a na krytykę wzgląd mieć należy, szczególnież gdy się objawia w sposób grzeczny i zachęcający.

Za Napoleona I suknia obcisła i stanik wązki, ci dwaj srodzy wysmukłej figury nieprzyjaciele, były jeszcze zabytkiem owego na Francję napadu greko-rzymskiej mody. Od roku 1819 staniki przydłużać się zaczęły, a w lat 10 później już do znacznej przyszły długości. W czasie pierwszego przedstawienia swojego w Tuilleries w jesieni r. 1809, jako w rannych godzinach, generalowa Morand miała suknię niebieską kaszmirową z ubraniem na głowie z brylantów. Tę suknię widziałam później w Krakowie zachowaną w całej świeżości, ale wyszłą zupełnie z mody i niezdatną do użycia. Ile to najpiękniejszych szalów tym sposobem zmarnowano!

Cesarzowa Józefina przyjęła naszą rodaczkę w salonie błękitnym, należącym do wewnętrznych apartamentów. Pani de Larochefoucauld wprowadziła ją i niebawem wyszła. Cesarzowa siedziała na berzerce w miernym oddaleniu od kominka, którego płomień

zabliżki raził jęj nerwową naturę. Po zwyczajnym potrójnym ukłonie, kazała jęj usiąść na taborecie naprzeciw siebie, i z wielką dobrocią zapytała jęj, czy pobyt we Francyi miły jęj jest, czy się niebardzo podróżą utrudziła, czy wiele krewnych w Polsce zostawiła i t. p. Potém mówiła o piękności Polek, a ton jęj pełen łagodności, w tym zwrocie rozmowy począł trochę zakrawać na *aigre-doux*. Wiadome były cesarzowej dawne stosunki jęj męża z panią, * co przy wrażliwém usposobieniu nie mogło jęj na stronę Polek pociągać. Wypytywała się o mody i zwyczaje polskie, o niektóre znane jęj osoby z towarzystwa w Warszawie, jak np. o panią Zajączkową, księżną Radziwiłłową z Arkadyi, panią Zamoyską, którą nazywała *votre belle comtesse* Zamiński. Mówiła wiele o dworze saskim, o królu, nazywając go *votre bon roi*, o księżniczce Auguście. Układ cesarzowej, łączący w sobie elegancję i prostotę, zdradzał damę prezentowaną na dworze Maryi Antoniny, którą arystokratyczne przedmieście St. Germain nie wzdrigało się za swoją przyjąć. Ale co najwięcej naszą rodaczkę ku nięj zniewalało, to jęj szczerą nprzejomość i dobroć, przyćmiona jakimś tajonym smutkiem; wówczas bowiem przeczuwała już biedna ofiara zmianę, mającą tak stanowczy wyrzucić wpływ na jęj i niewdzięcznego jęj małżonka losy. Wieść o rozwodzie złowieszczem echem obiegała już po salonach i na pokojach zamkowych; podawano ją sobie od ucha do ucha, ale dość głośno, aby doszła do cesarzowej, która nią niewypowiedzianie się dręczyła. Emilia Morand, nasłuchawszy się tyle o jęj wdziękach i nadzwyczajnej na jęj wiek świeżości, wyjść nie mogła prawie z podziwu, widząc ją prawie starą, żółtą, z gorączkowym i nienaturalnym rumieńcem, mającą już parę złe ukrytych na skroniach zmarszczek.

Rozmowa dość ożywiona trwała mniej więcej dwadzieścia minut; byłaby się może dłużej przeciągnęła,

gdyby szambelan służbowy nie był wszedł z oznajmieniem, że śniadanie podano. Cesarzowa powstała, i pożegnawszy naszą rodaczkę lekkim, ale przyjaznym ukłoniem, wyszła poprzedzona przez szambelana, a Emilia Morand, uszczęśliwiona przyjęciem, a może bardziej myślą, że przeszła już dla nięj chwila, której się tak niesłusznie obawiała, przeprowadzona przez panią Larochefoucauld, czekającą na nią w salonie służbowym, przebiegła ogromne sienie i szerokie marmurowe wschody pałacu, i sama nie wiedząc jak, wsiadła do karety, w której mąż na nią czekał. Musiała wytrzymać cały ogrom jego zapytań, czynionych ze zwykłą francuską żywością i bez czekania odpowiedzi; nie tak prędko zdołała mu porządnie opowiedzieć wszystkie szczegóły audyencji, najdrobniejsze wyrazy cesarzowej, nie wyłączając jęj ruchów, uśmiechu, które generał z całą pedanterią dworactwa mierzył, ważył, na wszystkie strony obracając i różne z nich czyniąc nadzieje i wnioski. Jakkolwiek Morand, jak już powiedzieliśmy, nie należał do owęj wielkiej rodziny napoleonowskiej, do której się liczyli Savary, Rapp i inni, co na skinienie półbożka zaprzedałiby ojca, matkę i samych siebie bez żadnego skrupułu, pragnął on wszakże, podobny w tym do wszystkich kręcących się koło wielkiego ołtarza, zabezpieczyć sobie jak można najlepsze stanowisko, a przede wszystkim obawiał się śmieszności, owęj obosiecznej a zawsze śmiertelnej we Francyi broni. Napoleon, który w widokach i planach swoich sięgał po za krańce cywilizowanego świata, chciał i w małym swych zaufanych kółku mieszać się w najdrobniejsze stosunki ich domowego życia; czasami ich karmił słowem, uśmiechem, które w pewnych okolicznościach stawały się wyrokiem okrutnym a nieodwołalnym. Morand najmocniej pragnął, aby cesarz wybór jego serca pochwalił, zwłaszcza że żona jego, jako cudzoziemka, była u dworu przedmiotem wielkiej ciekawości i niezawsze przyjaznych

wniosków. Kolledzy jego w sposób dość rubaszny objawili swój podziw z tak prędkiego ożenienia, i niezmyśloną ochotę uwielbiania czarodziejki, która tak silnie zając go mogła. Kobiety, zawsze nową gwiazdą niechętnie, tem skorsze do krytyki, im mniej przedmiot ich tajonej zazdrości na nią zasługiwał, za wczasu się już gotowały do owęj skrytęj, nieznacznej, ale nielitościwej walki, do której szczególniej je usposabiała ustalona reputacja powabności Polek. Szukał zatem biedny mąż sposobu najkorzystniejszego ukazania żony światu obcemu dla niej, ale wśród którego żyć i życia swojego dokonać było w jej przeznaczeniu. Trzeba było zacząć od przedstawienia w Tuilleries, które otwierało jej podówczas wszystkich przyjmujących salonów. Na trzeci dzień poddawali wizyty, i jak się to zwykle dzieje, nigdzie ich nie przyjęto, wyjąwszy w kilku domach w Faubourg St. Germain, dokąd pani Tyszkiewiczowa, zawsze dla niej łaskawa, podjęła się zawieźć młodą swą rodaczkę. Przedmieście to, reprezentujące ideę polityczną, nielitościwe w swoich przekonaniach i wyobrażeniach, było może jedynym punktem towarzyskim we Francji, dokąd tradycja wielkich cnot domowych, wierność starym i koniecznym podstawom społecznego porządku, wreszcie dobry smak, towarzyskość, gościnność, weselość, te starodawne cnoty Francuzów, jako tako utrzymały się w obyczajach i prostocie swojej.

Jakby na nowe tej niewątpliwiej prawdy stwierdzenie, że nieszczęście naprawia i ulepsza człowieka, klasa ta społeczeństwa, która swawolą i nadużyciami sprowadziła pierwszą we Francji burzę, przejęła od klasy mieszczańskiej wszystkie cnoty, które za monarchii tamtą zalecały. Pani Morand z wdzięcznością wspominała imiona księżny de Fitz-James, hrabiny de Noailles, księżny de Lugnes, i innych srebrnowłosych matron, które ją z prawdziwem macierzyńskim uczuciem przyjmowały, w jej tęsknocie do kraju pocieszały

i dobrocią swoją niejako rodzinę jej zastępowały. Z rozrównieniem opowiadała szczegóły o ich życiu domowym, pobożności, dobroczynności i tej poważnej prostocie, cechującej ich codzienne obejście. Duma, wyniosłość, zimno poważna ironiczna grzeczność, impertynencko uniżona uległość tak zwanemu przez nich nowemu rzeczy porządkowi i jego reprezentantom, chowały się jedynie na wielkie okazy. Wolno czytelnikowi nazwać opinie polityczne tej frakcyi francuzkiego społeczeństwa, znanęj pod jednem znaczącem wyrażeniem *Faubourg St. Germain*, uporem, przesadą, trupem. Co do tej kwestyi w żadnąby się tu z nim polemikę nie wdawała; jest wszakże w wierności każdej zasadzie, choćby ta była czczą tylko utopią, pewny urok, od którego wpływu rzadko kto z nas wolnym być umie. *Faubourg St. Germain*, stale przywiązane do błakających się po Europie swych książąt, stało się prawie potęgą w oczach tego, który tron świata dzierżył. Jego bożyszczem była nie ziemską, ale męczeńską koronę, a jego bronią owa ciągła niezmienna, nawpół otwarta opozycja, objawiająca się poważnym milczeniem lub rotowym ogniem sarkazmów, uśmiechów, półślówek, daleko boleśniejszych niż otwarta wojna, bo niedających się objąć w żadną procedurę lub stanowczy fakt karogodny. Dla tego to tyle praktyczny a wszystko do najmniejszych szczegółów położenia swojego obejmujący geniusz Napoleona czuł, że dla utrzymania świetności laurami otoczonego ale zawsze improwizowanego tronu, potrzeba powołać znów do stop jego żywioł, który go przez kilkanaście wieków podtrzymywał — starą szlachtę. Miłość jego własna, a miał jej wiele, szeptała mu do ucha, że jeżeli łatwo jest tworzyć nowe tytuły, nowe nawet państwa, nie tak snadno jest utworzyć zasadę; krótko mówiąc, miał koło tronu swojego szlachtę, która w powierzechowości, obejściu, nawyknięciach

i wyobrażeniach niezupełnie zdołała zwalczyć swoje *wczoraj*, aby ono harmonizowało z wymagalnościami jutra. Porównywał on w duchu postawę pełną nieudanej wytworności owych starych wypudrowanych peruk, w obec swojej krótkowłosej, złożonej, ale rubasznej świty. Ta sprzeczność, nietyłe rażąca w mężczyznach, bo u nich laury zwycięstwa wszystko pokryć zdolne, w damach jego dworu przeraźliwie świeciła. Ztąd to ów system zjednoczenia (*fusion*), który razem z systemem kontynentalnym był nieustannym przedmiotem rozległych cesarza planów, co więcej, jeżeli nie krwawej, to niemniej niebezpiecznej walki, a czasami bardzo zręcznej dyplomacji. Wszakże ten system zjednoczenia nigdy w zupełności nie dojrzał i zawsze słabem i wątpliwem tylko wegetował życiem. Mimo związków rodzinnych, łączących oba obozy (nową i starą szlachtę), strony zadaleko od siebie były, aby serdeczną sobie dłoń podały. Wiadomo zresztą, czém były małżeństwa cesarską dyplomacją kojarzone; poszły one w przysłowie, i tak być musiało. Faubourg St. Germain daleko więcej sympatyzował z Polkami, już to będącemi na dworze Napoleona, już czasowo w Paryżu przebywającemi. Inna jeszcze tego zbliżenia mogła być przyczyna. Polki, naśladowując nawet Francuzów, zatrzymywały zawsze w obejściu i powierzchowności coś swojskiego, odznaczającego się, jakiś kwiat dobrego tonu, o którym zwyczajne Francuzki wyobrażenia nie mają, co z naturalnego rzeczy porządku musiało bardzo być w arystokratycznym przedmieściu cenione, bo formy towarzyskie są wszędzie jedne i te same. Nasza rodaczka, jakkolwiek ze stosunków i położenia swojego męża do przeciwnego należąca obozu, silna opieką i sympatią pani Tyszkiewiczowej, z całą serdecznością do starych peruk przyglądała, i znalazła się tylko między swojemi koleżankami, gdy bez narażenia męża na niełaszkę, uczynić

nie mogła. Pierwszém w ten nowy dla niej świat wstąpieniem była uroczystość polowania, dana cesarzowi w Grosbois przez marszałka Berthier'a, na której cały dwór miał się zgromadzić. Nasza rodaczka nigdy się jeszcze na żadnej dworskiej fecie nie znajdowała; bliższe widzenie cesarza, o którym się tyle od dzieciństwa nasłuchiwała, było celem jej niecierpliwego oczekiwania i gorących życzeń. Generał, który bardzo pragnął, aby jego żona ściągnęła szczególną uwagę cesarza i ogólnie się podobała, z tego pierwszego jej wystąpienia zrobił główny cel chwilowego swojego zajęcia. Żadna kokietka najwytworniejsza, najkapryśniejsza nie poświęca więcej czasu przyborom swojej toalety, niż Morand przy wystąpieniu swojej żony na polowanie w Grosbois. Zwołano krawców, szwaczki, modniarki, kupców, fryzjerów, którzy przez dwa tygodnie nie przedstawiali zalegać pokoju gotowalnianego generałowej; główny wszakże kierunek toalety przyjęła na siebie znana z wytwornego smaku pani Tyszkiewiczowa. Po długich korowodach, krętaninach, zawodach, dzieło dokonane zostało i nasza rodaczka, piękna, wysmukła i hoża blondynka, ubrana do koloru twarzy i płci swojej w błękitną ze srebrem suknią, wsiadła do karety, drżąc prawie od strachu, napół zgięta, aby nie popsuć ubrania głowy, i zabierając całe tylne w powozie miejsce. Morand, ubrany w swój kapiący od złota mundur, nieśmiało i oględnie, aby sukni żony nie zmiąć, usiadł na przedzie, gdzie w najniewygodniejszy sposób drogę z Paryża do Grosbois przebył. Co to jest mężowska próżność?... Nie będę tu opisywała tego polowania, odsyłając czytelnika do licznych opisujących go pamiętników, które jako przez naocznych świadków podane, lepiej go zadowolić potrafią; nie będę tu także wspominała o owej słynnej mistyfikacji w alluzji do projektowanego już rozwodu cesarskiego, w sztuce dnia tego granęj, nader niewinnie

umieszczonej ⁽¹⁾, o tajoném nieukontentowaniu cesarza, boleści cesarzowej i niesłychanym kłopotie marszałka gospodarza, który mszcząc się za ten cios jego dworactwu zadany, byłby chciał zgnieść w ręku niewinnego aktora, tak niebezpieczną wypowiadającego prawdę, i samego siebie, karząc się za własną nieprzezorność w wyborze sztuki. Nie będę się zatém wkładała w prawa pamiętników czasy te malujących, ale pójdę raczej w ślad naszej rodaczki, która tego wieczora palmę zwycięstwa nad wszystkimi rywalizującymi z nią pięknosciami odniosła.

Generałowa, odgadnąwszy od razu wrażenie, jakie uczyniła, ośmielona szmerem zadowolenia, które koło siebie za każdym uczynionym krokiem wywoływała, mimo koniecznie kłopotliwego położenia gospodarza, bawiła się wybornie. Powodzenie to tém więcej było stanowcze, że nie wiele mogła się bać współzawodnictwa, gdyż jak mówi pani d'Abrantes o kobietach należących do tak zwanéj przez nią „rodziny militarnéj” Napoleona, ledwie się dwie z nich znalazły, któreby zwać się u nas mogły mierną pięknoscia. Najznaczniejsza z nich liczba należała do rasy kobiet południa, o dwóch czarnych, małych świecących oczach i kręcących się, lśniących włosach czarnych; niskie, chuderlawe, literalnie gnące się pod ciężarem brylantów i drogich kamieni, których każda miała znakomitą ilość. Wieczorem, gdy całe towarzystwo przeszło do sali koncertowej, przed pierwszym poruszeniem smyczka, nagle główne podwoje roztwierają się: wchodzi cesarz ubrany w tradycyjny mundur strzelców konnych gwardyi, zielony

z białemi wyłogami, bez żadnych ozdób oprócz żołnierskiej ozdoby legii honorowej, którą zwykł był nosić, w towarzystwie gospodarza marszałka Berthier'a i generała Duroc'a. Mężczyźni stojący w środku sali, ścisnęli się, aby zrobić miejsce cesarzowi, damy wszystkie powstały z krzeseł. Napoleon bystrym wzrokiem okrążył salę, a spojrzawszy w stronę, gdzie była pani Morand, zamienił pocichu kilka słów z gen. Duroc'iem, poczem szybkim krokiem stanął niespodzianie przy pani Morand, skłonił się zlekka, zapytał, jak dawno kraj swój opuściła, dla czego jęj nie widział w czasie swéj bytności w Warszawie r. 1807, i dodał grzecznie, że pragnie, aby się w Paryżu dobrze bawiła, i że nigdzie piękniejszych nie widział kobiet niż w Polsce. Nasza rodaczka nie była z tych natur bardzo nerwowych; wszakże cesarz tak jakoś niespodziewanie na nią natarł, że chwilowo straciła przytomność i wszystkie przewidziane odpowiedzi, które jęj mąż i pani Tyszkiewiczowa nasuwali byli w razie rozmowy z cesarzem, wyszły jęj z pamięci. „Moje pomieszenie, mawiała często generałowa na owych kominkowych zebraniach na Różanéj ulicy, o których wspominałam, moje pomieszenie nie było skutkiem magnetycznego wpływu wzroku Napoleona, o którym mi tyle mówiono, ale miało inną zupełnie przyczynę. Nieszczęście chciało, że generał (jak zawsze męża nazywała) stał w pośród grupy adjutantów cesarskich, wprost mnie, a za cesarzem. Nasze wejścia spotkały się: wzrok generała był tak błagalny, a później tak gniewny, że mi odjął resztę odwagi, która mi tak potrzebną była.” Przecież tak zwana przez męża *dindonnerie* pani Emilii nie zrobiła na cesarzu złego wrażenia. Nie czekając zwyczajem swoim odpowiedzi na pytania, okrążał dalej koło dam, kiedy spostrzegłszy Morand'a stojącego opodal, przystanął chwilę i rzucił mu te słowa w swojej jędrnej i treściwej

(1) W tej sztuce, której ani tytułu, ani autora nie pamiętam, jeden z aktorów grający pryncypalną rolę, oświadcza, że musi się rozwieść z dotychczasową małżonką, i inną pojąć dla zapewnienia sobie sukcesorów.

(Przyp. aut.)

mojcie: *Morand, votre Polonaise* ⁽¹⁾ *est jolie, je vous en fais mon compliment.* Te czarodziejskie słowa dostateczne były dla złagodzenia złego humoru generała; zbliżywszy się do żony, ścisnął jej rękę, jakby za nie dziękując. Przecież się ta uroczystość skończyła, jak się wszystko na świecie kończy. Cesarz był prawie ciągle zachmurzony, jakby przeczuwał, ile plan jego rozvodu, w tej chwili właśnie układany, gotował mu wyrzutów sumienia, klęsk i nieszczęść. Widok dobrej Józefiny, usiłującej pod smutnym uśmiechem łyzy swoje zataić, nie uspasabiał ani cesarza, ani gości marszałka Berthier'a do wesołości. Rozjechano się dość wcześnie, a pani Morand, wsiadłszy do karety, Bogu dziękowała, że przecież dzień ten, który ją tylko zachodów, kłopotu i trwogi nabawił, szczęśliwie przeszedł. Mimo wielkiego powodzenia w świecie, sercem i przekonaniem odda-

(1) Ta szorstkość Napoleona w obęjsiu z kobietami nawet w dobrych swoich chwilach, kiedy chciał być grzecznym, przypomina anegdotę opowiadaną mi w młodości mojej przez niedawno zmarłą miłej bardzo pamięci dla wszystkich, którzy ją znali, generałową Izydorową Krasieńską, dla której pobyt Napoleona i Francuzów w Warszawie w r. 1807 był bardzo pamiętnym. Otoż jednego wieczora na koncercie danym na pokojach w zamku, znajdowała się wówczas pani * Ję szlachetne rysy, pęc biała jak alabaster i przeslicznego karminu policzki, zajęły były cesarza. W chwili dobrze upatrzonej, zbliżywszy się do ję stołka, usiadł obok, a wpatrując się w bukiet wpięty w ję włosy, z którego spadająca gałązka pigła się na ję labędziej szyi: „Madame, powiedział cesarz, les roses de votre coiffure ne sont guere blanches.” „Sire!” wyjąknęła przerażona zagadniona... „Sans doute si on les compare à la blancheur de votre cou.” Nie wiem, czy jak dorobkiewicz nie byłby się zdobył na concept zręczniejszy i w lepszym guście. Trzebaż coś przebaczyć geniuszowi; nawet brak salonowego dowcipu, i powtórzyć za panią Walewską, której cesarz, odprowadziwszy pewnego razu na swoje miejsce po przetańcowanym kontredansie, powiedział: „Madame, je danse bien mal.” „Trop bien pour un heros,” rzekła w swoim entuzjazmie pani Walewska.

na mężowi i obowiązkom, nie bardzo do niego lęnęła. Wyjeżdżała z domu wtenczas tylko, kiedy ze względu na położenie męża inaczej czasem swoim rozrządzić nie mogła. Później zaś, gdy została matką i wbrew przyjętemu we Francyi obyczajowi, sama dziecię swoje karmiła, tém mniej w towarzystwa uczęszczała. Napoleon, wysoko ceniący cnotę kobiet, kilka razy mówił o niej z szacunkiem, nawet w obec młodych dam pałacowych. Ile razy widział Morand'a po za służbą, nie zaniadbywał pytać się o ję zdrowie i to w słowach bardzo dla niej pochlebnych. Wysoce także považał samego generała. Gdy się im pierwszy syn narodził, pozwolił się nazwać jego ojcem chrzestnym i ochrzcić go swoim imieniem. Hrabia Lavalette, krewny Józefiny, dopełnił tego obrzędu w imieniu cesarza, zwiędzającego w tym czasie z cesarzową Maryą Ludwiką Hollandyę i nadreńskie prowincye.

Wpółród tej mieszaniny honorów, światowych powodzeń, domowego szczęścia i rozkoszy macierzyństwa, upłynęło lat trzy; nadszedł złowieszczy i ponuręj pamięci rok 1812. Armia francuzka śpieszyła za Ren w pełnej nadziei nowych laurów zwycięstwa. Morand wymaszerował na czele swojej dywizyi, tworzącej awangardę korpusu Davoust'a. Generałowa była już matką dwojga dzieci. Jakież pióro zdoła określić boleść rozstania się z mężem, którego tém więcej kochała, że mu poświęciła wszystko. Przeczuwała biedna kobieta okropności tej nowej kampanii, ale odjazdowi męża przeszkodzić nie mogła. Odprowadziła go do granicy, a sama nie mogąc znieść myśli powrotu do Paryża i ukazania się światu w chwili, gdy ję mąż narażony jest na wszystkie niebezpieczeństwa wojny, pojechała do Morand-Volu, gdzie w wiejskim zaciszu, przy matce, otoczona dziećmi, łyzy swoje, nadzieje, boleść i gorące do Boga modły ukryła. W tej to dawniej rodzinnej męża swojego siedzibie, powiła mu drugiego syna, któremu na

imię było Alfons. Pani Morandowa nie miała nawet téj pociechy, aby się cieszyć odpowiedzią ojca na list jęj matki, donoszący mu o tym wypadku. Morand przez trzy miesiące nie dawał znaku życia. W końcu trzeciego miesiąca odebrano w Morand-Volu numer *Monitor*a, ogłaszający ów nieszczęsny 29 bulletyn wielkiej armii! Generałowa leżała w gorączce nerwowej, spowodowanej niespokojnością i bezsennymi nocami, które ją trawiły. Matka długo tała przed nią ważny ten dokument; w końcu, gdy już córka miała się znacznie lepiej, zmuszoną była opowiedzieć jęj co zaszło. Generałowa na pozór dość spokojnie wiadomość tę przyjęła; — było to rano, w czasie chłodnego dnia jesiennego. W milczeniu i zamyśleniu długo przechadzała się po ogrodzie. W końcu usiadłszy koło matki na ławeczce pod starożytnym kasztanem, blada, ale na pozór spokojna, taką z nią zawiązała rozmowę:

— Zdrowa jestem, nieprawdaż matko?...

Ton, z jakim te słowa wymówiła, trwogą panią Parysową przejął.

— Alboż co, moje dziecko?

— Czyż myślisz matko, że jedyna córka twoja zapomniiała nauk, jakieś jęj dawała? Czyż ja tylko po to ojczyznę moją opuściłam, abym z moim mężem świetne jego losy dzieliła, a nie znajdowała się przy nim, gdy jest narażony na trudy, niebezpieczeństwa, śmierć nawet?

— Wiem, co chcesz przez to powiedzieć i pochwalam twój zamiar; ale nie dziś. Nie wiesz, gdzie go szukać, komunikacye są przecięte; zdaje się, że ci, którzy się naszymi sprzymierzeńcami zwali, dziś przeciw nam zwracają się. Jak mówią, cała Rzesza Niemiecka jest w fermentacyi, co chwila trzeba się spodziewać zmiany na naszą niekorzyść: jakież więc masz sposob dostania się do męża? A choćbyś go cudem jakimś wynalazła,

to dla tego, abys go własném twojém niebezpieczeństwem podwójnie zrobiła nieszczęśliwym.

— Wierzaj mi matko, skoro mnie zobaczy, zapomni o mojem nawet niebezpieczeństwie... Ja czuję, że obecny stan mój jest nad moje siły; niech wiem, co się z nim dzieje, albo niech dzielę jego trudy, niebezpieczeństwa... śmierć nawet samą.

Tu generałowa rzuciła się matce do nóg.

— Bogu i tobie dzieci moje w opiekę oddaję: jutro wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do niego.

— A czyż wiesz, gdzie on się w téj chwili znajduje?

— Gdzieś być musi.

— Czyż zastanowiłaś się nad niebezpieczeństwem podróży dla kobiety samęj wśród przechodów wojska, przejeżdżającej przez kraj nieprzyjacielski, przepełniony maruderami tylu narodów?

— Dla mnie wszystko jest znośniejsze niż niepewność.

Matka, widząc, że nie postanowienia córki zmienić nie zdoła, zezwoliła, ale pod warunkiem, że jęj da czas przedsięwziąć środki konieczne, jeżeli nie dla zupełnego jęj podróży bezpieczeństwa, to przynajmniej zapewnienia wszelkich do tego możliwych sposobów. W tym celu napisała do księcia arcy-kancelerza, którego osobiście знаła, z prośbą, aby jęj córce, chcąc jęj do męża do Rosyi, mógł być udzielony konwój dla odprowadzenia ją na miejsce. Cambacères, mocno wówczas zajęty interesami państwa, gdy ster rządu w czasie regencyi młodej cesarzowej pod jego wyłącznym zostawał wpływem, tak wielkim przejął się szacunkiem dla téj odważnej kobiety, pragnąc jęj z mężem

dzielić niebezpieczeństwa i okropności odwrotu, że natychmiast przesłał następujący odpis, którego kopia nie wiem jakim sposobem, znalazła się w papierach mojego ojca, i którą tu dosłownie wypisuję:

„Cabinet de l'Archichancelier.

Paris, 10 Decembre 1812.

A madame la Comtesse
Parys.

Madame,

C'est avec une douleur profonde que j'apprends la détermination de madame la Comtesse Morand d'aller rejoindre son mari. Par les circonstances actuelles c'est plus qu'une imprudence, et j'aime à croire qu'en mère tendre et éclairée, Vous avez usé de l'influence, que Vos droits Vous assurent sur l'esprit de Votre fille pour l'en dissuader. Si toutefois madame la Comtesse persévère dans son projet, je transmets avec la présente l'ordre au préfet de Besançon de tenir à sa disposition l'escorte nécessaire, afin que son voyage éprouve le moins d'entraves et de dangers possibles.

Recevez madame l'assurance de la considération avec laquelle,

j'ai l'honneur d'être
Votre très-obeissant serviteur
duc de Parme.”

Prefekt w Besançon, który miał sekretne instrukcje, zwlekał z dnia na dzień zamierzoną pani Morand podróż, tak, że od daty listu księcia arcy-kanclerza do wyjazdu generałowej trzy tygodnie upłynęły. „Były to dla mnie, powiada, trzy tygodnie nieopisanych męczarni. Nie miałam dnia i nocy spokojnej. We dni każdy

szelest, stąpanie po wschodach, turkot kół na dziedzińcu, mówienie po cichu, niepojętą przejmowały mnie trwogą. W nocy okropne sny przebudzały mnie: widziałam w nich generała bladego, zakrwawionego, wyciągającego ręce po ratunek, lub leżącego martwego na polu trupami zasłaném. Biedna moja matka nie wiedziała, jak układać swoją twarz, chód, mowę, aby mnie nie przestraszyć. Jeżeli ją widziałam smutną, niezawodnie był to dowód jakiś złej nowiny; jeżeli zaś była wesołą, to pod płaszczem dobrego humoru nieszczyćście taić usiłowała. Na twarzach osób mnie otaczających same tylko okropności i strachy wyczytywałam.”

W czasie tak krytycznym dla niej, generałowa karmiła dziecko. Mały Alfons, nocami bezsennymi, krzykiem i nieraz konwulsjami przyplacał ten okropny stan matki. Okazała się niezwłocznie potrzeba odsadzenia go, zwłaszcza że było szaleństwem puszczać się z kilkumiesięcznym dzieckiem w daleką, i to jeszcze zimową porą podróż. Wreszcie po długich niepewnościach, głównie z uwagi, aby pani Morand, w skutek nerwowego swojego usposobienia, nie dostała obłędu, musiano dzień wyjazdu naznaczyć na ostatni Grudnia. Zajeżdżała przed zamek w Morand-Valu ta sama karetka podróżna, którą posłużyła pani Morand do przejazdu z Polski do Paryża. Biedna Emilia rzuciła się do nóg matce, prosząc o błogosławieństwo, uściśkała dzieci i odważnie wsiała do karety; obok niej służąca garderobiana, którą jeszcze z Polski wywiozła, a na koźle przy pocztylionie podoficer żandarmów konwojujących, których było dwóch jadących tuż przy powozie. Któż opisać zdoła boleść generałowej po rozstaniu się z matką i dziećmi? Jechała z całym przeświadczeniem niebezpieczeństw, jakie miała przed sobą, i przekonaniem, że już więcej nie wróci. Jednak miłość dla męża i uczucie obowiązku wszystko przemogły; im dalej oddalała się od domu, tém więcej nabierała odwa-

gi. Jechała dniami i nocą wśród leśnych okolic, napelnionych powracającymi z Rossyi dezterterami wszystkich narodów, zgłodniałymi, nagimi prawie i wyciągającymi rękę po kęs chleba, lub po prostu rabującymi i rozbijającymi po drodze. W przejeździe swoim przez Niemcy, była nieraz wystawiona na największe niebezpieczeństwa, a nawet na bójki eskorty z mieszkańcami wiosek, którzy na drodze ich zatrzymywali pod pozorem wizowania paszportów. W kraju tym opinia publiczna, zawsze niechętna Napoleonowi, rozochociona wieścią o jego porażce, głośno swoją sympatję za wrogiem Francuzów objawiać zaczęła. Nie dziw więc, że przejeżdżająca generałowa francuzka z konwojem, niechętnie przyjmowaną była. Na drodze z Moguncyi do Kolonii, mała podróżująca kolonijka winna była jedynie swoje ocalenie chyżości pocztowych koni. W przejeździe przez wieś o mil 4 od Kolonii zatrzymano ją, i niby gdy się przyglądano pasportom, z po za domów wypuszczono cztery wystrzały pistoletowe, które szczęśliwie nikogo nie raniły. Pocztylion przestraszony zaciął konie i kareta szybko potoczyła się po twardój drodze, w obec zdziwionych wieśniaków, którzy jęj już zatrzymywać nie śmieli. Czterech z nich najzapalczywszych puściło się przecież w pogoń, ale chyżości koni podołać nie mogli. Generałowa, zwyczajnie słaba i nerwowa kobieta, w tój podróży stała się prawdziwą bohaterką. W największych niebezpieczeństwach nie traciła odwagi, przeciwnie sama obroną kierowała. W Dreźnie, gdy lud się kupił koło hotelu, gdzie stanęła na nocleg, z porady tamtejszego komendanta kazała żandarmom swoim przebrać się po cywilnemu, co jęj podróż bardzo ułatwiało, gdyż przejechała prawie resztę Niemiec bez żadnego wypadku. We Frankfurcie nad Odrą była poznana przez jednego Sasa, który kiedyś służył w dywizyi jęj męża. Nad ranem zrobiono jęj kocią muzykę, co ją zmusiło do wcześniejszego opuszczenia miasta.

Na granicy Księstwa Warszawskiego od granicy pruskiej, przyaresztowano ją pod pozorem fałszywych pasportów, i o mało nie przyszło do krwawej bójki między eskortującymi ją żandarmami, a strażą pograniczną pruską. Dopiero gdy generałowa przemówiła po polsku do jednego z urzędników, który był Polakiem, puszczono ją bez trudności, i drogę przez Kalisz do Warszawy spokojnie odbyła. Tkliwe było przywitanie pani Morand z rodzinną swą ziemią. Tu każdy krajobraz, każda wieś, każde niemal drzewko, jako dawnego witała znajomego. Piaszczyste okolice, najbrzydsze może w kraju, któremi przejeżdżała, rajem jęj się prawie być zdawały; przyglądała im się jakby były cudem natury. Ale któż z wracających z za granicy po kilku latach nieobecności w kraju nie doznał tego uczucia na widok rodzinnych stron?... U generałowej wrażenie to wzmagalo się w miarę, jak się do Warszawy zbliżała. W chwili, gdy wyjeżdżając z za krzaków ukazały się jęj zdala gmachy marywillskie, wieże śto krzyżkie i tyle innych pamiętnych jęj gmachów stolicy, cała upłyniona przeszłość, jęj dzieciństwo, młodość, poznanie się z mężem i ślub, kolejno jęj się w żywych przesuwały obrazach. Wszystko, co widziała, ożyło w jęj oczach: drzewa allei, kamienie domów, wieże kościołów witały ją w rodzinnym grodzie, wypadki zaszły w czasie jęj niebytności opowiadały, ukochały jako wracającą wspólnęj matki córę. Przejechawszy rogatki, pierwszy powóz, jaki generałowa spotkała, była próżna dorożka, jadąca ku miastu. Nagle bez namysłu zatrzymuje pocztyliona, rozkazuje zdziwionemu żandarmowi zatrzymać dorożkarza, sama otwiera drzwiczki od karety, i jednym sussem znajduje się w dorożce w obec zdumionych tęj sceny świadków.

— A gdzie jaśnie pani jechać każe?—zawołał dorożkarz, nie mogący wyjść z podziwienia, że się ktoś znalazł i to jeszcze piękna pani podróżną strudzona,

która przekładała jego na wszystkie boki nachylając się kolase, nad obszerną, wygodną i doskonale noszącą angielską karetę!...

Generałowa, kazawszy jechać za sobą ludziom swoim i eskorcie, uradowana widzeniem Warszawiaka, wdała się z nim w gawędę.

— Co tu u was słychać? — z bijącym zapytała go sercem.

Wylękły prawie dorożkaż, na widok groźnej i wąsatą eskorty nieznajomą pani, odpowiedział dość śmiało, jak na człowieka, który się boi.

— Wszystko dobrze, jaśnie księżno, wczoraj go-rzało na Ordynackim.

— Jakto? mieliście pogorzel?...

— A juźci, gadali w narożnym szynku, że trzydzieści domów zgorzało.

— Ach! dlaboga, i nie było wypadku?

— Ej, gdzie tam, spadająca belka aż dwoje dzieci naraz zabiła.

— Szkoda, szkoda... I coś więcej słychać?

— Wszystko dobrze jaśnie księżno: gadali tam także, że nasi mają rejterować.

— Co mówisz? — wyjąknęła zbladła i drżąca generałowa.

— Ah, tak, bo Rossyanie są już w Jabłonnie.

Na tę niespodziewaną wiadomość, biedna nasza podróżna oparła się prawie nieżywa o tył dorożki. Myśl, że jako żona nieprzyjacielskiego generała może dostać się do niewoli, przeszła ją jakby dziesięciu sztyletami; prawie bezprzytomna kazała jechać dorożkarzowi co koń wyskoczy do hotelu Angielskiego. Któż nie wie, co to jest dorożkarz warszawski? Jak w roku 1855, tak i w roku 1813 był zawsze ten sam: fizyogno-mia jego nic się w tym czterdziestoletnim okresie nie

zmieniła, wyjawszy, że dziś nazywa się dorożkarzem, a wówczas cudzoziemską nazwę fiakra nosił. Wówczas, jak dziś, miał on swoje statystyczne wyrachowania i spostrzeżenia co do mniej lub więcej zamożnej swojego jaśnie pana prezencji, i swoje względy stosownie do ich rezultatu miarkował. Każdy dorozumie się, że na rozkaz nieznajomą pani, rzucającej mu w sukienną jego czapkę napoleondora, zaciął konie, i kolasa szybko się po nierównym warszawskim bruku potoczyła. Jakkolwiek ulice były puste, bo mieszkańcy na wiadomość, że obce wojska zbliżają się do murów miasta, siedzieli w domach zamknięci, przecięć kilku zabłąkanych zbieraczy nowin stawało, wpatrując się w dorożkę jadącą *ventre a terre*, i unoszącą piękną z wyrazem przestrachu na twarzy młodą osobę, a za nią sunącą się karetę i dwóch ludzi na koniach. Ledwie podróżna wysiadła w bramie hotelu, mnóstwo osób obiegło już powozy, tak, że wychodzący naprzeciw gości szwajcar ledwie się mógł do nich dostać. Przybyli zażądali pokojów: wskazano im ten sam apartament, w którym Napoleon na kilka tygodni wprzód wysiadł i ambassadora swojego, niefortunnego w odgadywaniu ludzi i wypadków księcia Pradt'a, przyjmował. W pokoju sypialnym stało jeszcze łóżko cesarza nierozzebrane, stolik, na którym pisał, okrawki papieru, pióro, kałamarz, które troskliwa o zachowanie pamiątek historycznych właściciel hotelu ręka na wiele tam lat pozostawiła. Podróżna, korzystając z zajęcia ludzi hotelowych znoszeniem rzeczy, z ostrożnością wy-pytywała szwajcara, co się w mieście dzieje; dowiedziała się, że władze Księstwa ustąpiły z Warszawy do Krakowa i że nazajutrz bardzo rano rosyjski generał Tormansow ma zająć miasto. Mocno tą wiadomością skłopotana, oddała szwajcarowi swój pasport, zatrzymawszy przy sobie pasporta swojej eskorty; służącej spać pójść kazała, sama zaś zostawszy w pokoju, część nocy bezsennie przetrwała, przemyślając nad sposobem

wydobycia się z niebezpiecznego położenia, w które ją jej własna nieprzezorność wtrąciła. Widziała się sama jedna w mieście zdobytém, narażona na wszystkie wypadki wojny, w zupełnej niewiedomości o losie męża, dla którego tyle trudów i przykrości podjęła. Wyrzuciła sobie swój rozdział z dziećmi, które na podwójne naraziła sieroctwo; a ta myśl była jej najdotkliwszą!... Lecz chwila rozpacz nie długo u niej trwała.

Rzuciwszy okiem na medalik Matki Bożkiej Czeszochowskiej, który zawsze przy sobie nosiła, ukłękła, i mówiąc ulubioną sobie szczeropolską modlitwę: *Pod Twoją obronę*, czuła się pokrzepioną, i mogąc już zdrowiej ocenić swoje położenie, od razu sobie plan postępowania ułożyła. Zadzwoiła na służącą i kazała przywołać wachmistrza eskorty, nazwiskiem François. Służył on niegdyś w półku karabinierów starej gwardyi; ogorzała twarz, czerwona wstążeczka, wąs zawieszisty, pełne energii wejrzenie, trzy wydatne rysy na czole świadczyły wymownie, że należał do rodziny owych słynnych *groniardów*, co to straszni i niepokonani na polu zwycięstw, karni dla swych officerów, w życiu domowém byli potulni jak dzieci. François był prawdziwym typem *groniarda*, dla niego cesarz był bogiem, a gwiazda legii honorowej, którą śpiąc nawet nosił na sercu, niebem, dla którego sto razy życie narażał. Ranny w jednej z pierwszych bitew w czasie kampanii rosyjskiej, odesłany był do Francyi, a wyleczonemu, w nagrodę zasług, powierzono ważny stopień wachmistrza żandarmów w departamencie du Doubs. Niezwłocznie po tej nominacji, jako świadomemu miejsc, powierzono mu eskortę generałów. W czasie podróży był on jej aniołem opiekuńczym. Uprzedzał wszystkie jej życzenia, wybierał najlepsze noclegi, starał się o najwykwintniejsze obiady, pocztylionom ostrożność zalecał. Kiedy była zła droga, sam ze swoimi podkomendnymi żandarmami szedł piechotą przy drzwiczkach od karety, aby ją

wstrzymać od wywrotu w razie wypadku. W nocy spał na twardém podróznym posłaniu przy drzwiach jej pokoju, strzegąc od złodziei i maruderów, napelniających w owym czasie publiczne gościńce. Owego wieczora na odgłos dzwonka wszedł wachmistrz do pokoju generałowej i z uszanowaniem stanął przy drzwiach.

— François—rzecze pani Morand do żołnierza—już czas, abys razem z twymi towarzyszami wrócił do Francyi; jutro rano dam ci listy do mojej matki i do prefekta w Besanconie, gdzie mu z serca dziękuję za tak dobrego, wernego i troskliwego przewodnika, jakiego w tobie znalazłam. Nie zapomnę nigdy twoich usług i przychylności, i proszę Boga, aby mi dał jeszcze sposobność okazania ci mojej wdzięczności.

To mówiąc, generałowa wsunęła wachmistrzowi do ręki mały rulonik napoleondorów. François, uczyniwszy trzy kroki na przód, położył rulonik na stole, a wykręciwszy się lewo w tył, wrócił z całą wojskową powagą na miejsce.

— *Cent mille ton... pardon* — było to bowiem przysłowie wachmistrza; tu zamilkł, ale duże łzy potoczyły się po jego zoranей zmarszczkami twarzy.

— Cóż ci to jest François?— rzecze wzruszona tą łzą żołnierza generałowa.

— Co mi jest? to mi jest, że mnie pani masz za bardzo nikczemnego człowieka, kiedy myślisz, że byłbym w stanie zgwałcić rozkaz.

— Tak ty to rozumiesz?

— Wszak, jeżeli się nie mylę, stoi jasno w rozkazie powiedziane, że mam panią oddać w ręce samego generała.

— Mój poczciwy François, wiesz bardzo dobrze, że to być nie może; najprzód nie wiemy, gdzie się generał znajduje. Jutro Rosyjanie wchodzą do Warszawy... moglibyście się ty i twoi ludzie dostać do niewoli, a ja

nie chcę cesarza pozbawiać usług waszych w tak krytycznych okolicznościach.

— Ale cóż się z panią stanie?

— Nie bój się o mnie, ja tu jestem w moim kraju, wśród rodziny, która niebawem otoczy mnie, gdy się o mojem dowie przybyciu; cokolwiek bądź, mnie jako kobiecie żadne ze strony nieprzyjaciela nie grozi niebezpieczeństwo; bądź zatem co do mnie zupełnie spokojnym, a myśl o twojem i twoich ludzi bezpieczeństwie. Dobry François, spocznij po trudach, a jutro jak najraniej przyjdź po listy.

Wachmistrz, nawykły do posłuszeństwa, odszedł w milczeniu, a nasza podróżna, ujrawszy się sama w pokoju, nie tamowała już łez swoich i smutku. Nie ma zapewne ani jednego z czytelników lub czytelniczek moich, którzyby choć raz w życiu nie doznali przykrego uczucia, jakie rodzi pierwszy wieczór przepędzony w smutnych i pustych zajezdnego domu pokojach. Te obce mury, żadnej pamiątki sercu nie przynoszące, te wytarte stoły, wypłowiałe meble, których ukochana nigdy nie dotknęła ręka; te chłodne ściany, przykryte nie znaczącym sztychem lub zwilgoconém zwierciadłem, do tego cichość nocy, przerywana jedynie monotonnym chodem ściennego zegara, lub przeciągłym wołaniem stróżów nocnych: wszystko to mrozem przejmuje a nawet pewnym rodzajem trwogi, z której nie umiemy zdać sobie sprawy. Nie ma tak wesołej myśli, którejby pierwsza noc w hotelu przepędzona nie ostudziła i nie zatrula.

Wystawmy sobie stan biednej naszej podróżnej, której samo jej położenie do swobody nie uspasabiało. Chcąc rozerwać okropne przeczucia, które ją dręczyły, usiadła do biurka i wzięła się do napisania listu do matki. Długo się namyślała, co i jak pisać, w końcu nakreśliła jeden z tych listów, mieszczących w sobie daleko więcej słów niż myśli, taki, jak to zwykle piszemy do

ukochanych nam osób w chwilach smutku i próby, jedynie aby je zaspokoić, ale nie wyjawić udręczeń naszych. List do prefekta łatwiej jej poszedł: zamykał on w sobie jedynie etykietalne wyrazy grzeczności, które w każdej chwili łatwo wyrazić, gdyż się mało ją czuje. Po napisaniu listów, biedaczka próbowała zasnąć, ale sen jest podobny do ludzi: unika nieszczęśliwych. Nazajutrz wcześniejsz niż zwykle zadzwoniła, ubrała się i posłała najać remizę. Rządca hotelu, któremu dała to zlecenie, wrócił z oznajmieniem, że nie mógł dostać remizy, gdyż konie zbytowych powozów wzięte zostały w rekwizycję. Generałowa, chcąc się choć na chwilę wydobyć z ciemnych i wilgotnych murów hotelu, zapuściwszy welon wyszła na miasto, oparta na ramieniu służącej, i kroki swoje skierowała ku katedrze Św. Jana, farą wówczas jeszcze będącej. Miała szczególne nabożeństwo do miejscowego Pana Jezusa cudownego, częstego jej dziewczęcych modłów świadka. Na drodze spotkała długi szereg armat, powózek, jaszczyków z amunicją, ciągnący od strony Pragi i należący do wojsk okkupacyjnych. Biedna podróżna, śpiesznym idąc krokiem, zastała w kościele nabożeństwo z wystawieniem, gdyż to był właśnie Czwartek. Po mszy świętej i processyi śpiewano suplikacye. Ukłękła przed pięknym Panu Jezusa wizerunkiem i gorąco się modlić zaczęła; w tej chwili kościół przepelniony pobożnym ludem, odezwał się starożytnym hymnem: *Święty Boże!* Któreż serce silniej nie uderzyło usłyszawszy pierwszą nutę tej harmonii, tak wzniosłej i pięknej w prostocie swojej? Jest to błagalny jęk, wydzierający się z serc żalem przepelnionych, i towarzyszący nam w czasie głodu, pomoru, wojny, w owych publicznych klęskach, w których lud skupiony jak jeden człowiek w świątyni Pańskiej, błaga Pana Zastępów o odwrócenie swęj prawicy, nad jego głową wiszącej. Wielki jest urok w naszych pieśniach kościelnych, ale żeby je czuć i zrozumieć, potrzeba, że się tak wyrażę, przy nich

urodzić się, wykołysać. Wrażenie, które Emilia Morand doznała, słuchając tego śpiewu, było nie do opisania, i ten je tylko pojmie, kto przez lat kilka był jak ona pozbowionym rzewnych tej swojskiej harmonii tonów. Modliła się, płakała, dumiała, wpatrując się ciągle w przesłoniczną twarz Chrystusa, którego wyraz zdaje się chcieć całą ludzkość przycisnąć do miłującej piersi. W tej lubej zadumie mijały godziny, nabożeństwo się skończyło, lud się rozszedł, generałowa sama jedna w kościele została, gdy brzęk kluczy w ręku zakrystyana, zabierającego się do zamykania kraty kaplicy, ostrzegł ją, że czas wyjść z kościoła. Wróciwszy do domu, porożsyła ludzi po wszystkich dzielnicach miasta, celem odszukania krewnych i znajomych dawniej tu zamieszkałych, żadnych jednakże o nich niemożna było zasięgnąć wiadomości. Towarzystwo rozpięchło się na wszystkie strony, domy pustkami stały, wiele osób towarzyszyło władzom do Krakowa, lub na wieś się porożsydzało. Przykre było położenie biednej kobiety na rodzinnej ziemi, a przecież obcej między swoimi. Niepewność wszakże o losie męża bardziej ją dęczyła niż własne niebezpieczeństwo. Po kilkudniowej przerwie, nie bez długiego namysłu postanowiła napisać do generała Tormansowa list, w którym skreślając mu wierny obraz swego położenia od chwili wyjazdu z Francji, prosiła o udzielenie jej potrzebnych pasportów i pozwolenie udania się do męża, gdziekolwiek się znajduje. W końcu prosiła generała o chwilę rozmowy. W godzinę po zapieczętowaniu i wysłaniu listu, doróżka czyli tak zwana kiszka ruska, o jednym koniu z izwoszczykiem na przedzie i dwoma z tyłu kozakami, zajechała przed hotel Angielski. Wyskoczył z niej oficer ubrany w mundur pólkownika głównego sztabu wojsk rosyjskich, i zapytawszy szwajcara o panią generałową Morand, wysłał go na górę z oznajmieniem, że ma widzieć się z panią generałową z rozkazu gene-

rała Tormansowa. Jak się można domysłać, był natychmiast przyjeży.

Półkownik, rzuciwszy badawczém okiem na panią Morand i otaczające ją przedmioty, grzecznie się uklonił i oświadczył ze strony swego dowódcy żal, że dla braku czasu nie może zadosyć uczynić jej wezwaniu, że pragnie zrobić dla niej wszystko, co możliwem być osądzi, że pasporta udzielone jej będą, skoro tylko otrzyma instrukcyę na rapport, którego monarsze swemu przesłać najspieszniej nie omieszka. Co zaś do losu korpusu Davoust'a, w tej chwili nie jest w stanie dać jej zaspakajającej odpowiedzi, ale że niezwłocznie zapytania gdzie potrzeba przesłać. W końcu pólkownik zapytał generałowej, czy czego nie potrzebuje, i oświadczył, że ma zlecenie dać jej wszelką pomoc w czasie jej pobytu w krajach, przez armią rosyjską zajmowanych. Pani jesteś sama w hotelu, dodał, prawie bez usługi, a nawet obrony w razie potrzeby; bywają wypadki kradzieży, różnie się dzieje w podróży, jest zatem życzeniem generała, abyś pani hrabina pozwoliła, żeby kozak zawsze był w przedpokoju gotów na jej rozkazy.

Pani Morand, zmartwiona tą zwłoką, i widząc, że generał nie da się namówić na udzielanie jej pasportów bez poprzedniego zezwolenia cesarza Aleksandra, ulegając konieczności, skłoniła się na znak podziękowania. Po chwili pólkownik wstał, pożegnał generałową, zbiegł szybko ze schodów, kiwnął w sieni na kozaka, i dał mu rozkaz pozostania w przedpokoju, w razie gdyby pani hrabina czegoś zażądała. Mijały dni, tygodnie nawet, a nasza rodaczka nie otrzymywała ani pasportu do wyjazdu, ani wiadomości o swoim mężu. Przykrą jej była ta niepewność, gdyż i o matce i dzieciach swoich nie miała żadnej wiadomości, z powodu że komunikacya nietylko z Francją, ale z Niemcami, Galicyą i Krakowem szczelnie zamkniętą była.

Biedna generałowa nie mogła ani wracać do Francji, ani jechać dalej; był to stan rozpaczliwy. Jęj natura, dotąd silna, uleża musiała tłoczącej duszę tęsknocie. Jednego wieczora dostała lekkiego dreszczu i wcześniej się położyła; téjże nocy silna ją opanowała gorączka, a po trzech dniach leżała prawie bez duszy. Oddalona od krewnych i przyjaciół, ciągle w mieście nieobecnych, miała tylko przy sobie doktora wojskowego, przysłanego jęj przez generała, który w dzień i w nocy jęj łoża nie odstępował. Choroba objawiła się w straszliwy sposób. Czasami zdawało się jęj, że widzi męża umierającego i złorzeczącego jęj, że do niego nie przyjeżdża; to znów dzieci swoje w dołach grzebała; zrywała się, chciała biedz na ich ratunek. To znów zdawało jęj się, że jęj mąż ze swoimi adjutantami przyjeżdża na wieczerzę, a ona woła na ludzi, aby stół czém prędzej nakrywali. Chwilami śpiewała fałszywym głosem wszystkie włoskie arye, których się kiedykolwiek uczyła; a ten śpiew był tak straszny, że kobieta, która jęj doglądała, nie mogła go słuchać, i kilka razy od jęj łóżka uciekła. W chwilach przytomności przejęta była żądzą widzenia swoich, choćby raz jeden, a przez to samo wyleczenia się z okropnej choroby. Lekarstwa najnieznośniejsze nietylko z ochotą przyjmowała, ale nalegała na felczera, aby dozy podwajał, w mniemaniu, że przyspieszy przez to przesilenie choroby. Jak wszystko się kończy na tym bożym świecie, złe jak dobre, tak przecież i słabość generałowej skończyć się musiała, i chora po sześciu tygodniach widocznie do sił i zdrowia wracać zaczęła. Gdy mogła siedzący utrzymać się na krześle, generał Tormansow przysłał adjutanta z oznajmieniem, że ma jęj pomyślną udzielić wiadomość, którą sam jęj zawieźć pragnie. Pani Morand odpowiedziała, że jest zawsze gotowa go przyjąć. Jakoż w kilka godzin po wizycie adjutanta,

przyjechał generał na koniu, otoczony liczną świtą, którą zostawiwszy w bramie i na dziedzińcu, sam pośpieszył na górę. Chora przyjęła go, leżąc na szeszlunku, blada i drżąc ze wzruszenia na myśl, że jęj generał wiezie tak długo oczekiwaną i upragnioną wiadomość o mężu i dzieciach. Generał, powitawszy ją z całą wytworną grzecznością człowieka dobrze wychowanego, oświadczył, że z przyjemnością donosi, że w czasie jęj choroby odebrał wiadomość, iż cesarz nie ma nic przeciw odjazdowi pani hrabiny z Warszawy. Gdy to mówił, wyjął z za munduru papier, który grzecznie podał. Był to pasport dla nięj i dla jęj ludzi. Co się zaś tyczy męża pani, ciągnął dalej generał Tormansow, z wiadomości, jakie mogłem zasięgnąć, dowiaduję się z pewnością, że nie zginął. Domawiając tych słów, generał wstał, skłonił się i wyszedł, a biedna żona, od tylu miesięcy do cierpienia nawykła, nie mogła zwalczyć wrażenia szczęścia, którego tak dawno nie doznała. Straciła przytomność; ledwie obecny téj scenie lekarz przez użycie stosownych lekarstw zdołał opanować okropny nerwowy napad. Dobrą pokrzepioną wiadomością, chora z cudowną prawie szybkością do zdrowia wracała, a w dni dziesięć tak się czuła dobrze, że mogła w daleką puścić się podróż. W czasie jęj choroby świat był znów widownią wielkich zmian i wypadków. Kampania roku 1813 rozpoczęła się świetną Napoleona wygraną pod Lützenem; był to ostatni uśmiech fortuny dla dawnego swojego oblubieńca. W skutek téj bitwy, w której 300,000 wojska walczyło przeciw siebie, korpus Davoust'a zajął Hamburg, którego generał Morand mianowany został gubernatorem. Tak pożądana wiadomość dla stronników Napoleona dodała zdrowia i odwagi naszej podróźniej. Objawiła ona chęć udania się na Berlin do Hamburga. Z rozkazu generała Tormansowa odprowadzoną została do granicy pruskiej przez oddział kozaków z officerem na czele.

Po pięciu dniach podróży, szczęśliwie przybyła do Berlina, gdzie zastała na poczcie kilka zaległych listów od męża, matki i dzieci.

Generał Morand w długim opisie opowiedział jej cały bieg kampanii i strasznego odwrotu z Moskwy, których szczegóły są powszechnie znane, zatem nie będzie ich tu powtarzała. W końcu donosi jej, że przed samem wejściem do Hamburga odebrał list od jej matki z uwiadomieniem o jej wyjeździe; wynurzał jej żal swój, że narażała się na niebezpieczeństwa przeprawy w czasie tak krytycznym, wszakże w tém lekkim połajaniu przebijało pewne zadowolenie, bo któryż z mężów, choćby najczuliej kochający, nie ucieszy się w duchu z szalonego czynu żony, gdy ma na celu miłość i poświęcenie się dla niego? Matka generałowej (bo miłość macierzyńska jest jedynie wolna od samolubstwa), matka szczerze się niepokoiła losem córki, i boleść swoją, rzewnymi słowami na papier wylewała. Za staraniem i pomocą goszczących w Berlinie ziomków, generałowa po trzech dniach odpoczynku w stolicy Pruss w dalszą do Hamburga puściła się podróż.

Władze pruskie, względniejsze dla poddanych francuzkich po ostatniej pod Lützenem bitwie, nie chcąc na siebie brać odpowiedzialności w razie niepomysłnego wypadku w podróży, dały generałowej pasport na imię jej służącej Heleny Malinowskiej, niby podróżującą żony kupca z Warszawy. Dzięki temu pomysłowi, nasza podróżna przejechała szczęśliwie północne Prussy, i dostała się do granicy Księstwa Lauenburskiego, przez Francuzów zajętego. O milę od Hamburga, jej służąca, wyrzawszy przypadkiem przez okienko od karety, niespodzianie zawołała „*Monsieur le comte!*” Niebawem powóz się zatrzymał, drzwiczki raptem odemknęto, i Emilia znalazła się w objęciach męża.

Któż zdoła opisać radość obojga po ośmnastu miesiącach niewidzenia, a szczęściu zupełnej o sobie nie-

wiadomości. Chwila ta wynagrodziła jej blisko trzy-miesięczne męczarnie wszelkiego rodzaju. Mąż jej, pełny wdzięczności i uwielbienia, z rozczuleniem wpatrywał się w bladą i cierpiącą, ale niemniej piękną twarz żony. Przeklinał wojnę i jej następstwa, pragnął pokoju, ale pokoju z honorem Francji zgodnego, bo był przede wszystkim Francuzem. Oddawszy konia karabinierowi, który za nim jechał, wsiadł do karety żony, i jak można się domyślać, miła, która ich od miasta przedzielała, zbyt się im krótką wydała. Tyle sobie mieli do powiedzenia... Dla wytłómaczenia czytelnikowi niespodzianki, którą generał żonie zrobił, muszę tu dodać, że był uprzedzony o jej przybyciu szafetą z Berlina przez jednego z Polaków, tamże bawiących, wysłaną. Generałowa, przyjechawszy do Hamburga, znalazła w przeznaczonych dla siebie pokojach w kwaterze męża, swój gabinet do pracy tak urządzony, jak w Morand-Valu; był tam fortepian z najświeższymi notami, staluga z przygotowanym płótnem do malowania, dzieła jej ulubionych autorów, włóczki i pele do kanwowej roboty, bo pani Morand należała do liczby kobiet, które w żadnym wypadku próżnować nie lubią i nie umieją. Za przybyciem do Hamburga zajęła się zwiedzaniem lazaretów, które były przepełnione, gdyż zwożono do nich chorych i rannych z korpusu Davoust'a, najśliczniejszego w armii. Co dzień ich więcej przybywało, nieraz i łózek, szarpi i bielizny zabrakło. Generałowa kazała wypróżnić kilka sal w pałacu senatu, gdzie była kwatera jej męża, i tam ich wygodnie i w zdrowiu umieściła powietrzu. W czasie jej pobytu w Hamburgu spalono publicznie wszystkie znalezione po składach towary angielskie i kolonialne. Z bolem serca patrzyła na te stosy najpiękniejszych szalów, koronek, materij jedwabnych, wyrobów złotych, srebrnych wezwodów i t. p., tak drogo w owych czasach przez ląd stały Anglii płaconych, jak z dymem ulaty-

wały w oczach oddziału wojska, w szyku bojowym asystującego, i mass ludu okrażającego plac egzekucyi. Kary ogromne zapowiedziane były przeciw wszelkiej defraudacyi. Dwóch żołnierzy francuzkich, których skusiły sztuka materyi i zawój indyjski, na miejscu rozstrzelano. Tak to poraniony i prawie konający już orzeł czuć jeszcze dawał straszne swoje szpony!...

Krwawa, trzydniowa, olbrzymia walka pod Lipskiem zmusiła Francuzów do cofnięcia się za Ren. Przyszła znów chwila rozdziału naszej rodaczki z mężem, który bojąc się narażać żonę na niebezpieczeństwo odvodu i cięższych z nieprzyjacielem utarczek, zdołał ją nakłonić do wyjazdu do Paryża. Przybywszy do tej stolicy w Styczniu r. 1814, zastała tam matkę i dzieci, które spłoszone z wiejskiej swój siedziby wieściami o zbliżających się ku granicy sprzymierzonych, czekały w Paryżu na jej powrot. Wiadome są stanowcze owego czasu wypadki. Morand, zawsze wierny obowiązkom i honorowi swojego oręża, okrywając się sławą w czasie tej pamiętnej kampanii, która ze wszystkich poprzednich najświetniej może wojenny Napoleona geniusz okazała, po jego abdykacyi w Fontainebleau, podał się do dymissyi. Bourboni, zawsze skwapliwi w pozbywaniu się świetnych inion cesarstwa, których się lekali, uwolnili go bez trudności, odebrawszy mu poprzednio wszystkie dochody do jego godności i orderów przywiązane. Generał udał się razem z rodziną na stałe mieszkanie do Morand-Valu, gdzie oddał się umysłowej pracy i rolnemu gospodarstwu, które namiętnie lubił. Tam to po roku wypoczynku, po wojennych trudach zastała go wiadomość o wyładowaniu Napoleona z wyspy Elby, a prawie jednocześnie o wypadkach 19 i 20 Marca, w Paryżu. Morand bić się umiał za swój kraj, pragnął jego szczęścia, ale uważał upadek cesarstwa jako fakt dokonany, i nie należał do stronnictwa, które korespondencyą i różnemi skrytymi drogami przygo-

towało jego powrot. Wszakże wieść, że milion wojsk sprzymierzonych dąży znów ku granicy, oraz manifest powołujący starych żołnierzy do szeregów, znalazł go przygotowanym. Siedział on w swoim gabinecie, cały zatopiony w wertowaniu komentarzy Cezara, ulubionego mu dzieła, gdy odebrał depeszę od generała Bertrand'a, 21 Marca datowaną, uwiadamiającą go o wszystkim. Nagły w swoich postanowieniach, kazał sobie podać swój mundur generalski, szpadę i gwiazdę legii honorowej, zszedł na dół do pokoju żony z twarzą wy pogodzoną, prawie wesołą, i prosił, aby depeszę przeczytała. Biedna żona, na widok męża w niezwykle ubiorze i o niezwyklej godzinie wchodzącego do jej pokoju, instynktowo nową odgadła burzę. Ze wstrętem podany papier odsunęła, a spojrzawszy na niego, łzami się zalała. Generał kilkakrotnie przeszedł się w milczeniu po pokoju, poczem usiadłszy przy niej:

— Więcej się—rzecze—odwagi po tobie spodziewałem; wszak to nie pierwszy mój wyjazd, powinnaś być bardziej z przeciwnościami oswojona.

Pani Morand, wzięwszy rękę męża, serdecznie ją do piersi przycisnęła.

— Mój drogi! przerywanym wyjęknęła głosem, z tym człowiekiem nie ma możliwego pokoju; ocalałeś w r. 1809—1812, ale któż mi zaręczy, że to samo będzie i w obecnej walce? Po raz drugi macie Europę przeciw sobie, Boże daj, aby nie na waszą zgubę. Czyż nie widzisz, że to akt drugi strasznego dramatu, jakby recydywa okropnej na Francję katastrofy, której ofiarą najpiękniejszy kwiat narodu paść może? Honor powołuje cię pod dawne sztandary, nie mogę, nie powinnam się sprzeciwiać twojemu odjazdowi; ale pozwól mi cierpieć... moje łzy ani tobie, ani nikomu nie wadzą.

To mówiąc, biedna żona zdjęła z szyi medalik Matki Bożkiej Częstochowskiej, który od ślubu nigdy jej nie opuszczał; a uczyniwszy nim znak krzyża św. na czole

męża, zawiesiła mu go na szyi, wymogłszy od niego słowo, że go aż do końca wojny nosić będzie. Morand, jak większa liczba jego ziomków, nie był z liczby pobożnych, nie zachowywał zewnętrznych religii przepisów, był jak wielu ludzi, którzy w braku światła wiary i jej ducha, lekceważą przykazania Kościoła więcej z niewiadomości, niż ze złych chęci. Rzewna i szczerą wszakże żony pobożność rozrzewniała go i przekonywała. Nigdy się nie sprzeciwiał jej obchodom i praktykom; jeżeli ich z nią nie dzielił, nigdy nie wyśmiewał, ani jej w wykonaniu ich nie przeszkadzał. W chwili zaś nowego z rodziną rozdziału, w obec nowych niebezpieczeństw i nowej walki, jego dusza skłonniejsza niż kiedykolwiek była do zwrócenia się do Boga. Pierwszy raz w życiu przycisnął do ust medalik częstochowski, i po cichu modlić się począł; a czując, że widok cierpień żony może go potrzebnej odwagi pozbawić, zadzwonił na służącego i kazał niezwłocznie czynić przygotowania do podróży. Generałowa pobiegła do dzieci, i przywiodłszy je do ojca, kazała im ukłknąć i prosić go o błogosławieństwo. Morand tegoż jeszcze wieczora wsiadł do powozu i pośpieszył do Paryża. W trzy dni potem znalazł się na pokojach w Tuilleries.

— Tak późno, generale — powiedział cesarz, urażony, że go w dniu 20 Marca w Paryżu nie widział.

— Dosyć wczas, najjaśniejszy panie, abym do ostatniej kropli krwi bronił ziemi francuskiej i dynastji waszjej cesarskiej mości.

Napoleon, formując ze szlachetniejszych niedobitków owego usłużnego senatu nową izbę parów, mianował hrabiego Morand'a jej członkiem, i dał mu zlecenie do departamentów południowych, gdzie miał tworzyć korpus z nowo zaciągających się pod sztandary cesarstwa. Niebawem też wyjechał na miejsce swojego przeznaczenia. Miał on trudną misję przeszkodzenia intrygom rojalistowskim, a mianowicie zręcznym bardzo działa-

niom księżny d'Angoulême na południu; wydał nawet proklamacyę, w której trochę nieogłędnie tę niedoszłą królową Francji nazwał kobietą okrutną i podstępną (*une femme cruelle et intrigante*). Ta proklamacya stanowczo wpłynęła na losy generała i jego rodziny. Księżna Angoulême, mająca w udziale mimo wielkich cnot chrześcijańskich nieco natury drażliwej i pamiętnej uraz swjej matki, nie mogła zapomnieć tych wyrażen krzywdzących i obelżywych. Był to rzeczywiście błąd nie do darowania, jeżeli weźmiemy na uwagę, że ta, o której się tak generał wyraził, była kobietą i nieszczęśliwą; ale z drugiej strony wiele trzeba przebaczyć już to osobistemu położeniu Morand'a, zagnalonego do energii i surowości, już też ogólnemu usposobieniu stronnictw, będących w najwyższym stopniu rozdrażnienia. Wiadomo, jak ludzkość tych okolic źle była dla bonapartystów uprzedzoną. Po bitwie pod Waterloo i powtórnej abdykacyi Napoleona w Elisée-Bourbon, Morand był w szczupłej liczbie generałów pozostałych wiernymi swojemu sztandarowi, to jest tych, którzy przeszli razem z armią Loarę. Była to manifestacya nie do przebaczenia w oczach rozjuszonych rojalistów. Zwołano sąd wojenny i skazano go na śmierć zaocznie. Pani Morand, pozyskawszy audyencyę u cesarza Aleksandra, wyjechała dla swojego męża pozwolenie zamieszkania w Królestwie Polskiem. Wiadomo, że ten monarcha nie pochwalał działań rojalistów po drugiej restauracyi, mianowicie też stronnictwa *ultra*, które mieniać się być więcej rojalistowskiem niż sam król, z natury umiarkowany i doskonały polityk, usiłowało w interesie dynastji kępować jego władze i działania, które zgubnymi dla niej być uznawało. Generał Morand za rosyjskim pasportem wyjechał z rodziną do Polski, gdzie ze czcią i współczuciem od narodu i rodziny żony przyjęty, kupił wieś Kawenczyn w powiecie Szydłowskim, w b. województwie Krakowskiem położoną.

W późniejszym czasie, za wstawiennictwem hrabiego Pozzo-di-Borgo, ambassadora rosyjskiego w Paryżu, wydano mu z kraju jego przepyszną bibliotekę, mappy i narzędzia matematyczne, które w jego wiejskiem odosobnieniu od ludzi i świata były wielką dla niego rozrywką i pomocą. Generał miał, jak to wyżej powiedziałam, wielkie upodobanie w rolnictwie, ale tu, nie znając języka, wielką w zastosowaniu swoich teoryj znajdował trudność. Domek w Kawenczynie, drewniany, pod strzechą, zbudowany na sposób licznych ówczesnych wiejskich dworów, które zaledwie mieściły po jednej i drugiej sieni wchodowej cztery duże izby, wewnątrz tylko pobielone, z sufitem belkowanym, nie był w stanie pomieścić biblioteki, co zmusiło generała do przybudowania dwóch jeszcze pokoiów. W tym stanie byłby dostateczny dla kogoś, coby się nigdy z granic wioski swojej nie wychylił, ale dla dawnych mieszkańców wspaniałych pokoiów przy ulicy Rivoli zdał się prawdziwą slimaczą jamą. Tu znów przyszło im w pomoc usposobienie pełne rezygnacji i poświęcenia generałowej. Pracą i rządnością starała się wynagrodzić mężowi brak wygód i przyjemności życia. Z twarzą swobodną i wypogodzoną, jakby się była pod strzechą wychowała, widziano ją odgadującą myśli męża i usiłującą zastąpić pracą i pamięcią swoją brak wielu rzeczy, do których od dzieciństwa nawykł, a których w Kawenczynie mieć nie mógł.

Generał, skazany na śmierć, stracił nie tylko swoją donację w Badeńskim, ale cały dziedziczny majątek; to zaś, co zdołał wyratować, mogło wynosić około 50,000 franków. Za tę sumę, zrealizowaną na polską monetę, kupił wies Kawenczyn, której dochód był jedynym funduszem utrzymania dla jego licznej rodziny. Przy tak szczupłych materialnych zasobach, niepodobna im było zimować w Krakowie, do którego tylko rzadkie i krótkie wycieczki robili. Do Warszawy generał raz tylko

jeździł, a to w r. 1818, aby wyjednać u bawiącego tam w czasie pierwszego sejmku cesarza Aleksandra wstawienie się u Bourbon'ów, a raczej ich ministrów, aby powrót do Francji był mu dozwolony. Doznał on u cesarza jak zwykle najlaskawszego przyjęcia i obiecaną pomoc w spełnieniu jego gorących życzeń, bo jakkolwiek miłą mu była ojczyzna żony, niemniej tęsknił po swojej pięknej Francji.

W oczekiwaniu błogiej chwili powrotu do ojczyzny, generał zajął się gruntownym rozpoznaniem swojej wioski. Że to była leśna okolica, a las dębowy w Kawenczynie w stosunku dóbr był znacznej objętości i dla taniości drzewa nie czynił żadnego dochodu, generał chwycił się spekulacji: kazał wybić 50,000 klepek, których nigdy sprzedać nie mógł, gdyż ceny ofiarowane mu przez miejscowych kupców zdawały się za niskie w stosunku do cen francuzkich. Tym sposobem towar się psuł, klepki gniły dla braku stosownego użycia. Biedny właściciel wyjechał do Francji w illuzji, że majątek na nich robi. Nie mógł, mimo całej do Polaków przychylności, nauczyć się ich języka, i „klepki” był jedyny wyraz polski, który pamiętał. W listach, które już z Francji pisywał do swojego ojca, niezmiennie znajdował się ten frazes: *qu'a-t-on fait de mes klepki?*.... W czasie czteroletniego pobytu w Kawenczynie, kilkakrotnie próbował uczyć się po polsku, ale mu jakoś nauka szła jak po grudzie. Nie było nic bardziej komicznego, niż jego polskie wyrażenia. Gdy chciał na przykład zmienić grubą monetę na zdawkową, wołał służącego i zalecał mu „pojechać na dół na sklep i nosić od niego male dzieci od wielkich pieniędzy.” Bywało, że lokaj zrozumieć nie mógł tak oryginalnego frazesu; pan jego, wyzionawszy poprawną, lubo obozową francuzczyznę, litanie energicznych wyrazów, wypchnął go za drzwi, a sam zbiegł na dół, gdzie znów podobna tej scena powtórzyła się z kupcem lub jego subjektem. Zona, która

nie mogła znieść w takich wypadkach lekkiego nawet uśmiechu ze strony obecnych, zapobiegała im zwykłą kobiecą zręcznością i przebiegłością. Nie zawsze jej się ta dyplomacya udawała, zwłaszcza na wsi, gdzie podobne sceny często się powtarzały przy wieczornych dyspozycjach pańszczyźnianych, tego koniecznego i nienuknionego epizodu stosunków pana z officyalistami i włodarzami. Na te urzędowe sessye generał przywdziewał zwyczajnie frak ze złotą sprzączką, wyrażającą w zdrobnieniu kilka orderów, któremi był ozdobiony, i tak ubrany przechodził z biblioteki do jadalnego pokoju, gdzie officjaliści na niego czekali. Zagajał zwykle posiedzenia grzecznym „topry wieszór,” następnie dysponował robotami w sposób mogący być praktycznym we Francyi, ale który u nas był najkompletniej niemożliwym. Z początku narada szła tonem dość łagodnym i spokojnym, w miarę jednak, jak przybywało generałowi gospodarskich conceptów, a ubywało domysłności słuchającemu go ekonomowi, przybierała charakter coraz głośniejszej i burzliwszej dyskusyi. W końcu, gdy generałowój, która prawie zawsze brała na siebie urząd dragomana, tchu zabrakło, a mąż jej począł plany swoje po swojemu, to jest w rodowitój mowie wykladać, biedny ekonom bladł, czerwieniał, w głowę zachodził, usiłując myśli pana odgadnąć, co fizyognomii jego nie dawało wyrazu sprytu i pewności siebie, a panu jego cierpliwości i zimnej krwi. Biedny generał, jak mógł, hamował wybuchy swojej południowej żywości, powtarzał nieustannie: „Rosumie pan?” — w końcu, nie mogąc już wstrzymać duszącą go niecierpliwości, zawołał w uniesieniu: „pan osioł, pan drzewo!” co odpowiadało francuzkiemu wyrażeniu: *Monsieur, vous êtes un âne, monsieur, vous êtes une bûche*, a otworzywszy gwałtownie drzwi, wołał całym pełnym głosem: „Proszę pan pręko.” Te sceny, prawie codzienne, nie zniechęcały officyalistów i ludzi służących, którzy doskonale

placeni i żywieni, to jest jak się ich płaci i żywi na Zachodzie, do oryginalności pana przywykli, a z czasem stali się nawet na nie obojętnymi, wynagradzając sobie szerokiemi rozpowiadaniem przed przyjaciółmi i krewnymi pierwszych chwil trwogi i przymusu. Generał, sprzykrzywszy sobie komendę nad ludźmi, którzy mowy jego nie rozumieli, coraz mniej mieszał się do gospodarstwa, a z tym większym zapalem oddał się czytaniu i wertowaniu książek treści strategicznej, i układaniu obszernego dzieła o inżynierii, które później w Paryżu wydał. Cierpiał on czasami na oczy; posługę lektora i sekretarza oddawała mu żona, dla której, jak się można domyślić, dzieła tego rodzaju nie były arcy powabnemi. Tę drobną okoliczność Morand zwykł był spostrzegać dopiero koło jedenastej wieczorem, po całodzienném prawie słuchaniu, co spowodowywało, że zamknął książkę, pocałował żonę w czoło, mówiąc: „*Maintenant quelque chose pour Emilie*,” i wyjął z szafy tom którego z klasyków francuzkich, i znów do drugiej lub trzeciej godziny po północy czytać jej kazał. Generałowa była z natury żywa, a nawet, jak wszyscy ludzie uczuciowi, nieco gwałtowna i drażliwa; lubiła zwyczajem młodych i ładnych kobiet świat, gdzie tyle doznała powodzenia; poddała się wszakże temu życiu trosk i zupełnej abnegacyi własnych upodobań przez głęboko pojęte uczucie obowiązku i powołania swojego. Święta wiara nasza, tak żywe rzucająca światło na drogi godziwe i niegodziwe, wskazała jej obowiązki, od których nie odstąpiła.

Niech czytelnik nie myśli, że ja pod pozorem epizodu w pamiętnikach, tworzę tu jakiś ideał kobiety, w mojej tylko wyobraźni istniejącej. Po dziś dzień żyją jeszcze w Krakowie, a nawet i w Warszawie osoby, które niegdyś dobrze znały tę rodzinę; niech więc zaświadcza, że tu nie ma ani jednego szczegółu, któryby nie był rzeczywistą i wcale nieprzesadzoną prawdą.

Mam w ręku listy pani Morand i jej męża do ojca mojego pisane, które kiedyś w końcu tych pamiętników będą umieszczone; te przekonają czytelnika o sercu pełnem wylania dla swoich, miłości dla kraju i poświęcenia dla męża tej niepospolitą kobiety. W wielkich burzach, jak i w najdrobniejszych szczegółach zwyczajnego życia starała go się zawsze otaczać miłemi mu przedmiotami. W Kawenczynie, gdzie prawie nikogo nie widywała, ubierała się w suknie i kolory, które najbardziej lubił, uczyła się i grywała na fortepianie jego najulubieńsze sztuki, pomagała mu w układaniu i porządkowaniu jego mapp, narzędzi i książek; rany które mu się często otwierały, własną opatrywała ręką, nie dając się zastąpić w tym pobożnym uczynku nikomu, nawet chirurgowi. Mąż tak był nawykł do jej pomocy i starań, że nie znosił choćby chwilowego jej oddalenia. Zdawało się na pozór, że jej ciągnęło koło siebie krętaninę przyjmował z obojętnością, jako daninę mu przynależną; były wszakże chwile, w których objawiał czułą dla niej wdzięczność i uwielbienie. „*Mon Emilie est un ange*” pisywał do mojego ojca, *que ne puis-je lui donner une position digne d'elle!*...” Tak mijał rok za rokiem dla naszych wygnańców w zaciszy domowego życia i na łonie kochającej ich rodziny. Pani Morand, otoczona swoimi, nie tęskniła do świata, ani do jego mammony. Skromny domek w Kawenczynie, towarzystwo matki i czworga dzieci, które dał Pan Bóg, wystarczało jej szczęściu. Generał nie czuł się tyle swobodnym. Pamięć utraconego i tyle świetnego położenia, jakie w swoim kraju zajmował, wywoływała często smutek w jego duszy, i na humor jego źle wpływała; do tego wewnętrznego uczucia goryczy przyczyniała się tęsknota po ojczyźnie, owe *mal du pays*, które tylko ci uczuć i zdefiniować mogą, którzy go niegdyś doznawali. Morand nie przestawał czynić starań celem uzyskania pozwolenia powrotu do Francji. Powiedziałam wyżej, że w czasie

wyjazdu jego do Polski, reakcyja pewnej frakcyi narodu na korzyść Bourbon'ów objawiła się w wyborach do izby roku 1815, którą z ultra rojalistowskiego usposobienia *chambre ardente* nazwano. Stronnictwo, które kierowało tém zgromadzeniem, tém śmielsze, że brata królewskiego miało na czele, nie znalazło Ludwika dość silnym w duchu jego działaczem, a nawet nie wahało się zarzucać mu zbyt liberalnych dążeń. Monarcha ten, sprzykrzywszy sobie jego intrygi, dążące do obalenia konstytucyi, oddalił ze swojego ministerium hrabiego Blacas'a, znanego z reakcyjnych opinij, a powołał na prezesa rady ks. Richelieu'go, człowieka wyobrażeń pojednawczych i umiarkowanych, a po nim słynnego w owym czasie ministra Decazes'a, którego łaska królewska i osobiste niepospolite zdolności na ten stopień wyniosły. Pod wpływem tych dwóch ministrów i za wstawieniem hrabiego Pozzo-di-Borga, Morand miał sobie uchyloną karę śmierci i pozwolenie powrotu do kraju. Przed wyjazdem z Polski ogłosił licytację na bibliotekę i niektóre przedmioty sztuki. W owym czasie zamilowanie w literaturze nie było tak pospolitą u nas, jak z postępem nauk być się okazało, szczególnież w wyższych i średnich sferach naszego społeczeństwa. Mało kto, o ile zapamiętać mogę, książki skupował, a jeżeli to czynił, to bez pracy i wyboru. Nie dziw więc, że biblioteka Morand'a nie znalazła amatora, i że tylko częściowo sprzedaną być mogła, i to na pół darmo. Pamiętam, że 48 tomów grubych in 4-to sprzedano za złp. 200 niespełna. Było to kompletne dzieło Encyklopedyi, na które składali się wszyscy uczeni francuzcy XVIII wieku, wychodzące niegdyś częściowo pod firmą Diderot'a, d'Alambert'a i innych. Lepiej się udało generałowój, która kilkanaście kosztownych szalów, wiele bardzo złotych i srebrnych tkanin i materij w samym Krakowie za bajeczne spieniężyła summy. Tak wiele było pretendentów do tych skarbów mody i fantazyi, że

na własne oczy widziałam niektóre panie gorącemi zalewające się łzami dla tego, że ich mężowie niezbyt skwapliwie dostarczyli im pieniędzy do ich nabycia.

Morandowie, ukończywszy niezbędne przed wyjazdem interesa, wyjazd swój na dzień 1 Kwietnia roku 1819 naznaczyli; wszakże nadchodząca Wielkanoc termin ten o parę tygodni spóźniła. Sam generał tak dalece polubił nieznane we Francyi obchody wielkopiątkowe i patryarchalny zwyczaj jajka wielkanocnego, że oświadczył żonie, iż nadchodzące święta pragnie jeszcze w Polsce przepędzić, mianowicie w Krakowie, gdzie mnogość kościołów i domów staropolskich tak świetnym ten dawny ojców naszych zwyczaj czyni. Później, będąc już w kraju swoim, nigdy go nie zaniedbywał. Już po roku 1830, ziomkowie nasi będący w Paryżu, zgromadzali się na jajko święcone w domu Morand'ów, gdzie cały przybór świąteczny ze wszelką polską akuratacją na stołach rozłożony zastawali.

W dniu 20 Kwietnia roku 1819 Morandowie zawsze wyjechali z Polski, udając się na Wiedeń wprost do Paryża. Generalowa drugi raz opuszczała rodzinną ziemię, i to już nazawsze... Każdy też jój krok po nięj był bolesnem pożegnaniem to z krewnym, to z przyjacielem. Rzewne było także jój rozstanie z chłopkami kaweczyńskimi, dla których była żyjącą na ziemi Opatrznością, a cóż dopiero z matką i dwojgiem dzieci, które na czas jakiś w kraju zostawiała! Pożegnanie bez bliższej nadziei widzenia nie jestże rzeczywistą śmiercią?... Nasi podróżni zabrali z sobą dwoje dzieci starszych: Napoleona, chrzestnego syna b. cesarza, przy wyjeździe do Francyi Leonem przezwanego, i Elizę, moją rówieśnicę, córkę chrześną Elizy Bonaparte, wielkiej księżny tokańskiej.

Po odjeździe córki, pani Kajetanowa Parysowa zamieszkała z wnukami w Kawenczynie, gdzie miała od dzierżawcy wymówiony dom z ogrodem. Alfons

starszy, krótki czas zabawiwszy przy babce, odwiedziony został do moich rodziców dla pobierania nauk z moim bratem, o kilka lat tylko od niego starszym. Emil młodszy pozostał w Kawenczynie, z kąd częste z babką czynił wycieczki do nas, dla odwiedzania brata. Śliczne to było dziecko z długimi kręcącymi się w pierścienie ciemnymi włosami i dużemi czarnemi wyrazistemi oczyma. Ponieważ od urodzenia liczył się w gwardyi, ubierano go zwykle w mundur grenadyerski granatowy z ponsowemi wyłogami i podoficerskimi galonkami, z dodatkiem ogromnej bermycy, literalnie większej od niego. W tém ubraniu musztrował się laską mojego ojca, która zastępowała karabin, sam sobie komenderując po francuzku. Mógł mieć w owym czasie lat 6. Dziś oba bracia nie żyją. Alfons, oddany po przyjeździe do Francyi do szkoły marynarki, wszedł w służbę, i w stopniu chorążego okrętowego zginął w Algierze; Emil w rok po wyjeździe z Polski życie zakończył. Morandowie, przybywszy w końcu Maja roku 1819 do Paryża, bardzo zimnego, prawie niechętnego ze strony rojalistów doznali przyjęcia. Gdy się generał pokazał w Tuileries na tak zwane *lever*, ogólnie od niego stroniono, tak, że wśród tych ludnych salonów znalazł się opuszczonym i samotnym... Król słowa do niego nie przemówił: widocznie mu dano do zrozumienia, że powrót jego był raczej ustąpieniem na wstawienie się posłów mocarstw sprzymierzonych, ale nie ulaskawieniem. Upředzono panią Morand, że wszelkie staranie się o audyencyę u księżny d'Angoulême najgorzej byłoby widziane. Nie oddano jój mężowi ani krzesła w izbie parów, ani stopni i godności wojskowych. Morandowie lato następujące i zimę przepędzili w Paryżu, gdzie mimo niełaski u dworu, doskonale się bawili. Z powodu ich politycznego stanowiska i mimo przeważającego wpływu zawsze na nich łaskawej pani Tyszkiewiczowej, salony w Faubourg St. Germain tym razem zamknięte dla nich

były, ale za to uprzejmego doznali przyjęcia od połączonych stronnictw bonapartystowskiego i liberalnego, które od téj chwili do roku 1830 wspólną połączyły się opozycją. U pani Tyszkiewiczowej spotykali towarzystwo różnych politycznych odcieni. Tam się zgromadzali kolejno członkowie upadłego rządu, znakomości rojalistowskiego przedmieścia, jaśniejszego podwójnym tryumfem: stałej wierności dla swych opinij i zupełnym ich zwycięstwem; reprezentanci młodej Francji liberalnej: Foi, Manuel, Odilon-Barrot, na koniec owa słynna córka Necker'a, świetniejąca blaskiem wielkiego w literaturze i polityce imienia, oraz ambassadorowie, deputowani, artyści i literaci. Księżę Taillerand, jeden z najczęstszych gości pani Tyszkiewiczowej, obiadował u niej raz na tydzień. Salonowy dowcip tego twórcy dynastji z roku 1814, jak wiadomo, w niczem nie ustępował politycznej zręczności. Mam pod ręką list generałowej Morand do mojej matki, pod dniem 20 Stycznia roku 1820 pisany, gdzie opisuje pierwsze spotkanie się z księciem Benewentu na obiedzie u pani Tyszkiewiczowej. Była to chwila nieukontentowania księcia z króla i dworu, którzy mimo jego zasług dla staréj dynastji dość go się zręcznie, jak wiadomo, pozbyli, i zdala od interesów trzymali.

Tegoż dnia, jak się to zdarzało w pierwszych latach po drugiey restauracyi, posiedzenie w izbie parów było nader burzliwe. Czekano na księcia z obiadem do godziny 8-éj. Gospodyni, trochę zniecierpliwiona spóźnieniem niezwyčajnym godziny obiadowej, posyłała posłańca za posłańcem do pałacu księcia i zawsze odpowiadał jego kamerdyner, że książę jest na sessyi w pałacu Luksemburskim.

Kiedy zgłodniiali goście w dość kwaśnych humorach godziny oczekiwania wynagradzali sobie poprawianiem ognia na kominku, zatętniała na bruku ciężka księcia kareta, i usłyszano niebawem w przedpokoju

wolne i niepewne stąpanie utykającego na nogę ex-biskupa.

— Ach mój książę! — zawołała pani Tyszkiewiczowa — czyż godziło się nas tak długo wytrzymywać?

— Ne m'en parlez pas — odpowie delikwent. — Wszakże to te rzeźniki na śmierć mnie znudziły. Wiesz pani przed sobą człowieka na pół umarłego... Klócili się 8 godzin o jakieś tam słowo do króla w adresie.

— Dobrze wam tak — rzecze, śmiejąc się gospodyni domu — odstrychnęliście od narad politycznych kobiety, które i w sali posiedzeń nauczyłyby was grzeczności.

— Pani hrabino — odpowie swoim tonem wolnym i niby niedbałym a trochę sarkastycznym Taillerand — dobrzeby było pod każdym względem, abyście razem z nami o publiczném dobru radziły, ale jest po temu przeszkoda, którejbyście same nigdy usunąć nie chciały!

— Jakaż to ma być przeszkoda?

— Bardzo prosta: oto żadna z was nie ma prawem przepisanej liczby lat do zasiadania w izbie parów.

Na tak trafną i ze wszech miar logiczną odpowiedź nie było nic do zarzucenia, i rozmowa skończyła się na śmiechu i wesołej pogadance, której tajemnicę posiadają tylko Francuzi i Polacy dobrego i starannego wychowania.

Téj zimy bawiła także w Paryżu znana z przygód dość burzliwego życia pani C., zbierająca także liczne, lubo mniej dobrane u siebie towarzystwo raz na tydzień. Ogólne téj pani postępowanie, jéj powierzchowność i sposób wyrażania się nie mogły przypaść pani Morand do smaku; ale pani C. była Polką, a jak wiadomo, Polacy za granicą bez względu na osobiste zdania i prowadzenie się, łączą się w jednolitą rodzinę, jeżeli namiętności polityczne tych pięknych uczuć

braterstwa nieszczęśliwie nie niszczą. Generalowa, która w kraju będąc, unikałaby wszelkiego z tą kobietą zbliżenia, w Paryżu kilka razy przyjęła jej zaproszenie, w nadziei spotkania się u niej z którymś z ziomków, co było zawsze dla niej najmiłszą niespodzianką. Otoż na jedném z tygodniowych zebrań u pani C. zdarzyła się naszój rodaczce przygoda, doskonale malująca rozrzucenie i nieco gorączkowe życie olbrzymiej stolicy. Była ona o lat dwadzieścia młodszą od swojego męża, mogła mieć w owym czasie lat 26, a młodziej jeszcze nad swój wiek wyglądała; do tego ubraną była z właściwą sobie świeżością i gustem. Gdy weszła do salonu, jak zwykle, powszechną na siebie zwróciła uwagę.

W liczbie najgłośniejszych jej chwalców znajdował się jeden lord angielski, którego nazwiska listy ówczesne nie wymieniają, a który z albiońską powagą i flegmą chodził za generałową, widocznie dając oznaki swojego uwielbienia. Mąż, grą zajęty, długo się w salonie nie pokazywał, i dopiero po skończonych trzech robrach „wiska” kilka słów z żoną zamienił. Mylord, spostrzegłszy ich rozmowę, pewny, że ta śliczna osoba jest jego córką, zapragnął się bliżej z generałem zapoznać, co też natychmiast uczynił za pośrednictwem gospodyni domu. Po pierwszych wzajemnych ukłonach, dość obojętnych ze strony Morand’a, który od czasu klęski pod Waterloo miewał czasami niezmysłoną ochotę wszystkich Anglików wystrzelać, nasz Albiończyk, usiadłszy obok, zawiązał następującą rozmowę:

— Mon général, vous être le plus heureux des pères, elle plait beaucoup à moi.

— Pardonnez-moi mylord, je n’ai pas entendu...

— Je dis moi, que vous avez une fille fort gentille.

— Ma fille?... Elle est au Sacré-Coeur.

— Pas savoir moi si elle avoir bon coeur, elle être jolie.

— Mylord, je ne vous comprends.

— Que diable! je parle franché, et moi soutenir que votre fille qui danse labà avec ce musier à moustaches, elle être jolie.

General, spostrzegłszy omyłkę i ucieszony mistyfikacją, którą rad był przedłużyć, nic nie odpowiedział, tylko kiwał głową, niby dziękując.

Mylord zadowolony oświadczył chęć oddania wizyty; general dał mu w milczeniu swoją kartę i na tém się ich pierwsze skończyło poznanie. Na drugi dzień o godzinie 2-jej z południa, zajeżdża przed dom biały dwupiętrowy przy placu Św. Ludwika, gdzie mieszkali Morandowie, jednokonny karykiel naszego Anglika, powożony przez „grooma” o tyle zwinnego i fertycznego, o ile pan jego był ciężki i opasły. Przebiegłszy wschody szybkim bardzo pędem, „groom” zadzwonił do mieszkania generała i zameldował otwierającemu służącemu, że pan jego prosi o chwilę rozmowy w interesie zwłoki niecierpiącym. Morand przyjął gościa w swoim gabinecie.

Mylord, nienawykły mierzyć przestrzeni drugiego piętra, wysapawszy się, opowiedział powód swoich odwiedzin:

— Moi être garçon, je peux tout faire ce que moi vouloir, moi n’avoir ni père ni mère.

— C’est sans doute un grand malheur mylord, mais en quoi puis-je vous être utile?

— Patience, patience, moi vous dire cela. Moi avoir un grand maison, moi m’ennuyer tout seul; il me faut un femme pour recevoir mes amis les wigs. Votre fille est gentille, elle me couvenir fort bien, vous la donner à moi pour femme, moi lui donner cinquante mille livres sterlings pour épingles.

— Mylord, vous lui faites beaucoup d'honneur assurément, je vais la faire appeler, et vous voudrez bien repeter devant elle ce que vous me dites-la.

— Yes, yes.

General, który na chwilę nie stracił swęj poważnej fizygnomii, zadzwonił i wchodzącemu służącemu dał po cichu zlecenie poprosić pani do siebie. W kilka minut weszła generałowa, jeszcze piękniejsza w swoim rannym stroju, pełnym świeżości i wdzięku. Mąż jej zaprezentował improwizowanego aspiranta, oświadczając cel jego przybycia i nader świetną propozycją. Pani Morand, ledwie mogąc wytrzymać duszący śmiech, bardzo grzecznie podziękowała Anglikowi za jego dobre dla niej chęci, dodawszy te słowa:

— Mylord, il y a une petite difficulté.

— Ah mademoiselle, n'en avoir pas pour mon amour.

— Si, si, il y en a une ce que... ce que je suis mariée et j'aurai l'honneur de vous presenter mon mari.

— Pas possible! Moi pas comprendre vous.

— Oui mylord, je vous offre ma fille agée de neuf ans comme gage de ma reconnaissance; si vous voulez bien attendre six ans encore, je vous la donne.

— Non, non, elle être un enfant, moi ne vouloir pas cela.

To mówiąc, Anglik, rozgniewany na siebie, nie czekając dłużej, wyniósł się z gabinetu, zostawiwszy generalstwo nadzwyczajnie tą przygodą rozweselonych. Biedny adorator wsiadł do karykła, wrócił do swojego hotelu, i téjże nocy dla konsolacji wyjechał do Włoch. Na wiosnę państwo Morandowie opuścili Paryż, udając się na stałe zamieszkanie do Morand-Valu, które mu przecież ministerium zwróciło nie bez wielkich trudności. General, którego mania spekulacyi nigdy nie

opuszczała, zamierzył był zaprowadzić u siebie różne ulepszenia, a mianowicie gorzelnię na sposób polski, mającą fabrykować polską wódkę. Dawał za powód tego nowego zupełnie we Francyi pomysłu, że w czasie bytności swojej w Polsce uważał, że Francuzi rozpijali się na polskiej wódce, z czego wnosil, że powinna mieć wielki we Francyi odbył. W tym celu pisał do swojego ojca list z usilną prośbą, aby mu przysłał Żyda gorzelanego, gdyż w owym jeszcze czasie Żydzi prawie wyłącznie zajmowali się u nas paleniem wódki. Nie pamiętam już, czy stało się zadość żądaniu generała, wiem tylko, że dnia jednego, w mojej obecności ojciec dał zlecenie rządcy swojego majątku, aby mu takiego fabrykanta wyszukał; co się dalej stało, nie wiem.

W r. 1823 dopiero pani Kajetanowa Parysowa mogła z wnukami wyjechać do Francyi, po ostatecznem uregulowaniu interesów w Polsce. Kaweczyn sprzedany został, nadto wyjednano u namiestnika Zajączka pozwolenie wywiezienia jego waluty w srebrze za granicę. Bolesne było rozstanie się Alfonsa Moranda z naszą rodziną. Wychowany wśród nas, lubił nas z całém wylaniem kochającego serca i dał tego dowód w roku 1834. Będąc jeszcze z nami, bawił się często z moją młodszą siostrą, którą zawsze nazywał *sa petite femme*, małą żoną. Pamięć o niej długo w sercu zachował, i gdy kończył dwudziesty drugi rok życia, oświadczył rodzicom, że nie chce mieć innej żony.

W skutek tak stanowczego zamiaru syna, pp. Morandowie napisali do swojego ojca list z propozycją małżeństwa, która z wielkim żalem ojca przyjętą być nie mogła, gdyż moja siostra w owym czasie (1834) zaręczoną już była z panem W. Morandowie pozostali na wsi do rewolucyi lipcowej; zmiany, które wypadek ten wywołały, spowodowały powrót generała do izby parów i przywrócenie go do wszystkich wojskowych godności, jakie przez restauracyę utracił. Od roku

1835, w którym mój najlepszy ojciec umarł, nie miałam już żadnej z rodziną Morandów komunikacji. Wiem tylko, że generał umarł niedługo po nim. Mam pod ręką kolekcję listów obojga Morandów do moich rodziców i kilka ich córki Elizy do mnie, między innymi jeden, kiedyśmy miały obie po ośm lat życia. Bardzo mnie ucieszył, gdyż to był pierwszy list, który z Paryża odebrałam: łatwo się domyslić, jak się nim przed wszystkimi znajomymi chwaliłam. Dziś Eliza jest Siostrą Miłosierdzia w jednym z zakładów na prowincyi. Zawsze ona okazywała pociąg do duchownego stanu. Na zakończenie historii Emilii Morand muszę tu podać w przypisku wyjątek z jej listu do mojego ojca, z powodu śmierci matki mojej pisanego. Znajdzie tam czytelnik (1) tę samą gorącość uczuć, które w tej pięknej duszy miał sposobność poznać, i tę tęsknotę po kraju, ten tajony smutek, który jej nigdy nie opuszczał.

W roku 1816 przebywali w Krakowie państwo Mokronowscy, znani z wielu względów w kraju naszym i za granicą. Generał nieuleczonem kalectwem nawie-

(1) Et moi que puis-je Vous dire de plus?... Tout ce que le général Vous écrit, n'exprime encore que très faiblement nos regrets. Nous sentons cette perte et par rapport à Vous et Vos enfans, et par rapport à notre attachement à cet être angélique qui sans doute de nous tous est le moins à plaindre. Combien je voudrais me mettre à sa place et Vous la rendre! Elle jouirait de la vie, car elle a toujours été heureuse, tandis que moi, l'idée de savoir ma pauvre mère malheureuse suffirait pour empoisonner une existence mille fois plus heureuse que ne l'a jamais été la mienne. Mais ni moi, ni Vous, nous ne pouvons changer notre destinée, il faut nous résigner aux décrets de la Providence et vivre pour les êtres chéris qui ont besoin de nous, etc.

Emilie Morand.

Mo-and-Val près Pontarlier

Dment du Doubs.

ce 26 juin 1823.

dziony, rzadko u siebie przyjmował, rzadziej jeszcze wyjeżdżał, żonę zaś jego i córkę Antoninę (nieżyjącą dziś Her. Po....) często bardzo w dzieciństwie mojemu widywałam.

Generał Mokronowski, karierę swą wojskową zaczął, służąc za Ludwika XV w gwardyi francuskiej (gardes-français), jak to czyniło wówczas wielu Polaków, chcących się kształcić u obcych w sztuce wojennej, aby wszelkie nieznane u nas ulepszenia zaprowadzić do formujących się regularnych pułków wojska Rzeczypospolitej.

M., jeden z najdziesiętniejszych ludzi swojego czasu, należał później do stronnictwa Ignacego Potockiego i razem z nim kraj r. 1794 opuścił. Po powrocie z Francyi, czas jakiś w Puławach przebywał w gronie innej młodzieży, której imiona później świetnie zabłysły na kartach ówczesnych dziejów, jak J. U. N., Karpiński, Feliński, Kropiński, Woronicz, a przed nimi wszystkimi T. K., a którą bardzo lubił otaczać się ówczesowy przyjaciel ludzkości, a szczególnie młodych poczynających w każdym zawodzie talentów, książe Adam Czartoryski, generał ziem Podolskich. M., jak to powiedziałam, ulegał bardzo przykremu i dolegliwemu kalectwu, którego powód zasługuje na pełne czci i uwielbienia wspomnienie, mianowicie też we współczesnych pamiętnikach.

W czasie jednego z owych wypadków, stanowczo wpływających na losy narodów, M., ciężką, złożony niemocą, przebywał w Warszawie. Dnia jednego, po długich całonocnych męczarniach i bezsenności, udało się lekarzowi przysposobić kilka chwil wypoczynku. Kiedy wszystko koło niego pogrążone jest w najgłębszém milczeniu, a ostaczający jego łóżę boleści zatykali w sobie dech, aby nim nie przerwać eforem tyle upragnionego snu, nagle rozlega się odgłos trąbki pocztarskiej, i słyhać w sieniach ciężki i hałaśliwy chód obce-

go, nieświadomego miejscowych przygód przybysza. Jest to sztafeta z Krakowa, wysłana do generała z uwiadomieniem o bardzo ważnym zaszłym wypadku. M., nagle przebudzony każe sobie podać ekspedycję, przebiega z uwagą i w miarę jak się w niej rozczytuje, nagle w nim robi się zmiana. Oko przed chwilą napół martwe nowym zajaśniało blaskiem, twarz trupięj bladej, pożółkła i schudzona, policzki wysuszone i wkleśnięte oblekły się rumieńcem: na całym obliczu jakiś mieszanym wyraz radości i energii zawitał. Raptem napół podnosi się z łoża, dzwoni i rozkazuje wchodzącemu do pokoju służącemu przywołać natychmiast lekarza, który spoczywał w przyległym pokoju, i niebawem nadszedł.

— Konsyliarzu — rzecze chory zmienionym jeszcze, ale dość silnym głosem — konsyliarzu, czém najłatwiej zgubić podagrę?

— Generale, na nią nie ma innego lekarstwa, tylko czas, dyeta i cierpliwość.

— Jak to, nie macie w medycynie środka przynajmniej chwilowo z podagry wyleczającego?

— Byłby może, ale trzebaby go okupić okropnem całego życia kalectwem.

— Jakiem to przecię?

— Epilepsyą.

— A zatem jest lekarstwo na podagrę?

— Nie lekarstwo, ale zguba, kalectwo, śmierć.

— A środek ku temu?

— Krwi upuszczenie.

— Konsyliarzu, puszczaj krew!

— Jak to generale? nie rozumiem pana.

— Mówię przecięż zrozumiale, puszczaj mi krew!...

— Oszalałbym chyba, gdybym się tego rozboju na osobie pana dopuścił, i napisałbym na siebie cyrograf, że pozwalam pierwszemu lepszemu partaczowi wsadzić mnie do czubków.

— No, to się i obejdzie bez ciebie.

Tu generał, z niewypowiedzianem obecnym zdumieniem, powstawszy z posłania i stanawszy bez najmniejszego syknienia na obu zbandażowanych nogach:

— Konsyliarzu! — zawołał — tonem niedopuszczającym żadnej opozycji — potrzeba mi zdrowia *natychmiast*, choćby na trzy miesiące, a potem niech się dzieje, co ma nastąpić: nie obchodzi mnie to już więcej.

To powiedziawszy, rozkazał wezwać swojego nadwornego felczera, obnaża rękę i każe sobie krew puszczać. Struchlały felczer bierze się do operacji, a zrozpaczony doktor wybiega z pokoju, nie chcąc być świadkiem tego, jak nazwał, rozboju, i nie biorąc żadnej na siebie odpowiedzialności. Wyszedłszy pełny guiewu na ulicę, mierzy wprost ku placowi marywilskiemu, do domu (gdzie dziś Ratusz), należącego do księżny kasztelanowej krakowskiej⁽¹⁾, Antoniowej Jabłonowskiej, jego ówczasowej właścicielki. Jako zwyczajny jęj lekarz, wchodzi do sypialnej komnaty i z prawdziwie hippokratycznem oburzeniem opowiada postępek generała M. Księżna kasztelanowa krakowska, nieco od-

(1) Z domu Czaplicówna. Była ona drugą żoną księcia kasztelana krakowskiego. Kto była pierwsza, nie wiem. Z tej pierwszej miał córkę księżną stolnikową Czartoryską, która wielką część życia przepędziła za granicą i umarła w Rzymie. Założyła w majątku swoim na Wołyniu, w Korcu, pierwszą w Polsce fabrykę porcelany, gdzie wyrabiano wiele pięknych złożonych naczyń. Księżna, chlubiąca się bardzo tym zakładem, krewnym swoim, przyjacielom, a nawet i znajomym rozdawała na pamiątkę jego wyroby. Zdarzyło mi się widzieć piękną złożoną z tej fabryki filiżankę, jako dar księżny, pani Antoniowej Kochanowskiej w Strykowicach. Księżna stolnikowa była matką pięciu córek: księżny Henrykowej Lubomirskiej, Alfredowej Potockiej, księżny E. Sanguszkowej i generałowej Ryszczewskiej; kto była piąta, nie pamiętam.

(Przyp. aut.)

miennego w tej materii zdania, wysłuchawszy opowieści, pojechała do generała, którego znalazła prawie zdrowego, jakby wskrzeszonego; ścisnąwszy rękę bohatera, od serdecznych łez wstrzymać się nie mogła.

— Mościu księżno — rzecze generał — nie wielki w bezczynności strawione, ale jedna użyteczna chwila życia stanowi.

Wkrótce po tej rozmowie generał zajął się z energią i godną siebie sprężystością poręczonemi sobie obowiązkami (1).

(1) Fakt ten opowiadany mi był przez wiarogodnego i naczynego świadka, poważną wiekiem kasztelanową Oelslewiczową, żonę b. kuratora instytucji naukowych. Ojciec jej, Krzysztof Wiesiołowski, członek T. P. N. i wielu innych uczonych, słynny antykwarjusz i trochę dziwak, córki sam nie wychował, ale oddał do księżny kasztelanowej, gdzie staranne jak na owe czasy odebrała wychowanie; sam zaś z całem zamilowaniem oddał się ulubionej nauce archeologii. Wiesiołowski, wychowany przez stryjka swojego Andrzeja, wysłany był przez niego na dwór króla Stanisława Leszczyńskiego do Lunevillu, gdzie pierwszą razem z wielu ziomekami swoimi przepędził młodość. Później zamilowawszy podróże, objechał całą niemal Europę sam i w towarzystwie ex-podostolego Stanisława Soltyka; był w Szwecyi, Norwegii, Petersburgu, objechał Anglię, całe Niemcy, Szwajcaryę, Francję, Hiszpanię, Włochy, Turcję, i oparł się o północną część Afryki, którą dokładnie zwiedził, skrzętnie się wszędzie zajmując zbieraniem i śledzeniem zabytków starożytności. Najdłużej się wszakże zatrzymał w Herkulanum i Pompei, których wykopaliska pilnie badał i treściwie bardzo opisał. Z wielką szkodą dziejów rękopism ten zaginął. Pozostawił po śmierci, która koło roku 1826 nastąpiła, kilka bardzo szacownych zbiorów, między innemi zbiór starożytnych bronzów, nabyty później przez Anglików, zaś kolekcję medalów, kamieni rzeźbionych, etrusków nabył za złp. 400,000 jeden z amatorów, Depler; w tych liczbie było kilka medalów nieocenionej wartości. Jeszcze za życia Wiesiołowskiego, książę Stanisław Poniatowski chciał zbiór ten nabyć i sownie zapłacić, ale tak był właściciel do niego przywiązany, że się rozstać z nim nie miał odwagi. Żył i umarł w najściślej samotności, oddany jedynie nauce, na resztę nieczuły i obojętny. Zostawił kilka rozpraw o archeologii i numizmatyce, bardzo w swoim czasie cenionych. (Przyp. aut.)

Marya z Sanguszków Mokronowska, wychowana u babki swojej księżny Sanguszkowej, przed pójściem za mąż mieszkała razem z nią w domu własnym na Królewskiej ulicy, w pałacu dziś zwanym Łubieńskich. Ogród, nierównie obszerniejszy niż dziś, służył jej na codzienną przechadzkę. Przez miesiące trzy ślub jej poprzedzające, codziennie w nocnej porze jakaś niewidzialna ręka kładła na murze ogrodu bukiet precudnej piękności, który Marya, chodząc po ogrodzie z rana, znajdowała w bardzo eleganckim z sewskiej porcelany wazonie, a wśrodku bukietu znajdowały się wiersze na cześć Maryi w języku francuzkim, nader zgrabnie w stylu panegirycznym owych czasów napisane. Naprawdę nieco ruchliwa wyobraźnia panny starała się wysledzić nazwisko dawcy bukietu; mimo wszelkich poszukiwań nie odkryć nie zdołano. Gdy późniejsza generałowa M. udała się po ślubie na mieszkanie do domu męża do pałacu Mniszkowskiego (gdzie dziś Resursa Kupiecka), bukietu już na murze nie bywało; znikł bezpowrotnie! Pani M. to zdarzenie swęj młodości opowiadać lubiła, z przyłączeniem zawsze nowych komentarzy i domysłów. Zachowała bowiem do ostatnich chwil życia zamilowanie nadzwyczajności i romansowych przygód.

Weszła w związki małżeńskie w roku 28 życia, w skutek sprzyjających małżeństwu temu okoliczności Państwo młodzi, gustów i charakterów przeciwnych, sercem i uczuciem podobni byli do siebie, ale niczem więcej. O ile generał zajęty ważnemi w owym czasie krajowemi wypadkami, a później nieuleczonem kalectwem nawiedziony, unikał częstego z ludźmi spotkania, o tyle żona jego radaby była świat cały do serca przycisnąć. Smutno, głucho, ponuro było jej bez niego; towarzystwo tak było jej potrzebne do życia, jak woda i powietrze. Przyjmowała bez wyboru, sercem a nie głową i etykieta, dla tego jej salon słusznie nazwano

różnobarwną *mozaikę*. Pani M. należała do osób w każdym czasie rzadkich, a dziś już wcale nieistniejących, co to z uczonym i prostaczkiem, z monarchą i kmiotkiem, starym i młodym równie długo i przyjemnie rozmawiać umieją; każdego zajęła i zabawiła, nie żeby miała nadzwyczajny dowcip, ale była dobra, serdeczna, życzliwa, prosta, żywa, z natury wielomowna, rada się drobnostkami zajmująca, lubiła ruch, gwar, nowinki, które zbierała i z przyjemnością opowiadała. W wyszukiwaniu towarzystw nie była wybredna, żyła z kim mogła i kto jej się nadarzył. Mieszkając czas niejaki na wsi pod Tarnowem, widywała wszystkich blizkich sąsiadów, a w liczbie tych ostatnich znaleźli się i tacy, którzy najwięcej na nudy wypróbowanego do rozpacz przywieśćby mogli. Uprzejmością i obfitą rozmową z każdego z tych panów i pań coś wyciągnąć umiała. Dnia jednego opowiadała, śmiejąc się do rozpuku, że jedna z jej sąsiadek, ośmielona jej łatwością i prostotą, prosiła ją naiwnie o przepis na karmienie indyków, inna o nasionka do ogrodu, a znalazła się także skwapliwie wypytująca o jej najlepszy sposób marynowania szynki. Znając panią M. od pierwszego mojego dzieciństwa w Krakowie, nie moge jej sobie inaczej wystawić niż w ubraniu balowym lub też w papilotach gotującą się do zabawy. Żywa i ruchliwa, z gotowalni, przy której godzin kilka jej dziennie zeszło, przechodziła do pokoju córki, bawiąc się z jej małemi gośćmi; to znów biegła do salonu, gdzie uprzejmie przyjmowała jakąś bardzo nudną wizytę, lub się zwróciła do garderoby, gdzie dawała posłuchanie jakiejś biedaczce, liczną obciążoną rodziną, nie bacząc na fryzjera, który stał, trzymając rozpalone żelazko w jednej, a grzebię w drugiej ręce i niecierpliwie czekał końca toalety. Pani M. chowała swoją rolę kobiety światowej na wielkie okazy, pragnęła ją dokładnie odegrać, ale w ogóle nie była jej do twarzy. Miała ona słabostkę

rzadką w kobietach jej stanu i położenia: była co się nazywa przesadną i to w najpospolitszy sposób wierzyła w czary, zażegnania, uroki, urzeczenia. Gdy mówiła po polsku, a to jej się dość często trafiało, jeżeli rozmawiała z poufnyimi o czémś mocno ją obchodzącém, nie zaniebdywała nigdy dodawać: „nie urokiem, na psa urok,“ co wielce jej rozmowę czyniło oryginalną. Oto są moje wspomnienia o Maryi M., gdy bawiąc się z jej jedyną córką Antoniną, widywałam ją prawie codziennie w czasie jej pobytu w Krakowie. W dwanaście lat później odnowimy znów z nią znajomość, gdy wprowadzę czytelnika do salonu karmazynowego w złote kwiaty, w Warszawie, w pałacu Zielonym (dziś już nieistniejącym), na Krakowskim-Przedmieściu, gdzie Marya M. przyjmowała od drugiej po południu do trzeciej i czwartej po północy z równie serdeczną gościnnością i życzliwością, ale często nawpół leżąca na szezlongu, gdyż siły nietyłe dopisywały. Już w niej swobody tej nie było co dawniej; nadeszła chmurka, która ociemniła jasny widnokrąg jej dni wesołych i szczęśliwych. Po śmierci czcigodnego generała, pani M. weszła w nowe związki małżeńskie; powtórny małżonek umyślił zaprowadzić w domu reformy może zgodniejsze z jego wyobrażeniami, ale przeciwne zwyczajom towarzystwa, i najmiłszym gustom i nawyknieniom jego żony. Pani M., kochająca męża, w chęci zastosowania się do jego woli, zmieniła na czas jakiś tryb życia, ale jej zdrowie i humor widocznie ucierpiały. Później wszakże wdanie się przyjaciół wyjednało jej większą w rozporządzeniu czasem swobodę. Pani M., zamieszkawszy w Warszawie, znalazła tu serdeczną swęj matki ⁽¹⁾ przyjaciółkę, panią ze Świdzińskich Lancko-

(1) Matka Maryi Sanguszkówny i księcia Eustachego była z domu Potocka, rodzona siostra Ignacego, Stanisława, Jana Potockich, oraz starosty tłumackiego. Ignacy umarł w Olesinie

rońską, zwykle kasztelanową połaniecką zwaną; jak się można było spodziewać, pani kasztelanowa dawną swą dla matki przyjaźń na córkę przelała, i bardzo przeciwną się być okazała jęj powtórному małżeństwu. Ślub odbył się w Częstochowie, kiedy większa część towarzysztwa ledwie o jego projekcie zasłyszała. Mówią, że na pierwszą o nim wiadomość pani kasztelanowa zadzwoniła na pannę służącą i kazała przygotować suknię jasnego koloru, której już zdawna nie używała wcale do ubrania na wieczór.

— Z przeproszeniem pani — rzecze zdumiona panna — alem nie dosłyszała.

— Różową atlasową suknię, mówię ci.

Panna, nie dowierzając jeszcze własnym uszom, wyszedłszy z pokoju pani swojej, poszła do panny Joanny Świdzińskiej opowiedzieć jęj swój kłopot.

pod Kurowem r. 1809. Był ojcem wcześnięj zgasłęj, pełnej cnoty jędynęj córki Krystyny, która ojca do grobu poprzedziła. Stanisław, senator wojewoda, prezes rady ministrów za Księztwa Warszawskiego, umarł prezesem senatu i ministrem oświecenia za rządów gen. Zajęzka. Najmłodszy z braci, Jan Potocki, nie był owym słynnym autorem i podróżopisarzem: tamten był ojcem Artura, Alfreda i Bernarda Potockich. Jan Potocki, o którym mówię, zostawił tylko jedną córkę żyjącą jeszcze dziś L. T. i przy nięj w T. w Krakowskim długiego dokonał żywota. Do śmierci zachował wesołość i przytomność umysłu. W latach 1824 i 1825 robiliśmy z moim ojcem niekiedy do T. wycieczki. Ztamtąd razem z właścicielami zwiedzaliśmy ruiny zamku Małeszwskiego (opisywanego w pamiętnikach Fr. Krasińskiego), i P. gdzie pani T. założyła i utrzymywała klasztor Benonów, słany na okolicę z wzorowego urządzenia nabożeństw i przykładnego życia zakonników. Klasztor ten już nie istnieje, zastąpiła go parafia z wielkim żalem mieszkańców blizkich okolic. Otoż po jędnęj z tych wycieczek, Jan Potocki, który dla słabości mającej go niezadługo zabrać z tego świata, nie mógł nam towarzyszyć, siedząc przy kominku na wielkiem wolterowskim krześle, opowiadał różne życia swojego przygody. Jedną z nich dla swęj

— Proszę panny starościanki — ciągnie dalej służąca — albo ja ogłuchłam, albo naszję pani co się stało.

— Albo co?

— Wszakże to nasza pani kazała sobie podać do ubrania różową atlasową suknię, która gdzieś tam leży od dwudziestu kilku lat w składzie, a raczję jeszcze kilka z nięj zbutwiałych kawałów.

Przestraszona starościanka pośpieszyła do ciotki, która zmiarkowawszy powód jęj przybycia, nie czekając zapytania, ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem rzecze:

— Kiedy M. mogła pójść za mąż, toć ja mogę nosić jasne kolory.

Mimo tego chwilowego niekorzystnego wrażenia, pani Z. nie przestała widywać przyjaciół pani M., by-

nadzwyczajności jest mi szczególnie pamiętną; opowiem ją tak, jak ją przez Jana Potockiego opowiadana słyszałam:

„W r. 1792 byłem przydany do poselstwa brata mego, starosty łomackiego, do Stambułu. Po przyjeździe do stolicy Państwa Ottomańskiego, mieliśmy być wkrótce prezentowani sułtanowi na uroczystém posłuchaniu. Zajęliśmy się przedewszystkięm układem przemowy, którą poseł miał powitać Jego Wysokość w imieniu króla i Rzeczypospolitéj. Zredagowanie tęj mowy mnie było poruczone; miała być oczywiście w języku francuzkim napisana, a przez dragomana na mowę turecką przełożona. W przeddzień posłuchania, mając głowę napełnioną urzędowemi tęj mowy wyrażeniami i już w myśli ułożoną, kładę się w łóżko. W nocy śni mi się ta mowa, ale w jakimś języku i wyrazach zgola dla mnie niezrozumiałych; budzę się, mowa stoi mi w pamięci, a zapaliwszy świecę u nocnej lampy, napisałem ją tak, jak mi się śniła. Nazajutrz rano pokazałem ją dragomanowi, który bardzo się dziwił, gdy przeczytał w tych wyrazach mowę całą doskonale po turecku napisaną. Proszę pamiętać, że w całęm poselstwie nikt z nas po turecku nie umiał.”

(Przyp. aut.)

wała jak dawniej u pani kasztelanowej ⁽¹⁾, która ją z tą samą co dawniej przyjmowała serdecznością. W r. 1827, w Lutym, pani M. a jak nateraz pani Z. w skutek zaziębienia zbyt wcześnie świat ten pożegnała. Nie lubiła ona gorąca; miała zgubny zwyczaj, wyszedłszy z ciężkiej i nieraz zwrotnikowej atmosfery przepełnionego salonu, wracając do siebie zamknięta w karecie zrzucić futro, aby swobodniej odetchnąć, o co ją zawsze pani kasztelanowa strofowała, przepowiadając, że sobie tą nieprzezornością śmierć przyspieszy. Tak się też stało. W Piątek poprzedzający ostatnią Niedzielę karnawału, wracając do siebie zaziębila się, w Sobotę był bal u pani ordynatowej Zamoyskiej na którym być nie mogła, we Wtorek już nie żyła. Żal po tej stracie był powszechny, szczery, wielki; każdy przypominał jej dobroć, życzliwość, uprzejmość, gościnność. Towarzystwo utraciło jeden z tych domów codziennego skupienia się pewnej jego części, który nie tak łatwo dał się przez inny zastąpić.

Obecnie na ten raz opuszczę panią M., zastrzegając sobie na przyszłość małe z czytelnikiem wycieczki do salonu karmazynowego, nieliczne już wprawdzie,

(1) Pani kasztelanowa, połaniecka zajmowała, jak wiadomo dom misyjarski na Nowym-Swicie, gdzie lat blisko 40 przemieszkała, i tam też umarła w Kwietniu r. 1826. Po jej śmierci, gdy zarządzone sądową sprzedaż pozostałych po niej ruchomości, jej przyjaciele i znajomi, składający prawie ówczesowe towarzystwo, nie chcąc, aby rzeczy, których się jej świątobliwa i dobroczynna dotykała ręka, przeszły na własność nieznanych osób, skwapliwie je nabywali i dość drogo stosunkowo płacili. Mojemu ojcu dostał się pomiędzy innemi przedmiotami stolik mahoniowy do gry, tak czasem zezerniały, że koloru jego już rozpoznać nie było można. Jest on dotąd w moich rękach. Apartament po pani kasztelanowej zajęli pp. Ignacowie Badeniowie, którzy w miejscu, gdzie zwykła była siadywać, jej portret umieścili.

gdyż na kilka miesięcy zgon jego właścicielki poprzedzała.

Począwszy od r. 1816, zaczęłam brać lekcye na fortepianie. Moim pierwszym nauczycielem był przyły z Pragi Czech nazwiskiem *Heski*, używający pewnej w mieście reputacyi. Miał nieocenioną zawsze w kraju naszym zaletę: jako nie umiejący po polsku, po niemiecku naukę swą uczniom wykładał. Nie wiem, czy pan *Heski* nauczył kogo Teutonów języka, ale to wiem, że wkrótce po swém do Krakowa przybyciu, najdoskonalej polską mowę kaleczył, i to w sposób tak pocieszny, że uczniów swych do pustego pobudzał śmiechu, o co się wcale pocziwy *maestro* nie gniewał, ale dobrodusznie klepał ich po ramieniu, mówiąc właściwą sobie polszczyzną, że mają „słoma w głowa.” W czasie jednej z jego lekcyj wypadło zaćmienie słońca: podano świece. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wielkie to zjawisko na mnie zrobiło. Wyrwałam się prawie z rąk Heskemu, i wyszłam na dziedziniec, gdzie wmieszałam się w grupę patrzących. Wzięto mnie drżącą i chorą do pokoju, gdzie dni kilka w gorączce przeleżałam. Kto widział ostatnie roku 1853 zaćmienie, ten się dziwić jego skutkom nie będzie. Jeżeli tak głębokiego, tak silnego nieraz doznajemy uczucia, słysząc lub widząc dzieło sztuki, cóż dopiero w obec wielkich scen natury?... Sztuka, jeżeli jest natchnieniem, jest także w części swęj technicznej naśladownictwem; natura jest sama przez się: jej zjawiska, dzieła, noszą doskonałości piętno tego, co się omylić nie może, urzeczywistniają w oczach naszych idee wielkości, nieskończoności i piękna, apryorycznie w nas będącą, ale której sami nigdy nie podolamy. Jakże się tu dziwić, że jej zjawiska tak wielkie na nas czynią wrażenie?...

Otoż i biedny mój *maestro Heski* niemniejszego doznał wzruszenia, ale to podobno ze strachu... We

dwa tygodnie przyszedł na lekcję żółty, mizerny, prawie nie do poznania.

— Cóż to panu?—rzecze do niego ze współczuciem moja matka.

— Ach pani sio to było! sio to było!... Ja myślała, sie koniec świata: miesiąc był na słońcu, a na ziemi siarno, siemno jak w noca. Co to było, ja się zestrachala i chorowała.

Biedny Heski, jak widzimy, należał do liczby tych przodków naszych, którzy się tradycyjnie bali zaćmienia słońca. Nie uwłaczając słynnym dawniejszym talentom, jak Cherubini'm, Cimarozom, Spontini'm, Mozart'om, Heiden'om, zwyczajni muzykusi nie celowali w owym czasie wielką erudycją i naukowością nawet w swojej sztuce. Byli to po prostu rzemieślnicy, ciężką i niezgrabną ręką stąpający po klawiszach, uczący nót, gamm, które nazywali aplikaturami tylko w czasie pierwszych lekcji, a gdy ich się uczeń nauczył, machinalnie i bez żadnych innych przegrywek dziś etiudami zwanych, przechodzili wprost do sztuk, a najczęściej do mazurków, walców i polonezów. To też wyznać potrzeba, z wielkim dawnych dylettantów przeproszeniem, że w owym czasie muzyka na fortepianie w stosunku dzisiejszego jej kierunku nie była sztuką, ale prostém rzepoleniem, harmonijném bieganiem palców po klawiszach. Rozumie się samo z siebie, że tu jedynie jest mowa o powszechności grających, indywidualnych talentów bynajmniej nie dotykam. Geniusz jest sam w sobie, „jest, ho jest;” on nie należy do żadnej epoki dla tego samego, że jest twórcą swojego czasu w sferze, do której należy. „Czasy tworzą talenta, geniusze zaś tworzą czasy,” to jest niezbita prawda. Były więc i na początku bieżącego stulecia talenta, były i geniusze, ale powszechność nie była muzykalną, bo muzyka i sztuka

ka w ogóle nie były tak jak dziś chlebem powszednim wyższych i średnich warstw społeczeństwa. W miarę wzrastającej liczby amatorów, musiały się objawiać prawdziwe i niezaprzeczone talenta, za czém poszło pewne wyrobienie się smaku i niejako znawstwa w słuchaczach. Muzyka dla ogółu stała się sztuką, a jej nauczyciele mistrzami w swym kunszcie i ludźmi wszechstronnie wykształconymi. Jak przed laty trzydziestu nauczyciele muzyki w stosunku do ich dzisiejszego znaczenia byli prostymi bakalarzami, tak też ich wynagrodzenie odpowiadało wykształceniu. Dziś partacz muzyczny nie weźmie mniej niż rubla za godzinę; pan Heski, najdroższy w Krakowie nauczyciel, brał w r. 1816 złp. 2, i to miano go za bardzo drogo pracę swą ceniącego. Ale cóż też to za różnica dawniej a dzisiejszej nauki!... Kto pamięta tak, jak ja, lat kilkadziesiąt w tył, kto śledził wszystkie zmiany ducha i wiedzy, ten nie może bez zdumienia patrzeć na ogromny, niepojęty, olbrzymi postęp, jaki muzyka zrobiła od lat dwudziestu. Nie jest to przekształcenie w sztukę, ale jej odtworzenie, gdyż ona niegdyś istnieć musiała, ale ją popsuto, przenaturzono złą metodą pojmowania jej, albo wcale jej nie pojmowano.

Nie wiem, jak uczono w konserwatoryach muzycznych, które i w roku 1816 istniały, ale w prywatnych domach niewiele sobie w nauce muzyki łamano głowy. Nie znano jeszcze metody Kurpińskiego, a więc ślęczono nad jakąś szkołą ks. Sierakowskiego, który nie tylko budownictwem, ale muzyką wielce się zajmował. I tej nie trzymano się systematycznie w nauczaniu. Cała nauka zaczynała się i kończyła na gammach majorowych i bardzo ograniczonej liczbie nic nieznających przegrywek, gdzie *tryl* i *gruppetto* stanowiły całą niemal essencję.

Po jednomiesięcznej kilku gamm brzdąkaninie

i mechaniczném poznawaniu nót i klawiszów, kiedy uczeń nie miał wyobrażenia co jest *tonika*, *akcent*, (*point d'orgue*), *ruć*, *odcień* w muzyce, ledwie że zdołał rozpoznawać nótę, krzyżyki i bemole, już zarzucał na zawsze szkołę i przechodził do tańców, sztuk łatwiejszych, najwięcej z tonu C ⁽¹⁾, niby, żeby się nie utrudzał i przez to samo nie zniechęcał do nauki; w końcu posuwano go do waryacyj Gielinka, które były tém w świecie ówczesnym muzykalnym, czém sentymentalno-moralne romanse i „*novelle*” pani de Genlis w wychowaniu młodzieży.

Jak się domyśli czytelnik, o układzie rąk, figury, jednoczesném wszystkich palców, a mianowicie piątego ćwiczenia o arpedżach, etiudach i t. p. mowy być nie mogło. Nauczyciel mechanicznie takt wybijał, piersi sobie nieustanném rachowaniem prymów, decymów, tercycj i t. d. zrywał, pobieżnie wymieniał znaczenie pauzy, pół i ćwierć pauzy, całej, pół i ćwierć nótę, raz, dwa i trzy. razy wiązanęj, nie troszcząc się wiele, czy uczeń puszczony samoistnie i bez jego w rachubie pomocy, zastosuje i jak tę krótką o muzyce teorię. Po kilkuletniej nauce i obsłuchawszy się tej rachuby, uczeń mógł jako tako zagrać którego z polonezów Ogińskiego, marsza ks. Józefa, dwanaście figur kontredansa, który się zaczynał na znaną nótę menueta wygrywającą „ukłon,” a jako najwyższy szczyt postępu *le Siège de Gibraltar*, którą to sztukę wygrywał z sumien-

(1) Nauczyciele w kraju naszym, idąc za przykładem niemieckich mistrzów, używają do siedmiu nót muzycznych nazwisk liter alfabetu. Francuzi i Włosi daleko właściwiej używają w nauczaniu klasycznej nazwy: *do*, *re*, *mi*, *sol* i t. d., jako specjalnej w sztuce, a zatem odrębnej od każdej innej nomenklatury.

(Przyp. aut.)

ném naśladowaniem bębnów, armat, ręcznej broni, piorunów, morskiej burzy, wszystkich okropnych już to ludzkich namiętności, już też natury wstrząśnięć. Dzisiejsze nader artystyczne pokolenie nasze nie uwierzy może, że było przy fortepianie aż sześć, a nawet siedm pedałów, a przy nich trąbki, kotły, dzwonki, cała janczarska muzyka. Im kto energiczniej temi niezbyt harmonijnymi akcesoryami władał, to jest im umiejętniej ucho biednego słuchacza rozdzierającym tonem trąby i cymbału nawiedzał, za mistrza w sztuce okrzykniętym bywał.

Siła wówczas nie zależała jak dziś na zręczném władaniu instrumentem, mechanicznym rąk i palców układzie, delikatném cieniowaniu i przechodzie tonów, wyrobionym smaku i własném natchnieniu artysty, ale na hałaśliwém mieszanu barbarzyńskich i obcych naturze instrumentu narzędzi, co wszystko razem nie muzykę, nie harmonię, ale jakiś piekielny hałas tworzyło. Nader też sprawiedliwie znaleźli się tacy, co wcale naiwnie fortepian nazwali klawicymbałem, co tworzyło dość zabawną harmonią, gdy jeden drugiego zapytał: „grasz na klawi-cymbale?...” Dziś ogół u nas zdołał na koniec przyjąć do zdrowszych pojęć o sztuce. Cokolwiek Libelt i Józef Kremer o niej pisali, mianowicie zaś o malarstwie i rzeźbiarstwie, do muzyki głównie stosować się powinno. Sztuka nie może być naśladowczą, „bo jest sama w sobie.”

Artysta nie w zewnętrznej naturze, ale na tle własnego ducha i ducha ludzkości natchnień dla siebie szukać powinien. Wielkie burze świata, pioruny, nawałnice, szcęk oręża, huk armat, jakkolwiek umiejętnie wykonane, nigdy dostatecznie nie będą w muzyce oddane, kiedy tkliwe serca uczucia, szczytne ducha pojawy, rozlewają się w najcudowniejsze har-

monii zwroty. Żarliwa dawnych wieków pobożność, wielkie dziejowe czyny i fakta, miłość rodzinnego gniazda natchnęły pieśni, które tysiące lat przetrwały i przetrwają; przeciwnie czcze naśladownictwa bitew, piorunów, głosów ludzkich, pisku zwierząt i tym podobnych nigdy długo nie żyją.

VI.

Pojeli tę prawdę mistrzowie sztuki: Beethoven, Liszt, Thalberg, a przed wszystkimi nieporównany nasz Chopin. I tu leży cała tajemnica ich wziętości i sławy. Wydobyli natchnieniem swoim całą prawdę ducha swojego i tę w skarbach harmonii na suchy nasz poziom wylali. Każdemu z nas ich kompozycje przypadły do smaku, bo każdy widział w nich odbicie własnego ducha. Aby się o tym przekonać, weźmy pierwszy lepszy mazurek słynnego ziomka naszego. Nie ma tam ani jednej nóty obcej uczuciu naszemu rodzimemu: każdy ton, każdy jego odcień witamy jako utwór, albo raczej własnej myśli odbicie. Taką to ma potęgę prawda, która w sztuce jest natchnieniem! Taką to mają potęgę wszystkie nasze najdawniejsze śpiewy kościelne, jak np. *Święty Boże, Kto się w opiekę*, pieśni do Matki Bożkiej, znane motywa ludowe, które tak silnie w sercach naszych oddziaływają, że dziś najzręczniejsi kompozytorowie w nich karmi do swych kompozycji szukają! (1). Tu też właśnie leży wyższość muzyki dzisiej-

(1) Któż nie wie, jaką dziwną potęgę mają wszystkie narodowe hymny?... Wiadomo, że w czasach, kiedy królowie europejscy zwykli byli swą gwardyę przyboczną w Szwajcaryi zaciągać, dla uniknięcia szerzącego się zbiegowstwa, musiano w półkach szwajcarskich zakazać pieśni szwajcarskiej „Le ranz des vache.”

(Przyp. aut.)

szę nad dawną, i dzisiejszych mistrzów nad dawnymi kompozytorami. Za zmianą ducha kompozycji pójść musiała i zmiana mechanicznego obrobienia, zmiana instrumentów, i inna zupełnie metoda uczenia.

Malując zmiany towarzystwa naszego, jakie od lat blisko czterdziestu przechodzi, należy wspomnieć o *Emilu* Russa: raz, że wiele wpłynął na zmianę nie tylko głównego systematu wychowania, ale metody nauczającej; następnie, że wpłynął także, lubo pośrednio na ducha obecną, tyle rozumującej generacji naszej. Nauka J. J. Rousseau, odbywszy we Francyi, a po trochu i w Niemczech swój czas więtości i szalu, u nas dopiero na początku bieżącego stulecia zaczęła się w skutkach pojawiać; ma się rozumieć w swęj części nauczania elementarnego, higienicznego prowadzenia dzieci, tudzież systemie rozmowy i łatwego wykładu; bo co do metody poznawania Boga, takowa nigdy nie tylko przyjąć na grunt, ale nawet pojawić się nie mogła w ustach matki, córki arcy katolickiej Polski. Idee Zachodu, przeciwne chrześcijańskiej prawdzie, mogły przez czas jakiś obalać pewną część naukowej naszej powszechności, nie zyskały one nigdy przystępu do rodzinnego koła. Jest to fakt, który każdy z dobrze znających społeczeństwo nasze i śledzących jego różne koleje i przemiany z łatwością uzna, a który my tu, jako bardzo dla kobiet polskich zaszczytny, z narodową dumą podajemy. Mogę powiedzieć z całą prawdą, będącą najświętszą powinnością dla piszących pamiętniki: nie widziałam w Polsce kobiety, matki bezbożnej!... Rozumie się, że nie uznaje za prawdziwe matki kobiet, niewychowujących własnych dzieci, bo te zawsze i wszędzie ujemną płci swojej stronę reprezentowały. Powtarzam, nie znam matki bezbożnej! Co więcej, może jeden na tysiąc znajdzie się ojciec przeciwny religijnemu syna wychowaniu.

Znałam ojców nie wierzących w nic zgola, nie uczęszczających nigdy do Sakramentów ŚŚ., do kościoła, przeczących najprostszym dogmatom o Bogu, o nieśmiertelności duszy, a odmawiających codziennie pacierz z dziećmi, wstrzymujących się od mięsnych pokarmów w dniach przez Kościół zakazanych, i tym podobne czyniących praktyki dla przykładu! Niech kto chce fakt ten wytłómaczyć, niech rozstrzygnie: dla czego kiedy my, wierzący prostaczkomie, wiarę serca naszego staramy się w dzieci wpoić, owi dumni, tak zwanej religii własnego przekonania koryfeusze, prawdę niby przez nich zdobytą, tak szczelnie dzieciom swoim zakrywają?

W owym czasie istniała więc więcej niż kiedykolwiek u nas mania cudzoziemszczyzny, głównie w wychowaniu młodzieży. Nie było domu, rodziny, gdzieby się nie uwijała przynajmniej jedna z tych istot obcych, zimnych, z serca i duszy krajem naszym i obyczajami gardzących, co to gryząc pełnemi usty chleb nasz, pracę i potem kmiotków naszych zdobyty, skarżyły się na tęsknotę do własnego kraju, i złorzeczyły losowi, który ich w lodowate, według nich, północne strony zagnał. O! ciężkie będzie zadanie tego, który kiedyś spisywać będzie musiał porządnie i systematycznie dzieje guwernerów i guwernantek, rezydentów i rezydentek cudzoziemców w kraju naszym, i zajmie się opowiadaniem intryg, kabał, swarów, kłótni, rozdwojeń, które cudzoziemska naniosła ręka pod dach polskiego obywatela. Francuzi szczególnie celowali nad innemi narodowościami w owładnięciu sercem i rozumem bądź swych uczniów, bądź ich rodziców. Tak wszystko, co u nich się znajduje, bez miary chwalili; a co u nas, ganili i pogardą obrzucali; tyle przy tém mieli daru wymowy w języku, mającym niepojęty urok dla polskiego ucha, że

najprzód ciekawość a następnie i umysł i serce pryncypała, którego nigdy *monsieur le comte*, a żony jego *madame la comtesse* nazywać nie omieszkali, opanowali, i tego wpływu najgorzej używali. Byli między nimi i tacy, którzy po kilkunasto a częstokroć i kilkudziesięcioletnim w jednej rodzinie pobycie, szczerze się do niej przywiązali. Rzadkie to były przecież fenomena, a jeżeli się znalazły, to najczęściej ze szkodą rodzinnych związków. Jeżeli np. cudzoziemka przywiązała się do matki, to niezawodnie trzymała ją w rozdwojeniu z dorosłymi dziećmi, albo z jej rodzeństwem, albo z dawnymi przyjaciółmi; a raz ofiarę swą opanowawszy, niełatwo ją ze swych wypuszczała szponów.

My jakoś obronną ręką wyszliśmy z szalu otaczania się cudzoziemcami. Około roku 1816 przybył jako guwerner do mojego brata Włoch, mieniący się być baronem państwa francuzkiego i półkownikiem, nazwiskiem Szpet, co niebardzo świadczyło o jego włoskiem pochodzeniu. Zdaje się, że rodzina jego była z włoskiej Szwajcaryi, przybyła do Francyi w czasie, kiedy jej granice na nowo otwarte były dla wszystkich wyznań niekatolickich. Mówił doskonałym tokańskim narzeczem, które tém jest we względzie czystości i elegancyi języka włoskiego, czém jest mowa Sasów w stosunku do innych germańskich dyalektów. Po francuzku mówił nieźle, a nawet używał pewnych zwrotów i wyrażeń klassycznych, mocno zatracających drobiazgową ścisłością i pedantyzmem boalowskiej szkoły, co nie przeszkadzało, że nasz Włoch-Szwajcar lub Szwajcaro-Włoch mówił widocznie akcentem cudzoziemskim, a nawet zatracił *ou* tam, gdzie zachodziło francuzkie *u*. Po polsku wcale nie mówił. Należał on do rozpięrzonych po nieszczęsnych klęskach pod Waterloo zastępów Napoleona, i jako w własnym kraju skompromitowany, oczywiście bez chleba, do szukania sposobu do utrzy-

mania życia był zmuszony. Baron Szpet był zatem z położenia bonapartystą, piorunował przeciw Bourbonom, o swoim szwajcarsko-włoskiem pochodzeniu wcale nie mówił. Lubił rozprawiać o polityce, miał niezmiennie przekonanie, że jego ubóstwiany cesarz wróci, a z nim honory, stopnie, orderzy i donacje. Był w obejściu i ubraniu wyszukany: staro-francuzką modą nosił żaboty z najcieńszego batystu, trzewiki ze sprzączkami, czarne, długie, jedwabne pończochy, co było trochę na nasz północny klimat *hazardowne*; czarny frak, przy którym u dziurki od guzika błyszczała czerwona kokarda i złota gwiazda officerska legii honorowej. Głowa codziennie upudrowana i wyfryzowana jak z pudełka. Mimo bardzo ujmującej powierzchowności, wilece pazurki pokazywały się czasami u naszego Włocha: był kapryśny, wyszukany i gniewliwy; nieraz grzeczności prawil przy stole, a wróciwszy do swojego pokoju, biednego mojego brata za uszy wytargał. Był z temperamentu żywy i gwałtowny, ze zwyczaju nieco leniwy, a z usposobienia podobno niewiele uczony; nadrabiał miną, klasykami francuzkimi, których znał na palcach, i włoskimi kanzonettami. Zostawał w domu naszym przez dwa lata, i byłby dłużej pozostał, gdyby jedna z ziomek naszych nie była wpadła w oko panu baronowi. Ożenił się zatem, założył niby pensję, niby lekcye prywatne dawał, wszystkiego się chwycił. Jak mu się powiodło, nie wiem, gdyż niebawem wyjechaliśmy do Niemiec, a następnie nazawsze Kraków opuściliśmy.

Jednocześnie z pobytem Szpata u nas zdarzył się wypadek, który jakkolwiek należy do faktów czysto domowych, tak jest wszakże charakteryzujący pewną ówczesną kastę ludzi, że nie mogę oprzeć się pokusie zapisanja go w tej księdze wspomnień moich.

Rodzice moi, uwiadomieni sztafetą o nagłej słabości babki mojej, pani generałowej z Kromolowa, wyje-

chali niebawem, zostawiwszy nas dwoje chorych na szkarlatynę i dopiero co wyszłych z niebezpieczeństwa. Biedna moja matka w rozpacz, że nas jeszcze mocno cierpiących odjechać przymuszona była, powierzyła nas staraniom wiernej Józefiny, bony francuskiej, i pana Szpeta, mającego pewną pretensję do medykoznawstwa. Po kampaniach Napoleona, przetrząsaniu gabinetów europejskich i przepowiadaniu różnych z bieżących zdarzeń wynikłości politycznych, najulubieńszym przedmiotem rozmowy pana półkownika była gawęda o różnych chorobach i defektach, udzielanie fizyologiczno-lekarskich rad na katar, kaszel, ból głowy, oczu, reumatyzmy i t. p., często gęsto kursujące choroby, mające przywilej mieć tyle niezawodnych środków wyleczających, ile jest starych guwernerów, pań podżyłych, sąsiadek wiejskich i panien rezydentek. Moja matka nie poprzestała jednakże tylko na staraniach pana Szpeta: uprosiła stryja mojego, aby nas dwa razy na dzień przynajmniej odwiedzał, łącznie z doktorem Szastrem, zwyczajnym lekarzem i przyjacielem domu, oraz całej rodziny. Jak Kanka w Proszówkach, tak Szaster w Krakowie był codziennym babki mojej, a bardzo często rodziców moich gościem, lubo Szaster pod względem nauki, wziętości i szczęścia w leczeniu daleko wyżej stał od galicyjskiego swojego kolegi. Był on bratem słynnego profesora anatomii przy uniwersytecie Jagiellońskim, Wincentego Szastra, równie biegłego w czasie swoim lekarza. Oba ci panowie, od serca Jana i Jędrzeja Sniadeckich przyjaciele, do śmierci z nimi listowne zachowywali stosunki. Ważną tę korespondencję pani Szastrowa powierzyła panu Dutkiewiczowi, znanemu w Krakowie pedagogowi, który zapewne nie omieszka publicznego z nią zrobić użytku. Wincentego Szastra, wcześniej zmarłego, niewiele pamiętam; brat jego, o którym tu mowa, był wysoki, siwy, nosił rajtfrak koloru oliwkowego, długą téjże barwy kami-

zelkę sukienną, a w nią ogromny zegarek repetyer z łańcuchem, do którego była przyczepiona pieczętka z krwawnikiem, z różą wyrzniętą we środku, a do tego wszystkiego ogromną złotą tabakierkę i kamasze. Uchodził za nader w sztuce swojej biegłego, więcej nawet od brata, który w końcu życia swojego praktykę porzucił. Szaster był sławny jako „doktor dam,” znający się bardzo na niezawsze odgadnąć się mogących damskich chorobach, i mimo już podeszłego wieku bardzo od pacjentek swoich lubiony: był wesoły, jowialny, mający na zawołanie wesołą dykteryjkę, świeżą nowinkę, dowcipne słówko. Przytém był, jak to i dzisiejsi lekarze być umięją, trochę drobiazgowy, systematyczny i pedant w wykonywaniu obowiązków swojego powołania, przywiązujący życie i śmierć do filiżanki kleiku przedwcześnie lub zapóźno wypitéj, stanowczo nie lubiący, aby jego polecenia i przepisy lekceważono; do tego miał niezachwianą wiarę w swoją sztukę, co nie było wcale złą jego stroną, bo wierzyć, to jest już na połowę umieć. Otoż zwierzchniemu dozorowi doktora Szastra oddała nas moja matka, równie jak opiece stryja mojego, Ksawerego, który doszedł już blisko lat osmdziesięciu w zdrowiu i sile, nie używając lekarza i apteki, nie doczekawszy się ani jednej ze zwyczajnych przypadłości podeszłego wieku, przy życiu zwyczajnem, najniesystematyczniejszym, w nieustannych podróżach i dobrowolnych niewygodach; krótko mówiąc, czyniąc wszystko, co każdego innego przyprawiłoby o kalectwo, chorobę i śmierć przedwczesną. Przy takim fizykiem usposobieniu łatwo się domyślić, że do wielu innych oryginalności mój stryj miał i tę, że nienawidził doktorów i lekarstw, nie wierzył w skuteczność nauki Hippokratesa, którą nazywał dość niegrzecznie kłamstwem i szarlataneryą. Z takimi dwoma sprzecznego usposobienia charakterami, sprawa naszej kuracji musiała się stać dość zawiłą. Szaster odwiedzał nas regularnie

dwa razy na dzień, i za każdą wizytą jakiś inny leczący i higieniczny pozostawiał środek; trzymał nas w łóżku, karmił ziółkami, mordował nieustającą transpiracją, podsycał dekoktami i prawdziwie zwrotnikową w pokoju temperaturą. Za jedyny pokarm dwa razy na dzień po filiżance rosołu z kurczęcia, po starannem odcedzeniu mięsa, i owsiany kleik *à discrétion*, zastrzegając i w tém przyzwolając przezorność, aby żołądka nie przeładować. Za napój woda letnia z grzanką chleba gotowana. Kto z moich czytelników miał szczęście chorować około roku 1816, wie zapewne, że w powyższym opisie metody leczącej, w owéj epoce praktykowanej, słowa jednego przesady nie ma. Łatwo pojąć, że przy takiém utrzymaniu rekonwalescencya tępym szła krokiem. Siły i młodość, jak zwykle bywa, wszystkie poboczne względy przewyciężyły; po trosze zaczynaliśmy przychodzić do zdrowia, a w miarę tego apetyt długo wstrzymywany, budząc się stopniowo, coraz gwałtowniej praw swoich domagać się począł. Naza-jutrz po wyjeździe moich rodziców, o godzinie dziewiątej z rana, doktor Szaster odbył swą zwykłą wizytę: zapisał parę mikstur, jakieś okładanie, jakiś olejek podsycający apetyt (przy głodnej kuracji), dekokt na transpirację, krople na sen, poczem zbadawszy powtórnie pulsa, powiedziałwszy kilka żarcików, surowo zaleciwszy jak najakuratniejsze wykonanie swoich przepisów, wyszedł. W parę godzin nadjeżdża mój stryj, a za nim strzelec jego wnosi ogromne pudło ciast, cukrów, pier-ników toruńskich i suchych konfitur. Znużonym długiem leżeniem, a do tego zgłodzonym, można sobie wystawić, że widok tylu razem łakoci nie mógł nam być obojętnym, i że mój brat radby się był bawić kordelasem strzelca, którym, będąc zdrow, nieraz się mustrował i wywijał. Moja guwernantka, nieodstępna łóżek naszych, zapytała:

— Co znaczy to pudło?...

— Są tam nic nieznaczące przekąski dla dzieci, aby je rozerwać—odrzecze stryj.

— Co za przekąski?— zapytała struchlała i drżąca od strachu Szymańska... Pan konsyliarz najmocniej zakazał...

W trakcie tego prologu bona Józefina wnosi dwie filiżanki chudego kleiku.

— Odnies to panna—rzecze mój stryj — to się na lichu zdało: oto tu mam dla chorych coś lepszego.

Wtém mój stryj w obec zdumionych dwojga kobiet podaje chorym po jednym karmelku i jednym makaroniku.

— Przez Boga żywego co pan robisz?—wyjąknęła panna Szymańska—pan konsyliarz...

— Gadaj sobie tam pani, gadaj, a ja powiadam, że to są tylko doktorskie wymysły: powyrzucać mi te wszystkie flaszki.

— Ale ja jestem odpowiedzialna...

— Dajno pani pokój, ja najlepszy doktor... *Mademoiselle Josephine*, proszę dzieci ubierać, bo przysięgam Bogu, na tę męczarnię patrzeć nie mogę; to są reżeniki ci doktorowie!

Mój stryj, lubo bardzo grzeczny i uniżony dla wszystkich, był przecież bratem pana domu, nie śmiano mu się sprzeciwić, zwłaszcza że nam pacyentom ten sposób kuracji bardzo przypadł do smaku. Mój stryj pochwycił lekarstwa i jedno za drugim oknem powylewał, ledwie panna Szymańska wymódz zdołała, że flaszki w całości lubo próżne pozostały, aby nie obrazić konsyliarza, który miał wrócić jak zwykle o ósméj w wieczór; mieliśmy zatem czas ubrać się, pobawić i znów położyć w łóżko dla niepoznaki. Na obiad był barszcz z uszkami i poledwica z kapustą, faworytalne mojego stryja potrawy.

— Siadajcie dzieci do stołu!—zawołał nowego rodzaju doktor.

Po kilkutygodniowej ścisłej dyecie, oczywiście w głowie nam się kołowało, nogi się pod nami chwiały, ale z pomocą stryja i milczącej już panny Szymańskiej, zawlekliśmy się do jadalnego pokoju.

— Jedźcie dzieci co chcecie, aby tylko oględnie, ostrożnie, to wszystko można.

To mówiąc, kładł nam na talerze ogromne zrazy połównicy z kapustą.

— Co pan robisz? — zawołał przerażony Włoch, guwerner—śmierć tym dzieciom gotujesz?...

— Nic to, signor, można wszystko jeść, byle tylko oględnie, ostrożnie; bo jak honor kocham, żal mi tych dzieci...

A my, niby trochę, nieśmiało wzięliśmy się do roboty i zmiatali z talerzów, jak się to robi po tygodniowym głodzie. Po obiedzie byliśmy już trochę rażniejsi, breloki od zegarka stryja Ksawerego i kordelas jego strzelca poczęły być w robocie. O ósmej przyjeżdża Szaster, zastaje nas jakby nigdy nic w naszych łóżeczkach, za pulsa kilka razy bierze, przygląda się, egzaminuje; puls rażniej bieży, jest jakaś irytacja.

— Co to jest?... Co widzę? jest nawet nieco gorączkowej ekscytacji, jakby po dużej kómmocy; podać mi papieru, muszę zapisać coś kalmującego, jakąś prezerwatywę...— Ach! aspan dobrodziej—tu rzekł do mojego stryja, którego z razu był nie dostrzegł—mam honor powitać go.—Jakże szanowne zdrowie?

— Zawsze zdrów, kochany konsyliarzu.

— Wiem, wiem, aspan dobrodziej nas nigdy nie potrzebujesz: szczęśliwa natura!

To mówiąc, konsyliarz pisał a pisał. Skończywszy, obrócił się do panny Szymańskiej:

— Miksturę — rzecze — wyżyć do jutra rana jak poprzedzającą; jeżeli tylko będzie w pokoju 10 stopni ciepła, łóżka szkandełą nagrzać; ziółka przez noc dawać dla utrzymania transpiracji, ciało oto tym olejkami nacierać, dopóki nie będzie zupełnie wolne, a jeżeli dzisiejsza irytacja jutro się nie wznowi, może za cztery dni pozwolę po pół cielecego kotlecika.— To mówiąc, uszczypnął nas po schudzonych policzkach, dorzucając:—Apetyt byłby, nieprawdaż? co to za niepocziwy ten Szaster, że tak głodem morzy, nieprawda?...

Po tym monologu śpiesznie odszedł do licznych swoich pacjentów, zostawiając mojego stryja, który się kładł, trzymając za boki, ze śmiechu. Tak tydzień minął szczęśliwie; wszystko tym nowym szło trybem, to jest recepty do apteki, mikstury za okno, a metoda wyleczająca mojego stryja jak najpunktualniej wykonywana. Szaster dziwił się nagłemu postępowi rekonwalescencji, wcześniej, bo trzeciego dnia pozwolił zjeść pół kotleta; po raz pierwszy tylko bywał. Gdy moja babka wyszła z niebezpieczeństwa, a rodzice wrócili do Krakowa, zastali nas prawie zdrowych; ze łzami radości dziękowali mojemu stryjowi, domownikom i konsyliarzowi za dozór nad nami i pewne w skutkach recepty.

Więść naszego prędkiego wyleczenia ze szkarlatyny rozeszła się po mieście; rodzice, których dzieci na tę epidemiczną w tym czasie chorobę leżały, porzucili swych lekarzy, a rady Szastra zasięgnąć zapragnęli. Wszyscy młodzi pacjenci wyszli ze szkarlatyny, bo w owym roku nie była zabójczą; ale się dziwiono, że rekonwalescencya nie tak szybką, jak u nas, postąpiła krokiem. Co wiele także przyczyniło się do tryumfu mojego stryja, to nieobecność babki mojej, starościny olszańskiej, mieszkającej jeszcze w Proszówkach, gdyż jej obecność byłaby mu trochę szyki sparaliżowała.

Starościna, z natury delikatna i słabowita, miała niezachwianą wiarę w doktorów i lubiła się niemi otaczać. Od téj szkarlatyny tak szczęśliwie wylezionej, bardzośmy pokochali naszego stryja; często do niego spacerem chodziliśmy na Piaski, do willi, którą posiadał za rogatką od strony obserwatorium astronomicznego, gdzie zwykł był lato przepędzać. Tam mieliśmy wolność nieograniczoną.

— Dzieci! — wołał stryj — bawcie się, biegajcie, koziołki przewracajcie; bo to, jak honor kocham, te biedaczki cały dzień męczone przy nauce; trzeba im dać trochę wolności.

I nuż nas paść wiejskimi specyałami, śmietaną, chlebem razowym, owocami, które dziś należą do modnej kuracyi, ale w owym czasie były uważane za truciznę w dziecinnym higienicznym kodeksie.

Wśród tych śmiechów, płasów i swobody szczęśliwego dziecięcego wieku, jak to zwykle bywa, nieszczęście domowe wisiało nad naszymi głowami! Nieubłagana śmierć miała w swe kościste ramiona pochwycić jedno z nas, jak gdyby jęj nie dosyć było daniny przez wiek opłacań; jak gdyby jęj miłsze były ofiary z przypadku, niż z natury i konieczności.

Mój młodszy brat, mały czteroletni Władzio, cherubinek biały jak śnieg, ze złotemi kręcącemi się pierścieniami, różanemi usteczkami i dużemi niebieskimi oczami, nagle zachorował. Było to jeszcze za życia wuja mojego Parysa, mieszkającego w domu Wizytek na przedmieściu. Z przepisu Szastra robiliśmy codzień po obiedzie długie spacery pieszo, i właśnie wyszliśmy tego dnia, który był święteczny, na cały dzień do państwa Parysów. Moja ciotka, rada, żeśmy nasze

mi figlami rozrywali chorego, sparaliżowanego jęj męża, nie szczędziła zabawek i pieszczot, aby nas jak najdłużej przy nim zatrzymać. Ku wieczorowi odjechaliśmy jęj karetą do domu; dojeżdżając na zwrocie Mikołajskiej przecznicy, spostrzegliśmy część naszej ulicy, gdzie stał dom Komorowskich, słomą zasłaną; ruch pojazdu zwolnił i uciął. Wsiadłszy, widzieliśmy na schodach i w przedpokoju jakieś niezwyklejne wzruszenie, fizyognomie domowników powarzone. W salonie mój ojciec przechadzał się z panem Szastrem, oba byli milczący i zamyśleni; przeczuwając jakieś złe, rzuciłam się ojcu na szyję.

— Gdzie mama? — zapytałam z płaczem.

— Jest w swoim pokoju — odpowie ojciec. — Władzio jest mocno chory, spoczywa w téj chwili, nie trzeba mu snu przerywać.

Mój brat poszedł z panem Szpetem do swojego pokoju, jam cichutko usiadła w kącie. Drzwi od pokoju mojej matki były uchylone, lekki szelest nieśmiałych kroków stąpających po dywanie salonu i trudne chorego oddychanie, przerywały jedynie ponurą cichość. Po chwili mój ojciec niespokojny wszedł do pokoju, gdzie Władzio leżał; ja niepostrzeżona wsunęłam się za nim. Było prawie ciemno: lampa nocna, ukryta w otworze pieca, mdle i jakoby grobowe wydawała światło, drewna niedopalone tliły się na kominku; chory leży na małym kanapie, jego głowa oparta na skórzanej poduszce, czoło i skronie gorejące, usta spieczone, pogrążony w owém dobrze przez wszystkich dozorujących chorych znaném gorączkowém majaczeniu, co to nie jest ani snem, ani czuwaniem; oczy napół zamknięte, co chwila zrywający się i wydający jakieś niezrozumiałe tony, z których jedynie domysleć się można było słów: „Mamo, pié!” Biedna matka klęczała przy kanapie, trzy-

mała w ręce filiżankę i machinalnie mieszała napój łyżeczką, i słuchała z głową zwieszoną na dół ciężkiego oddechu chorego, oczy mając w niego wlepione i śledząc najmniejsze jego poruszenie. Co chwila doktor wchodził, coś zaordynował i znów wychodził; mój ojciec mu towarzyszył, oparty o poręcz kanapki, stał prawie nieporuszony. Bona i panna Wetulani (panna służąca) ustawicznie się krzątały to z synapizmami, to z ziółkami po pokoju. Czasami chory wydawał krótki jęk, lub ruch ustami, lub oczy otwierał i znów zamykał. W takich razach matka nagle powstawała i pochwyciwszy doktora za rękę:

— Konsyliarzu! co to jest?...—wyjąknęła głosem i tonem nie do opisania.

— Nie widzisz pani... ma usta spieczone, chciałby je czémś zmoczyć: podaj mu aspani dobrodziejka napój.

Duch wstąpił w nieszczęśliwą matkę, poczęła dziecko poić. Ja w bojaźni, aby ktoś w obecności mojej nie spostrzegł, wsunęłam się za łóżko mojej matki, modliłam się i płakałam. W końcu dziecięca natura wzięła górę nad uczuciem, sen mnie zmorzył, upadłam na łóżko, co spostrzegłszy ojciec, wziął mnie na ręce i zaniósł do mojego pokoju. Położono mnie w łóżko: spać nie mogłam, zrywałam się, gorączkowałam, chciałam wrócić do pokoju chorego, ale mnie pilnie strzeżono.

Tak noc przeszła. Nazajutrz rano nie puszczono mnie już do matki. Ojciec mnie tylko odwiedzał, pocieszał; ale oczy jego czerwone zdradzały noc bezsenną i łyzy źle ukryte. Szambelanowa Gostkowska zabrała mnie z moim bratem na spacer, zawiozła do ogrodu Krzyżanowskiego, po sklepach cacek obwoziła, chcąc nas gwałtem rozerwać: to wszystko nas nie bawiło,

z płaczem prosiliśmy, aby nas do domu odwiozła. Moja matka, która zwykle nieustannie się nami zajmowała, ani się o nas spytała, a w krótkich widzenia chwilach patrzała, jakby nas nie widząc, i pieśczęoty nasze najobojętniej przyjmowała. Gdy mój ojciec jej stanem przestraszony, chcąc myśl jej zwrócić ku innej stronie, począł się uskarżać, że nie śpimy, nie jemy, że możemy zachorować; biedna matka rzuciła na nas nieprzytomny wzrok, wskazując na leżące martwe prawie dziecko. Bo jest w naturze żalu matki zobojetnieć na wszystko, nawet na własne dzieci; zda jej się, że jedno tylko ma i to traci; jej serce, jej dusza są z umierającym aniołem, jego tylko kochać może. Biedna moja matka przez cały ciąg choroby, dwa tygodnie trwającej, w usta nie nie wzięła, nie spała, nie mówiła, siedziała nieruchoma jak statua, na malę przy chorym będącej ławeczce; poila go, i usługiwała mu. W końcu nas jej już nie pokazywano; my też, jak to bywa w młodym wieku, popłakawszy trochę, prawie zapomnieliśmy o naszym zmartwieniu i wróciliśmy zwolna do naszych zwykłych zajęć i rozrywek. Dwunastego dnia, gdy siedliśmy do stołu, nagle słyszymy krzyk, łatanie po schodach, trzaskanie drzwiami; rozległ się głos mojego ojca, wołający: „Po Wierzyńskiego, po Jaworskiego!”

Wierzyński był to stary doktor, noszący się po polsku, co już i w owym czasie między lekarzami było osobliwością, Jaworski zaś był fizykiem miasta. Pan Szaster zażądał ich, aby wspólnie z nimi złożyć naradę i o dalszych kuracyi środkach pomyśleć.

Owego wieczora, Władzio zdawał się być lepiej; zanieśiono go do salonu, i na szezlongu położono. Zażądał jeść, i gdy mu ojciec podawał kleik, raptem konwulsje go porwały... Whiegliliśmy do pokoju w chwili, gdy trzeźwiono moją zemdloną matkę. Przeniesiono ją na drugą stronę do pokojów. Biedny Władzio nie mo-

gąc znieść ostatniego przesilenia choroby, trzeciego dnia Bogu ducha oddał. Moją matkę położono w łóżko, a Szaster nie odstępował jęj; miała wszelką przytomność, łyżę jedną nie wylała, nie okazywała chęci wrócenia do dziecka, nie wypytywała o nie, ani nawet o niém wspominała....

W Niedzielę o jedenastęj z rana przywołuje doktora:

— Konsylharzu, dziecko moje już nie żyje?

— Co za imaginacya!... Zkąd to aspani dobrodziejka wie?...

— Oto w tój chwili, — a nie zasypiałam, nie, to było na jawie: widziałam roztwierające się niebo jasne, i moje najdroższe dziecko w obłoki uwiniete, unosilo się wysoko, wysoko... i znikło mi z oczu... On już nie żyje, nie macie czego tać, wiem o wszystkiém... on mnie tam oczekuje!...

Szaster ze łyżą w oku spojrział na zegarek i wyszedł... W kwadrans powrócił blady i widocznie zmieniony. Moja matka odgadła... W tój samęj chwili, kiedy miała widzenie, duch dziecka ziemską opuszczał krainę. Od tój chwili już była spokojniejszą, nie nikomu nie mówiąc, o żadne się nie pytając szczegóły; zawołała pannę Wetulani, zrobiła rozporządzenie całej swęj garderoby, dla siebie zaś kazała uszyć żalobną suknię. Panna w milczeniu odeszła.

Moja matka, z takiem poddaniem się przyjmująca z razu cios, którym się podobało Bogu nawiedzić ją, kilka tygodni przechorowała go. W końcu uradzono, że dla jęj fizycznego, jak moralnego zdrowia podróż za granicę jest nieodzowną. Po długich przygotowaniach, niemałych kłopotach i trudnościach, dzień 20 Czerwca na wyjazd naznaczonym został. Moją siostrę, piątą dopiero liczący kwartał, z boną i piastunką oddano do

babki, którą pożegnawszy i odebrawszy od nięj błogosławieństwo, pomodliwszy się na grobie biednego Władzia, w imię Boże ruszyliśmy w podróż do Wiednia, od którego mieliśmy zacząć nasze peregrynacye, głównie dla wód w Badenie, które obojgu rodzicom moim ordynowane były.

Niechaj ci, którzy dziś wyjechawszy o piątęj po południu z Warszawy, na drugi dzień są w teatrze w Wiedniu, niezbyt się dziwią, gdy im powiem, że w owym czasie droga z Krakowa do Wiednia odbywała się swojemi końmi, bez żadnego przestanku w dniach siedmiu! Ta podróż za granicę w kilka osób nie była rzeczą tak łatwą do wykonania, jak obecnie, kiedy uslužne koleje żelazne z kilkudziesięciu a nawet kilkuset mil zrobiły miły, wygodny i szybki spacer. Dziś na przestankach, czyli tak zwanych banhofach na pięć minut, kwadrans, a najwięcej pół godziny wytchnienia, ma się miękkie i wygodne sofy, gorącą herbatę, dobrze sporządzone kotlety; w wagonie siedząc, tonie się w puchu i aksamicie, w zimie nogi spoczywają na wygodnej, ogrzanej wewnątrz posadzce, w lecie wentylatory odświeżają co chwila powietrze. Dawniej jeździło się z walizami, łomokami, wleкло się cały Boży dzień na słonecznym skwarze, po piasku, kamieniach, lub się w błocie wzięło, a na wytchnienie miało się karczmę, gdzie wszystkiego podróżnemu brakło, wyjąwszy przewiewów, szyb stłuczonych i połączonych zapachów piwa, wódki, trzechgroszowego tytoniu i stajni. Jeżeli się zaś pocztą jechało, miało się wprawdzie kawę na pół z cykoryą, z pływającym masłem, szumnie kożuskiem przewzaném, i tygodniowe bułeczki na jajkach i mleku od uslužnej pami pocztmajstrowej kupione, ale na konie trzeba było na każdęj stacyi czekać godzin kilka, nim z pola przyszły i naprędce popasły. Te uwagi wszakże w żadnym razie nie stosują się do podróży za granicą, gdzie jakkolwiek nie było jeszcze dróg żelaznych, prze-

cięż można było jakąkolwiek po zajazdach znaleźć wygodę. Wyjechawszy z Krakowa, już na Szlaku austriackim wjechało się na murowany gościniec, wprawdzie kolejami na półwieri łokcia w głąb przetrzynięty, ale suchy i twardy, i co dwie i trzy mile natrafiało się na austerye, zwykle piętrowe, porządnie utrzymane. W tej podróży mieliśmy ogromną landarę i rzecz niezbędną w roku 1817, brykę pod kucharza i pannę służącą; w miarę jednak, jak się zbliżaliśmy do Wiednia, kucharz własny był już zbyt czysty, gdyż właściciele gospód mieli pretensję karmić nas swoimi tłustymi rosolami, chudą sztuką mięsa i oblewaniem pieczysem (1). Jedyne wolno było mieć swoją kawę (herbatę dopiero co zaczęto używać po liczniejszych zebraniach, były już np. „herbaty tańcujące”) i to pod warunkiem, aby dobrze ochrzczone kupować śmietankę. Kucharz Walecki, który w dość kwaśnym humorze z Krakowa wyjeżdżał, bo przewidywał, że dla oszczędności w podróży będzie musiał czynić służbę lokaja, pomału wszakże nawykał i do swego położenia i do niemieckich zwyczaj-

(1) Mieliliśmy wtenczas kucharza bardzo w swojej sztuce biegłego, który przecież nie miał pretensji do artyzmu jak dzisiejsi jego kolledzy. — Wprawdzie to czasy tworzą ludzi. Na początku bieżącego stulecia konfort w jedzeniu nie był tak ogólny jak dzisiaj, nie rujnowano się na jedzenie, była serdeczna gościnność i obfitość na stołach, ale nie było przymusu, ostentacji, a zatem emulacji i zbyt kosztownych wydatków. Dawniej przyjmowano i karmiono bez przestanku, dziś się daje trufie i szampańskie fabrykowane wino, herbatę z cytryną i ciasteczkami, jakby dla dyety i strawności. Dawniej nieznano prawie francuskiej kuchni, — jedynie w zamożniejszych domach był kucharz Francuz i cukiernik Włoch, i to nie zawsze. Do takich oddawano wiejskich naszych chłopaków na naukę, stąd niektóre francuskie potrawy, jak zupy rumiane „Julienne” z jajami, żółtowie w francuskiem cieście, majonezy czyli hord'oevry, ryby na zimno (au bleu), drobie w cieście smażone i tym podobne dawniej nieznane potrawy, dziś w pol-

jów, a nawet był bardzo zadowolony: bo nie tylko nie gotował, ale jemu samemu podawano jedzenie na stole nakrytym, i w dodatku do każdego obiadu pół butelki wina, wprawdzie austriackiego, które mówiąc nawiąsem, półgębkiem i tylko przez „ambicyę” popijał, w przekonaniu, że polska wódka lepsza.

W Ołomuńcu, gdyśmy stali przed hotelem w rynku, piękna Szlaczka, mająca na głowie aksamitną czarną czapeczkę galonkiem obszytą, z tyłu spadającą, ubrana w kusą czerwoną spódnicę i niebieskie pończochy, prześliczna czarnobrewa, częstowała nas pomarańczami, które moja matka kupując, pochwaliła jej nadzwyczajną urodę. Szlaczka Wenus, słysząc te pochlebne wyrazy, naiwnie się odezwała, że wie, że jest ładna, bo cesarz austriacki, przejeżdżając przez Ołomuniec, to samo jej powiedział, a nadto kupił od niej duży kosz pomarańczę i za każdą dał jej po pięć czerwienców (du-

skich kuchniach stały się pospolitemi. Dawnymi czasy, każda panna idąca za mąż miała przydane sobie do wyprawy dwie postacie nieodzowne do składu jej nowego zarządu: pannę służącą, którą wyprawną nazywano, i kuchcika, jako zawizek oczekiwanej w przyszłości gastronomicznej posługi. Starościna olszańska, idąc za tym wiekami uświęconym zwyczajem, chwalała takiego kuchcika dla każdej z córek swoich. Takim wyprawnym kuchcikiem mojej matki był Maciuś, który po 40 przeszło latach służby, przeszedłszy trzy generacje w naszej rodzinie, umarł na łaskawym chlebie u mojego brata. Pan Maciej, jakkolwiek doszedł do wieku podeszłego, nie mógł się nigdy doczekać godności professorskiej w swoim fachu; był zawsze kuchcikiem, co widocznie dowodzi, że każda specjalność pewnych wyłącznych potrzebuje zdolności. Gdy kucharza naszego Waleckiego zastępował, często dawał pulpety z zupą, zamiast zupę z pulpetami, a jego artyzm ograniczał się na huzarskiej pieczeni, andrutach z maszynki, kruchem cieście ze śmietaną i białej doskonałej sztuce mięsa. Okropny był jego koniec, bo skończył na waryacji, co zbija trochę zdanie, jakoby wielkie intelligeneye jedynie tej chorobie ulegały.

Przyp. autorki.

katów). Mówiąc to, ani się uśmiechnęła, ani zaczerwieniła, jak gdyby była powiedziała rzecz najprostszą w świecie. Ta obojętność na tak powszechnie upragnioną zaletę jak uroda, wszystkim się obecnym podobiała; Szluzaczka odeszła z próżnym koszykiem, kieszenie mając obładowane cukierkami i ciastkami, które, jak powiadała, bardzo jej smakowały.



509750

50

kol. z biblioteki
R i W Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517782